

MARIA PASZYŃSKA  
WSZYSTKO  
*dla Familii*



MARIA PASZYŃSKA

WSZYSTKO  
*dla Emilii*



Książnica



Zapraszamy na [www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

Projekt okładki  
NATALIA TWARDY

Fotografie na okładce  
© Sandra Cunningham / Trevillion Images

Koordinacja projektu  
ALEKSANDRA CHYTRON-KOCHANIEC

Redakcja  
EDYTA MASEŁKO-ŁACIOK

Korekta  
URSZULA WŁODARSKA

Redakcja techniczna  
LOREM IPSUM – RADOSŁAW FIEDOSICHIN

Polish edition © Maria Paszyńska, Publicat S.A. MMXXII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved.

ISBN 978-83-271-6376-9

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)



Książnica

jest znakiem towarowym Publicat S.A.

**PUBLICAT S.A.**

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24  
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00  
e-mail: [office@publicat.pl](mailto:office@publicat.pl), [www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

Oddział we Wrocławiu  
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62  
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66  
e-mail: [ksiaznica@publicat.pl](mailto:ksiaznica@publicat.pl)

# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

## PIĘĆ NIEDZIEL PRZED BOŻYM NARODZENIEM 1934 ROK

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

## GRUDZIENÍ, 1934 ROK

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Posłowie

Podziękowania

Źródła

*Piotrowi...*

*A nadzieja znów wstąpi w nas,  
nieobecnych pojawią się cienie.  
Uwierzymy kolejny raz  
w jeszcze jedno Boże Narodzenie*

*Kolęda dla nieobecnych, Szymon Mucha*



PIĘĆ NIEDZIEL  
PRZED  
BOŻYM NARODZENIEM  
1934 ROK

# Rozdział 1

Owego poranka pod koniec listopada Jakub Modrzycki stanął w bramie kamienicy, w której z małymi przerwami zamieszkiwał od zawsze, czyli od lat ponad pięćdziesięciu. Zapiąłwszy ostatni guzik płaszcza, przymknął powieki i z przyjemnością wziął głęboki wdech. Świeże, przepełnione jesienną wilgocią powietrze natychmiast wypełniło każdy zakamarek jego płuc, usuwając z ciała mężczyzny ostatnie resztki senności. Zaraz jednak Modrzycki otworzył oczy i mimo panującej wokół szarugi uśmiechnął się szeroko.

– Nadchodzi zima – szepnął, po czym dyskretnie rozejrzał się wokoło, by upewnić się, że nikt nie przyłapał go na mówieniu do siebie. W jego wieku mogło to zostać odczytane jako pierwsza z oznak starości, demencji lub, co najstraszniejsze, jakowegoś szaleństwa. Jemu zaś nazbyt zależało na opinii innych, czy to sąsiadów, czy przypadkowych przechodniów, by pozwolił choćby zakiełkować podobnym plotkom.

Jakub Modrzycki lubił przeglądać się w oczach innych i zwykle podobało mu się to, co w nich widział. Był mężczyzną w sile wieku, o wciąż bujnych, ciemnych włosach i wąsach bez cienia siwizny, akuratnej posturze, która pozwalała mu dobrze prezentować się zarówno w eleganckim fraku na operowej premierze, jak i w podkoszulku sportowym podczas treningów w przystani Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego, do którego przynależał od chwili jego powstania. Nie był nazbyt wysoki, ale z pewnością nikt nie określiłby go mianem niskiego. Kobiety wciąż wodziły za nim wzrokiem, mężczyźni podziwiali jego tężyznę fizyczną oraz niewątpliwą smykałkę do interesów, a dzieci i dorośli obojga płci otaczali uwielbieniem jego wyobraźnię, która zdawała się nie mieć granic.

Modrzycki parł się zabawkarstwem, a w swoim fachu uchodził nie tylko za znakomitego rzemieślnika, lecz także człowieka obdarzonego wyjątkowymi zdolnościami. Jedni twierdzili, że jest wybrańcem bogów, inni, że ma

diabelski wprost talent. Często mówiono o nim jak o czarodzieju czy magiku, a te z oczywistych względów niezwykle nośne określenia pozwalały zaoszczędzić na reklamie prowadzonego przezeń interesu. Reklamy stały się w ostatnim czasie bardzo popularne i wielu powtarzało, że bez porządnego zainwestowania w plakaty i ogłoszenia w prasie prowadzenie rentownego biznesu jest w zasadzie niemożliwe.

Faktem było jednak, że Modrzycki doskonale prosperował bez płatnych ogłoszeń na afiszach i przyciągających wzrok rysunków. Nigdy nie brakowało mu pomysłów na nowe zabawki, a każda kolejna zdawała się jeszcze zmyślniejsza od poprzedniej, co przysparzało mu nie tylko pieniędzy, lecz i dodatkowego rozgłosu. Zamówień w jego sklepie dokonywali co zamożniejsi mieszczaństwo, właściciele ziemscy, bankierzy, profesorowie, arystokracja, a także zagraniczne koronowane głowy. Nawet do Belwederu dostarczono raz pudełko z emblematem warsztatu zabawkarskiego Jakuba Modrzyckiego, w które zapakowano wspaniałe porcelanowe lalki dla Jadvigi i Wandy, córek Marszałka.

Jakub dobrze zapamiętał dzień, kiedy po raz pierwszy przemknęło mu przez myśl, że w przyszłości chciałby robić zabawki. Był kwiecień, a on miał wówczas zaledwie pięć czy sześć lat, gdy matka z ojcem zabrali go w podróż do Krakowa. Planowali spędzić Święta Wielkanocne u któregoś z rozlicznych krewnych ojca. W podzielonej przez zaborców Polsce droga do Galicji była wówczas wyprawą do innego kraju. Jechali pociągiem, a Jakub chłonał każdy szczegół tej wyprawy. Gdy dotarli na miejsce, zdawało mu się, że jego serce nie pomieści już więcej wrażeń. Kiedy tylko znaleźli się w domu krewnych, położył się na łóżku i zasnął snem tak głębokim, że rodzice zdołali obudzić go dopiero następnego ranka. Po śniadaniu wybrali się wszyscy troje na spacer po krakowskim rynku. Jakub biegał między straganami i nie mógł zrozumieć, jak żył dotąd, nie widząc tych cudowności. Owszem, Warszawa była jego domem, ale to Kraków oszołomił go swoją energią, którą, jak mu się wówczas zdawało, miasto czerpało z mnogości barw. W Warszawie wiele kamienic było po prostu białych, tu zaś wszystko wydawało się kolorowe.

Święta minęły prędko i zapewne stałyby się jednym z wielu wspomnień, które czas prędzej czy później zaciera w pamięci, aż w końcu trudno jest w nie uwierzyć, gdyby nie wyprawa na kiermasz Emaus, która odmieniła życie Jakuba.

W Poniedziałek Wielkanocny bardzo wczesnym rankiem, jeszcze przed śniadaniem, wraz z rodzicami udał się do kościoła na Zwierzyńcu nad rzeką Rudawą, gdzie tego dnia tradycyjnie obchodzono odpust ku czci Świętego Salwatora.

– Grzechem byłoby świętować Zmartwychwstanie Pańskie w Krakowie i nie zajrzeć na krakowski Emaus – stwierdziła poprzedniego dnia jedna z ciotek Jakuba i zarządziła poranną wyprawę do kościoła parafialnego klasztoru Norbertanek.

– Odpust wziął swoją nazwę od miejscowości, do której szli uczniowie, gdy spotkali Zmartwychwstałego Pana – wyjaśnił chłopcu ojciec. Jan Morzycki nie tracił żadnej sposobności, by popisać się elokwencją. – „Jezus przybliżył się i siedł z nimi. Lecz oczy ich były niejako na uwięzi, tak że Go nie poznali” – zacytował fragment Biblii. Teraz także, choć zwracał się do syna, ukradkiem spoglądał na obwieszoną perłami ciotkę, która sennie kiwała głową.

– Po wszystkim, jeśli starczy nam sił, a pogoda dopisze, możemy wybrać się na spacer do Lasku Wolskiego albo na Kopiec Kościuszki – odezwała się krewna, skupiona raczej na planowaniu rozrywek dla rodziny niż na rozważaniach biblijnych.

Miasto zdawało się spać jeszcze, gdy następnego dnia wyszli z domu ciotki. Ich kroki na bruku odbijały się od ścian kamienic głośnym echem. Przechodzili przez rynek, lecz tam także panował nienaturalny spokój. Wokół zalegała głęboka cisza, jeśli nie liczyć gruchających gołębi przechadzających się tu i ówdzie w poszukiwaniu resztek jedzenia.

Siedząc w ławce pomiędzy ojcem i matką, Jakub za nic nie mógł skupić się na myśleniu o pobożnych sprawach. Wokół było zbyt wiele piękna, a światło przenikające do wnętrza kościoła przez kolorowe szybki witraży, odbijane przez złote zdobienia kolumn, przez wiele lat widywał potem

w snach. Gdy wychodzili ze świątyni, jeszcze nim otwarto jej wrota, usłyszeli gwar. Wyszli na zalaną wiosennym słońcem ulicę i Jakub uniósł dłoń, by osłonić twarz przed jaskrawym światłem dnia. Pierwszym, co zobaczył, gdy jego wzrok przyzwyczał się do światła, były zwisające z gałęzi nogi ubrane w długie podkolanówki i wizytowe buty. Chłopiec zmrużył oczy i ujrzał siedzącego na drzewie odświętnie ubranego malca, który przyglądał się czemuś z uwagą. Modrzycki podążył wzrokiem w tamtą stronę i zobaczył, że w czasie, gdy oni byli na mszy, wszędzie wokół zaroilo się od ludzi. Stragany, na które wcześniej nie zwrócił uwagi, teraz pootwierane na oścież zachęcały do oglądania, kupowania, a także zabawy, gdyż w wielu z nich urządzono strzelnice oraz loterie fantowe. Wzdłuż klasztornych murów ustawiono stoły, na których siostry zakonne wykładały ozdoby i słodycze, w tym serduszka z piernika.

Dzieci krewnych natychmiast pobiegły po słodkości, ale Jakub nie miał teraz głowy do myślenia o jedzeniu. Przypatrywał się rozłożonym wszędzie zabawkom i nie wiedział, na czym wzrok zatrzymać. Zdawało mu się, że znalazł się w całkiem innym świecie. Czuł się jak Guliwer w Krainie Liliputów, postać z książki, którą przez ostatnie tygodnie matka czytywała mu na dobranoc.

Oczarowany oglądał maleńkie drewniane stoliki, szafy, krzesła ze wspornikami rzeźbionymi oparciami i kredensy z prawdziwymi szybkami, a także miniaturowe łóżeczka, na których leżały jeszcze mniejsze kołdry i puchowe poduszeczki. Każdy przedmiot mógł zamknąć w dłoni, sprawiając tym samym, że zniknął przed ludzkim spojrzeniem, jakby przestawał istnieć.

Na kramach odpustowych było także mnóstwo innych zabawek: małe grabie, motyki i siekierki, gliniane miseczki, dzbanuszki, formy do babek, dzwonki, klekotki, terkotki i ptaszki, które napełnione wodą wydawały tęskne trele.

To właśnie tu, na jarmarku, Jakub po raz pierwszy zobaczył drewniane figurki nazywane „żydkami”. Przedstawiały one postacie kiwających się nad Torą Żydów w długich chałatach, żydowskich kupców z wozami wypełnionymi towarami lub grajków z różnymi instrumentami.

Młody Modrzycki przyglądał się ich twarzom i odnosił wrażenie, że i oni mu się przyglądają. Całkiem jakby byli żywi. Wreszcie jeden ze sprzedawców pokazał mu zabawkowego chłopca wspinającego się po słupie, na którym zawieszona była kolorowa piłka. Mężczyzna pociągnął za sznurek, a wtedy drewniana figurka wspięła się po zabawkę aż na wierzchołek słupa.

Zgromadzeni wokół stolika ludzie zaczęli bić brawo, ale Jakub tylko patrzył oszołomiony. To, co dotąd jedynie podejrzewał, znalazło potwierdzenie. Zyskał niezbitą pewność, że zabawki kryją w sobie tajemnice, i postanowił, że spróbuje odkryć je wszystkie.

Kilka lat później, wracając z boną ze spaceru, zaszedł na Nalewki. W żydowskiej dzielnicy pierwszy raz zobaczył sprzedających figurki zrobione z gniecionego chleba. Uprosił piastunkę, by kupiła mu jedną z nich, a przy okazji zadał rzemieślnikom kilka wnikliwych pytań, by dowiedzieć się wszystkiego o tej dziwnej masie robionej z ugniecionego pieczywa z dodatkiem kleistego spoiwa z mączki kasztanowej.

Uznał, że to doskonały pomysł, i postanowił czym prędzej, nie zwierając się z niczego rodzicom, sam rozpocząć podobną produkcję, a potem, kto wie, może i sprzedaż. Wiedział, że matka i ojciec nie byliby zachwyceni, gdyby usłyszeli o jego planach.

Składniki na masę były niedrogie, całość dawała się łatwo kształtować i szybko schła, produkcja szła więc pełną parą. Za pierwsze zarobione w ten sposób pieniądze Jakub dokupił jeszcze składników. Kolejne przeznaczył na farby i olejki pozwalające nadać figurkom połysk. Coraz częściej wymykał się z domu na całe dni, dlatego nie upłynęło dużo czasu, a matka zorientowała się we wszystkim.

Jakub był zmuszony wyjaśnić jej, na co poświęca swój czas. W pierwszej chwili, dowiedziawszy się o tym, że syn handluje na targowiskach zrobionymi przez siebie figurkami, Katarzyna Modrzycka pobladła, opadła na fotel i wyglądała, jakby za chwilę miało z niej ulecieć życie. Jakub przyniósł jej sole trzeźwiące, po drodze wyrzucając sobie własną głupotę, która wywołała tak wielki wstrząs u matki.

Katarzyna odkorkowała buteleczkę, powąchała jej zawartość, wzdrygnęła się i rumieńce powoli zaczęły wracać na jej policzki.

– Pokaż mi wszystko – odezwała się w końcu.

Jakub wczuł się pod łóżko i wyjął stamtąd duże, płaskie pudło, w którym przechowywał gotowe do sprzedania figurki. Katarzyna brała je kolejno do rąk i z uwagą oglądała. Byli tam hodowca gołębi, któremu małe ptaki siedziały na dłoniach i ramionach, hycel, kaczka z małymi kaczątkami, śpiący lisek zwinięty w kłębek, konik, a nawet cętkowana żyrafa.

– Jakie to piękne! – wzdychała raz za razem pani Modrzycka, popatrując to na figurki, to znów na syna, który nagle, ujawniwszy swój talent, wydał jej się kimś obcym.

Jakub z dumą i pewną ulgą, bo nie znosił mieć przed matką tajemnic, pokazywał jej kolejne zabawki, a na koniec wyjął zeszyt z rysunkami pomysłów, które kiedyś zamierzał zrealizować.

Ostatecznie matka zgodziła się, żeby nadal handlował swoimi wytworami. Jej duma wprawdzie cierpiała na tym, ale nie potrafiła znaleźć żadnego racjonalnego argumentu przeciwko zajęciu syna.

– Bacz tylko, żeby nikt cię nie rozpoznał – ostrzegała. – Twój ojciec nie zniósłby tego.

Jakub skwapliwie pokiwał głową. Od początku musiał kryć się przed rodzicami ze swoją pasją, dlatego zdążył już nieźle opanować sztukę zbaczania z dróg uczęszczanych przez krewnych i znajomych. Poza tym i tak na wszelki wypadek handlował głównie na Nalewkach albo na Pradze na targowiskach dla biedoty.

Interes szedł świetnie, a wkrótce okazało się, że pieniądze zarabiane przez Jakuba są niezbędnym składnikiem domowego budżetu. Rozrzutność ojca wpędziła rodzinę w długi i matka rwała włosy z głowy, otrzymując kolejne pisma od komorników. Była więc zachwycona, ilekroć Jakub przyniósł do domu parę groszy.

– Mój syn, mój kochany, dobry syn... – powtarzała, gładząc go po włosach.

Nie zmieniało to faktu, że zajęcie Jakuba nadal musiało pozostawać w wielkiej tajemnicy, zarówno przed ojcem, jak i całą resztą ich otoczenia.

Goszczące na urządzanych przez matkę Jakuba podwieczorkach liczne krewne chwaliły gospodynię za mnogość i różnorodność wypieków, nie zastanawiając się nad kosztami, jakie musiała ponosić. Jakub natomiast patrzył, jak kęsy słodkiej babki upieczonej z kilkunastu jaj i okraszonej rodzynkami znikają w ustach tej czy innej ciotki, i czuł dumę, że jego praca oszczędza matce kolejnych upokorzeń.

Poza tym wszystkim skrywało się coś jeszcze. Robiąc zabawki, Modrzycki po raz pierwszy w życiu czuł się naprawdę szczęśliwy. Pasował do tego zajęcia, a może to ono pasowało do niego. Podskórnie przeczuwał, że właśnie do tej pracy został stworzony. W wielu podaniach, mitach, a nawet w Biblii często pojawiał się motyw człowieka, którego życie zostało zdeterminowane przez siły wyższe. Bohaterów tych, jakby na pocieszenie, zwykle określano mianem wybrańców. Tak właśnie czuł się Jakub, gdy patrzył na twarze ludzi oglądających jego zabawki. Widział w ich oczach zachwyt oraz podziw, jakby dokonał czegoś wielkiego. Nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, jak proste było dla Modrzyckiego wykonanie tych cudeniek. Trochę go to śmieszyło, a trochę onieśmiało.

– Sam to zrobiłeś? – pytali ludzie, przyglądając mu się z niedowierzaniem.

– Naprawdę? – dziwili się, gdy na poprzednie pytanie odpowiadał twierdząco.

Po ponownym przytaknięciu jedni gwizdali z podziwem, inni kręcili głowami nadal nieprzekonani. Byli też tacy, którzy zasypywali go komplementami.

– Masz prawdziwy talent, chłopcze – powiedział pewien stary Żyd, który długo oglądał ulepioną przez Jakuba kaczuszkę. – A to nie zdarza się często, o nie.

Nastoletni Jakub uśmiechnął się wówczas uprzejmie owym uśmiechem, w którym zwykle wyraża się cała arogancja młodości, i pokiwał głową, myśląc tylko o tym, by Żyd poszedł już dalej. Widać było, że nie zamierza ni-



czego kupować, a swoim czarnym, długim chałatem tylko zasłaniał niewielkie stoisko Jakuba.

A jednak gdy wieczorem chłopak wracał do domu, słowa starego Żyda wciąż odbijały się echem w jego głowie. Aż dotąd przyjmował swoje zdolności jako coś naturalnego. Lubił lepić chlebowe figurki i widział, że spod jego palców wychodzą ładne przedmioty, lecz nigdy nie zastanawiał się nad tym, dlaczego tak się dzieje. To było coś zupełnie zwyczajnego, jak oddychanie czy umiejętność poruszania się. Nie dostrzegał w tym nic niezwykłego i po prawdzie zakładał chyba, że każdy człowiek posiada coś podobnego.

Słowa starego Żyda sprawiły, że po raz pierwszy zaczął zastanawiać się nad tym, czy rzeczywiście ma talent. Słowo to kojarzyło mu się z czymś wyjątkowym, a zarazem tajemniczym, nie do końca zrozumiałym. Był to jeden z tych wyrazów, które każdy zna, a jednak niewielu potrafiłoby podać jego definicję. Talent wydawał się bowiem Jakubowi czymś więcej niż tylko szczególną umiejętnością czy sprawnością w jakiejś dziedzinie. Podskórnie przeczuwał, że jest to coś, co odróżniało jednego katarzyniarza ze Starówki od drugiego. Obaj potrafili grać, ale tylko jeden sprawiał, że wszyscy wokół zastygali w bezruchu, a gdy jego instrument milkł, cisza zdawała się jeszcze głębsza i dziwnie nienaturalna. Mężczyźni w milczeniu wsuwali wtedy dłonie w kieszenie i odchodzili szybkim krokiem, jakby bali się, że ktoś dostrzeże to, co działo się w ich wnętrzach. Kobiety zaś otwarcie ocierały chusteczkami łzy wzruszenia.

– Jeszcze! Jeszcze! – wykrzykiwały małe dzieci, jako jedyne gotowe pokazać całemu światu, jak wielkie wrażenie wywarła na nich muzyka grajka.

Talent był więc dla Jakuba czymś, co wzbudzało w ludziach emocje, rzucało na nich swoisty czar i sprawiało, że nie mogli pozostać obojętni.

Zdaniem starego Żyda właśnie takie walory posiadały zabawki Modrzyckiego.

Choć Jakub był zmęczony po całym dniu spędzonym na targu, tamtego popołudnia przygotował kasztanowy klej i chlebową papkę, usiadł przy stole i spróbował przyrzeć się temu, co się z nim działo, gdy lepił figurkę, roz-

łożyć ten proces na czynniki pierwsze, nazwać je, a co za tym idzie zrozumieć. Sprawdzić, czy starzec miał rację.

Zanim sięgnął do miski z tworzywem, widział już to, co zaraz stworzy. Nie zastanawiał się, nie analizował, nie wykonywał żadnych rysunków czy obliczeń. Po prostu zobaczył swoje dzieło, nim jeszcze zaistniało, a może zaistniało właśnie w chwili, gdy ujrzał je w swojej wyobraźni. Widział małego gołębia o delikatnie rozchylonych skrzydłach, jakby zamierzał wzbić się w przestworza, choć jego pazurki wciąż płasko dotykały ziemi. Było to bardziej przeczucie ruchu niż sam ruch.

Jakub ujrzał tę figurkę w swojej głowie i wiedział, po prostu wiedział, że będzie doskonała. Sięgnął do miski i wyjął z niej trochę chłodnej papki. Jego prowadzone przez wyobraźnię palce gorączkowo nadawały formę bezkształtowi. Chłopak rzeźbił ze zniecierpliwieniem, jakby chciał czym prędzej zobaczyć na jawie to, co tak dobrze znał ze snu. Gdy skończył, był już pewien, że tego, co się z nim działo, nie da się ubrać w słowa ani nijak opisać. To się po prostu wydarzało, a on był nie tyle stwórcą, co elementem wezbranego strumienia kreacji, który z jakiegoś powodu zdecydował, że chce przepływać właśnie przez jego serce i jego palce. Ten strumień trzeba było nosić w sobie. Jego wezbrane wody mieszają się z krwią, wyobrażenia łączą rozumne myśli, rzeczywistość splata się z imaginacją. Zgoda na przyjęcie talentu jest bowiem także zgodą na niewolę, poddaniem się, byciem posłusznym woli muz.

Po chwili gołąbek był gotowy. Jakub oddychał szybko, patrząc na ptaka, który wyglądał dokładnie tak, jak sobie wyobraził, i wiedział, że jest gotów dobrowolnie zakuć się w kajdany, byle tylko jego ręce mogły dokonywać takich cudów.

Tej nocy padł na łóżko i długo leżał, wpatrując się w pełgające po ścianach światło świecy. Nigdy wcześniej nie czuł się tak szczęśliwy.

## Rozdział 2

W młodości Jakub miał w pokoju specjalną półkę, na której ustawiał wybrakowane figurki. Nie potrafił ich wyrzucić tylko dlatego, że były uszkodzone. Gdy miał wolną chwilę, szukał sposobów, by uczynić je piękniejszymi. Wiedział, że to daremny wysiłek, bo każde łączenie, ślad po kleju, zgrubienie szkliwa czy inny odcień farby były doskonale widoczne i nic nie mógł na to poradzić. Zdawał sobie sprawę, że jego starania są bezowocne, bo nikt nigdy nie kupi tych przedmiotów, jednak nie mógł zdobyć się na to, by je zniszczyć lub pozostawić zepsute.

Czuł, że z każdym przedmiotem, który wyszedł spod jego palców, nawet z tym wybrakowanym, łączy go jakaś więź. Te prace były dla niego ważne i chciał, by trwały niezależnie od ich urody czy wysiłku, jaki wkładał w ich wykonanie. Były przecież częścią jego samego.

Masa chlebowo-kasztanowa okazała się produktem bardzo nietrwałym. Figurki naprawiane z tak wielkim poświęceniem z biegiem dni zaczynały się kruszyć. Niektóre nabierały wilgoci, inne gniły lub pokrywały się pleśnią.

Jakub patrzył na śmierć swoich pierwszych zabawek i czuł, że dokonuje się w nim coś ważnego, jakiś przełom. Kruszenie i rozpadanie się tego, co stworzył, zadawało mu cierpienie i bardzo go zasmucało. Nie chciał wciąż na nowo tego przeżywać. Musiał znaleźć inne tworzywo, coś trwalszego, co zapewniłoby jego zabawkom długie życie, podczas którego mogłyby przynieść komuś dużo radości.

To wówczas, mając zaledwie kilkanaście lat, podjął niemal jednocześnie dwie decyzje, które zaważyły na jego dalszych losach. Po pierwsze, chciał zostać zabawkarzem. Po drugie zaś, zamierzał sprawić, że jego zabawki będą piękne. To, co planował stworzyć, w niczym nie miało przypominać

niemieckiej czy austriackiej tandety, której tak wiele było na półkach domów towarowych.

Postanowił, że każda jego zabawka będzie wyjątkowa, inna od tych wychodzących z wielkich fabryk. Będą miały swoją historię, całkiem jak te biedne, uszkodzone figurki.

Nigdy nie żałował powziętych decyzji.

Gdy po skończeniu gimnazjum i zdaniu matury poinformował ojca o tym, że nie wybiera się na studia politechniczne, a potem opowiedział mu o swoich planach na przyszłość, stary Modrzycki zacisnął wargi tak mocno, że całkiem straciły kolor. W jego oczach furia mieszała się z rozpaczą.

Mimo całej nędzy swego położenia Jan Modrzycki wciąż czuł się kimś lepszym, niż był w rzeczywistości, ważną personą, która swego jedynego dziedzica i spadkobiercę powinna przygotować do piastowania ważnej funkcji społecznej. Zdawał się przy tym całkiem nie zauważać faktu, że zamiast ratować sytuację finansową swojego rodu, roztrwonił mizerne resztki rodzinnej fortuny na własne przyjemności. Gdy żona raz czy drugi odważyła się uczynić mu z tego powodu wyrzuty, spojrział na nią żałośnie, jakby dźgnęła go nożem prosto w serce. „I ty, Brutusie, przeciwko mnie”, zdawały się mówić jego przepełnione smutkiem oczy. Jan Modrzycki był bowiem przekonany, że nie ponosi żadnej winy. Nauczono go żyć, troszcząc się o sprawy ważniejsze niż pieniądze. Te ostatnie potrafił tylko wydawać, a rozmowy o zawartości portfela wydawały mu się czymś nietaktownym, by nie powiedzieć obrzydliwym. Gdy zaś próbowała z nim na ten temat mówić jego własna żona, brał to za osobistą obrazę, złośliwość oraz chęć uprzykrzenia mu życia.

– A co z Petersburgiem? – zwrócił się do syna, waląc pięścią w stół.

– Nie mamy na to pieniędzy – odparł spokojnie Jakub, patrząc ojcu prosto w oczy.

Chcąc nie chcąc, Jan musiał zmierzyć się ze świadomością, że nie odłożył nic na dalszą edukację jedynaka. Nie miał ani schedy, ani nawet majątku do przekazania. Niczego, w co mógłby wyposażyć syna na tę drogę ku świetlistej przyszłości, którą dlań zaplanował. Ostatecznie musiał ustąpić.

Po pewnym czasie przywykł nawet do tej myśli i zaczął traktować ją jako coś dodającego kolorytu jemu samemu. Oto bowiem dysponował teraz tragiczną historią ojca, którego syn wzgardził korzeniami i wybrał drogę godną parweniusza.

Jakub odetchnął z ulgą. Dzięki rozmowom z matką był wprawdzie gotów do odpierania kolejnych argumentów ojca, ale od dziecka nie znosił sprzeczek i kiedy tylko mógł, unikał konfrontacji.

– Pomyślałeś o tym, jak mała jest pojemność rodzimego rynku? – spytała go pewnego razu matka. – W Polsce nie ma przecież aż tylu majątnych osób, a zabawka to droga rzecz.

Jakub nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiał.

– Zważ też na wpływ rozwoju przemysłu na rzemiosło – ciągnęła spokojnie Katarzyna, a młody Modrzycki wiedział, że nie mówi tego wszystkiego, by odwieść go od powziętych zamiarów.

Matka troszczyła się o niego i chciała, by dokonał właściwego wyboru. Wiedziała, że nie będzie w stanie mu pomóc w godzinie próby, i ta myśl rozrywała jej serce. Jakub był całym jej światem. Gdy jakiś czas po ślubie okazało się, że wyszła za mąż za człowieka tyleż czarującego, co nieodpowiedzialnego, całą swoją miłość przelała na syna, przysięgając sobie jednocześnie, że w niczym poza urodą nie będzie podobny do ojca utracjusza.

– Wielkie fabryki pełne wyspecjalizowanych maszyn powoli wypierają drobną wytwórczość, Jakubie – mówiła dalej. – Bez kapitału nie zdołasz im dorównać. Znasz naszą sytuację... – urwała zawstydzona, bo choć oboje wiedzieli, o czym mowa, wypowiedzenie na głos tych słów było dla niej zbyt trudne.

– Mogę wziąć pożyczkę – zapewnił szybko Jakub, chcąc oszczędzić matce upokorzeń.

Katarzyna pokręciła głową.

– Nikt ci jej nie udzieli – powiedziała cicho.

– W takim razie znajdę inny sposób – zapewnił żarliwie. – Zapracuję, zarobię i w końcu zgromadzę potrzebny kapitał.

Katarzyna podniosła wzrok i spojrzała na syna z czułością. Był dziełem jej życia, jej zwycięstwem. Stał się dokładnie taki, jak tego pragnęła, zupełnie różny od swego ojca.

– Jestem pewna, że ci się powiedzie – zapewniła z mocą, choć jej serce po brzegi wypełnione było obawami o przyszłość jedynaka.

Modrzycki od początku marzył o tym, by sprzedawać swoje zabawki, a jednak pierwsze pieniądze w dorosłym życiu, dzięki którym mógł opłacić czynsz i zapewnić utrzymanie z początku bardzo prowizorycznemu warsztatowi, zarobił jako lekarz zabawek – doktor Jakub Modrzycki. Właśnie taki sztyld opatrzony strzałką w dół podpowiadającą, by udać się do sutereiny, wymalował własnoręcznie na kawałku deski i ustawił przed wejściem do budynku.

Zakupił nawet specjalny biały fartuch, by dodać swemu wyglądowi należytej powagi. Tak też traktował swoich małych klientów, gdy po kilku tygodniach coraz liczniej zaczęli do niego przychodzić, ściskając w ramionach ukochane zabawki. Przyszywał naderwane uszka misiom, dosztukowywał złamane drewniane rączki i nóżki, cerował ubranka, wymieniał sznurki pacynkom, doczepiał nowe ogony z włosia konikom, a czasem nawet dokręcał oderwane głowy lalkom czy papierowe korpusy pajacykom. Te dwie ostatnie naprawy nazywał poważniejszymi operacjami i jak w prawdziwym szpitalu nigdy nie pozwalał bliskim pacjenta oglądać zabiegu.

– Mogłoby to być dla państwa zbyt wielkie przeżycie – zwracał się poważnie do dzieci. – Proponuję zatem, byście poczęstowali się państwo lizakiem w dowolnym kolorze z tamtego słoja i oddali rozkoszy jego powolnego spożywania, gdy tymczasem ja zabiorę chorego na salę operacyjną i dołożę wszelkich starań, by jak najszybciej wrócił do zdrowia.

Rodzice dzieci przyglądali się jego poczynaniom z pobłażliwością, z jaką zwykle poważni ludzie patrzą na nieszkodliwych szaleńców, ale maluchy kochały Jakuba. Czuli, że należy on do całkiem innego gatunku dorosłych. Niektóre brzdące podejrzewały nawet, że wciąż jest dzieckiem, tylko ukrywa się w dużym ciełe.

Tworzenie zabawek dawało Modrzyckiemu poczucie, że znajduje się we właściwym miejscu, a to napełniało go spokojem i uszczęśliwiało. Takiej pełni jak owego dnia, gdy dzięki słowom starego Żyda zdał sobie sprawę z własnego talentu, doświadczył w życiu jeszcze tylko jeden raz. Tamtej nocy po ślubie, gdy pierwszy raz zasnął wtulony w gładkie plecy Emilii. Nie chodziło wówczas o samą tylko noc poślubną, która obojgu dostarczyła niewątpliwych wrażeń, lecz o coś więcej. Gdy nasycony miłością po raz pierwszy objął ramieniem spokojnie oddychającą żonę, wiedział, że oto spełniło się jego marzenie. Kobieta, której złożył u stóp wszystko, co posiadał, oraz samego siebie, była tuż przy nim, tak blisko, że słyszał jej oddech, czuł każdy najlżejszy ruch. Była jego. Była nim, a on był nią. Pragnął tak trwać do końca czasów. Nieustannie budzić się i zasypiać, pomijając wszystko to, co pomiędzy. Chciał, by ta chwila nigdy się nie skończyła. By już na zawsze pozostali parą wtulonych w siebie nowożeńców, głęboko wierzących, że oto zaczyna się najpiękniejsza przygoda ich życia.

## Rozdział 3

Modrzycki cieszył się doskonałym zdrowiem, trawienie miał niegorsze, sypiał jak niemowlę, a i humor zwykle mu dopisywał, tak że nawet w obliczu poważniejszych trosk niełatwo tracił pogodę ducha.

Jego koledzy, którzy nie zostali tak hojnie obdarzeni przez kapryśną Fortunę, zaledwie poprzedniego dnia usiłowali odgadnąć, w czym tkwi sekret trwającej od tak wielu lat dobrej passy zabawkarza.

Jakub uśmiechnął się i z niekłamaną przyjemnością zaczął odtwarzać w pamięci wypadki minionego wieczoru, kiedy to jak co wtorek spotkał się z najbliższymi przyjaciółmi na partyjkę wista.

Jeszcze nim zaczęli grę, Modrzycki zdążył pochwalić się swoim nowym projektem, jednomyślnie uznanym przez kolegów za genialny. Właśnie ów wyrok, choć po prawdzie dla nikogo niebędący zaskoczeniem, spowodował mężczyzn do rozważań na temat tajemnic życiowego powodzenia jednego z nich. Tym samym Jakub znalazł się od razu na początku wieczoru w centrum uwagi, albowiem to właśnie jego losy rozbierano na czynniki pierwsze, usiłując ustalić przyczynę pasma sukcesów, jakim wydawało się jego życie.

– Pieniądze, ot i cała filozofia! Bo przecież pieniądź zwykle przyciąga pieniądź – mędrkował Stanisław Korzeniowski, znany warszawski adwokat, który przed laty przejąwszy po ojcu praktykę, nigdy nie narzekał na niedostatek, lecz nigdy też nie dokonał niczego wielkiego. – Tak to już jest na tym świecie, że bogaci szybko się wzbogacają, a biedni zwykle są biednymi do grobowej deski. Niemal każdy zaś wyjątek od tej reguły zaraz zyskuje miejsce w literaturze lub przynajmniej poświęca mu się wzmiankę w lokalnej prasie, bo tego typu historie jak żadne inne pobudzają ludzką wyobraźnię. Tymczasem świat jest niesprawiedliwy i takie marzenia zisz-



czają się nader rzadko – ciągnął, z widoczną przyjemnością przysłuchując się brzmieniu własnego głosu. – Nie zrozumcie mnie źle, nie odmawiam naszemu drogiemu Jakubowi talentu, bo tego niebiosa mu nie poskąpiły. Co swoją drogą jest kolejnym przejawem niesprawiedliwości rządzącej ludzkim losem, bo na ów talent też nijak sobie nie zapracował...

Jakub odchrząknął, jakby coś utknęło mu w gardle. Nie mógł nie zgodzić się ze słowami Korzeniowskiego, lecz mimo wszystko poczuł się nimi lekko zmieszany.

– A jednak zapracował, by ów talent wspaniale rozwinąć – wszedł Korzeniowskiemu w słowo Mamert Lecyk. – Mało to zmarnowanych talentów zakopano w ziemi wraz ze szczątkami tych, których nimi obdarowano?

– Przeto, jako rzekłem, nie odmawiam Jakubowi zasług – uściślił Korzeniowski. – Postawiona przeze mnie teza zakłada jedynie, że musiało dojść do paru szczęśliwych i mniej szczęśliwych zbiegów okoliczności, by znalazł się w miejscu, w którym dziś tak go podziwiamy. Przyznacie sami, że to ożenek z bajecznie bogatą Joanną, świeć Panie nad jej duszą – wszyscy mężczyźni przeżegnali się jednocześnie, po czym równie zgodnie sięgnęli po kufle z napitkiem – a po jej śmierci wżenienie się w rodzinę Szubertów i posag Emilii dały mu możliwości, o jakich wcześniej nie mógłby nawet śnić. Sam, Jakubie, często powtarzasz przecież, że wyprodukowanie niektórych zabawek kosztuje majątek.

Modrzycki potwierdził skinieniem głowy.

– A zatem, zanim ktoś kupił pierwszą z nich, nim stało się o nich głośno i wszystkie znakomitości tego świata zapragnęły ich dla swoich dzieci, wprzódy musiałeś mieć pieniądze na ich wyprodukowanie. Wprzódy, podkreślam, wprzódy. Gdybyś więc, Jakubie, nie miał dość pieniędzy...

– Mógłby pożyczyć... – zasugerował Lecyk, ale Korzeniowski zbył go pełnym politowania uśmiechem.

– Od kogo, mój drogi?

Mamert otworzył usta, jednak Korzeniowski nie pozwolił mu mówić.

– Gdybyś nie wiedział, bankierzy pożyczają tylko tym, co do których mają pewność, że oddadzą – tłumaczył adwokat. – Chętnie udzielają więc kredytów arystokratom, choćby ci parali się hazardem i pili od rana do nocy, bo pewnym jest, że aby uniknąć skandalu i okrycia nazwiska hańbą, któryś z bliższych czy dalszych krewniaków na żądanie spłaci długi i całość należnych odsetek.

– Prawda, prawda – mruknął dotąd milczący Adam Rychłowski, lecz gdy inni spojrzeli w jego stronę w oczekiwaniu na ciąg dalszy, odpowiedziała im już znów tylko cisza.

– Takiemu, co ma jedną poszarpaną koszulę na plecach i dziurawe buty, nie pożyczycy nikt, choćby jego pomysł na przedsięwzięcie był najgenialniejszy na świecie – ciągnął więc Korzeniowski. – Każdy zważa przede wszystkim na własne sprawy i ich bacznie strzeże. Dlatego, jako rzekłem, bogaci się bogacą, biedni biednymi pozostają, a do osiągnięcia czegokolwiek ów przysłowiowy łut szczęścia jest niezbędny i w zasadzie nikt nie może twierdzić, że zawdzięcza coś wyłącznie sobie.

„A więc o to ci idzie. Tu cię uwiera, bratku”, pomyślał Jakub Modrzycki, który wiedział dobrze, czego zazdrości mu Korzeniowski. Z drugiej jednak strony zdawał sobie sprawę, że akurat w tej kwestii Stanisław ma sporo racji.

– Niczego więcej nie odkryjecie, panowie, szkoda zachodu – zakończył tymczasem adwokat, odruchowo modelując głos tak, jak zwykł to robić na sali sądowej, stawiając kropkę po ostatnim zdaniu mowy końcowej.

Modrzycki kilkakrotnie skinął głową. Bynajmniej nie dlatego, że zgadzał się co do słuszności przedstawionej tezy, a jedynie po to, by uniknąć dalszych dywagacji na ten temat mogących nieuchronnie doprowadzić do sporu. Dogasający właśnie dzień był dlań wyjątkowo przyjemny i pragnął, by takim pozostał. Zabawkarz miał ochotę dobrze zjeść, napić się tak, by w głowie szumiało, lecz myśl pozostała jasna, rozegrać kilka partyjek wista i w poczuciu dobrze przeżytego dnia wrócić do domu. Do Emilii. Na samą myśl o żonie jego usta rozciągnęły się w błogim uśmiechu.

– Przecież tu nie o pieniądze się rozchodzi, drogi kolego. – Dobrotliwy Mamert Lecyk z właściwą aptekarzom precyzją postanowił zniweczyć plany Modrzyckiego i wyłuszczyć adwokatowi błędy w jego rozumowaniu, a tym samym dolać nieco oliwy do ognia, by dyskusja nie wygasła zbyt prędko. Jakub z trudem powstrzymał westchnienie. – Pieniądz jest, jak by to ująć, efektem końcowym reakcji łańcuchowej.

– Wszak sam pan wiesz, drogie Mamercie, że dokładnie tak to zwykle w przedsięwzięciach bywa – nie dawał za wygraną Korzeniowski, z nową energią podnosząc rzuconą mu rękawicę. – Jest pieniądz, jest pomysł i jako rzekłem, robi się z tej mieszaniny jeszcze więcej pieniędzy. Gdyby jednak zacząć od samego tylko pomysłu, ryzyko fiaska znacząco by wzrosło.

Siedzący obok w milczeniu Adam Rychłowski, inżynier i najbliższy z przyjaciół Jakuba, człowiek nader spokojny, by nie rzec flegmatyczny, otworzył był usta, żeby coś na to odrzec, ale Lecyk uprzedził go i znów przemówił swym pełnym łagodności głosem, którym zwykł zwracać się do najbardziej wymagających pacjentów. Aptekarz był osobą, której nie dało się wyprowadzić z równowagi.

– Przebieg procesów chemicznych można odtworzyć dość dokładnie – zwrócił się do Korzeniowskiego i z wyraźną przyjemnością pociągnął przy tym łyk piwa z wysokiego kufla. – Umiemy prześledzić krok po kroku każdą reakcję zachodzącą pomiędzy pierwiastkami w określonych warunkach laboratoryjnych...

– Pozwolę sobie przypomnieć, że rozmawiamy nie o chemii, a o źródłach powodzenia naszego drogiego Modrzyckiego – wtrącił Korzeniowski, po czym skinął na kelnera, jakby właśnie w tej chwili zauważył, że w kuflu niewiele mu już pozostało do wychylenia. – Przynieś pan jeszcze po jednym dla każdego i pieczonych ziemniaków na zakąskę.

– Jak ziemniaczki, to także grzybki w occie i śledzik – rzucił zaraz Rychłowski, który w kwestiach żywieniowych wykazywał się wyjątkowym dla niego zdecydowaniem i szybkością reakcji.

– Jak śledzik, to nie piwo, a wódeczka, panowie – zarządził Modrzycki i jak to zwykle w tym towarzystwie bywało, nikt mu się nie sprzeciwił.

– Służę uprzejmie – rzekł kelner i gnąc się w ukłonach, szybko zebrał kufle ze stołu.

Znał dobrze tych czterech klientów, co wtorek w sezonie jesienno-zimowym grywających w karty. Spotykali się wczesnym wieczorem i siadali zawsze przy tym samym stoliku w rogu, pod oknem. Zwracali się do siebie najczęściej po nazwisku lub per pan, jak gdyby nie pozostawali ze sobą w aż tak wielkiej zażyłości, w jakiej byli faktycznie. Imion prawie nie używali. Wymieniali pełne kurtuazji grzeczności, chwilę debatowali o polityce, po czym zasiadali do pierwszej partii. Grę przerywali mniej więcej po godzinie, by spożyć suto zakrapianą kolację. Po czym grali znów, choć z mniejszym już zapałem, i często sprzeczali się o to, kto ile miał lew, a tym samym, kto wygrał robra albo jaki kolor atu został wyznaczony. Słowem, po kilku głębszych z tej i tak niezbyt złożonej gry robiła się farsa.

I ten staroświecki wist kojarzący mu się z grą dla znużonych życiem starych panien w czepkach. Co innego brydż, którego kelner był cichym miłośnikiem, czy nawet poker, ale wist?

Mimo wszystko chłopak zawsze starał się o wtorkową zmianę, by móc ich obsługiwać. Po pierwsze dlatego, że to dziwaczne towarzystwo było też wesołe i kulturalne, po drugie, ponieważ po kolacyjnej części rozgrywek łatwo było namówić ich na droższe dania i lepsze alkohole, co czyniło wyższym rachunek, a za to zawsze kelnerzy zbierali pochwały od kierownika i dodatkowe złotówki do pensji.

„Wódeczka, ziemniaczki i śledzik. Zapowiada się dobry urobek, skoro sięgają po mocniejsze napitki jeszcze przed partyjką”, myślał teraz kelner, uśmiechając się pod wąsem.

W podskokach dobiegł do lady, pospiesznie ustawił na tacy zimną wódkę, cztery szklaneczki i niezbędną jego zdaniem miskę ogórków kiszonych, by mieli czym zagryźć, zanim kolacja będzie gotowa. Wiedział, że dobrego klienta należy obsługiwać przede wszystkim prędko, tak by nie niecierpliwiał się czekaniem.

– Zdrowie! – wykrzyknęli po chwili czterej mężczyźni, wznosząc w górę naczynia wypełnione przezroczystym płynem.

Kelner nalał im jeszcze po kieliszku, po czym zniknął w kuchni, by przynieść zamówione jedzenie. Wódka zaostrzała apetyt, dlatego na wszelki wypadek kazał kucharzowi przygotować podwójne porcje.

– Wracając do tematu zasadniczego. – Skrupulatny jak zawsze Lecyk nie mógł pozwolić, by zdanie Korzeniowskiego wybrzmiało jako ostatecznie, szczególnie że, jak mu się zdawało, jego własna koncepcja pozostała niezrozumiana. – Pieniądz to dopiero załóżek, wyzwalacz reakcji...

– I znów chemia... – westchnął Korzeniowski z udawanym znużeniem. W rzeczywistości pozostawał czujny jak pies myśliwski, a pozorowanie znużenia miało na celu zbitcie przeciwnika z tropu. Podobnie zresztą jak zwrócenie się do kelnera w środku toczonej dyskusji. Oba te zagrania były elementem strategii dyskusyjnej służącej zwycięstwu. Korzeniowski bowiem nie tolerował przegranych ani na sali sądowej, ani w życiu.

– ...o jej zajściu decydują wszak także inne komponenty, ot, choćby temperatura – zignorował go Lecyk, który przez lata trwania tej osobliwej przyjaźni zdążył się być nauczyć wszystkich sztuczek z repertuaru Korzeniowskiego. – I te właśnie sekretne składniki chcielibyśmy poznać. Gdyby bowiem, jak pan twierdzisz, każdy pieniądz rodził fortunę, wokół mielibyśmy samych bogatych przedsiębiorców. Tymczasem niejeden zainwestował majątek w przedsięwzięcie, które się nie udało, i rzeczoną fortunę, miast pomnożyć, stracił. Mało to znasz pan bankrutów i wszelkiej maści utracjuszy?

Rychłowski nieco sennie pokiwał głową, a trzej pozostali panowie zastanawiali się przez chwilę, czy jest to wyraz aprobaty, czy może inżynier zamierzał przysnąć, co zdarzało mu się czasem po spożyciu choćby niewielkiej ilości alkoholu. Jakub Modrzycki, oceniwszy, że to jednak senność, klepnął kompana mocno między łopatkami. Rychłowski podskoczył i wiedziony jakowymś instynktem sięgnął po kieliszek i wychylił do dna, czym niezamierzenie rozbawił wszystkich.

– Tymczasem nasz drogi Jakub przypomina raczej króla Midasa, który czego nie dotknie, obraca w złoto jakby mimowolnie – ciągnął niezrażony Mamert Lecyk, gdy zdołał opanować wesołość.

– Podoba mi się to porównanie – pochwalił Modrzycki, który umiał i lubił przyjmować komplementy wygłaszane pod swoim adresem.

– A przy tym dzieci ma udane – westchnął Korzeniowski, a Jakubowi przemknęło przez myśl, że przyjaciel mówi to z nostalgią, ponieważ myśl o jego własnych dzieciach nie jest mu aż tak miłą. – I żonę, która zdaje się wcale nie starzeć.

Lecyk i Rychłowski skwapliwie przytaknęli, bo uroda i wdzięk Emilii Modrzyckiej, drugiej żony Jakuba, w połączeniu z niezwykle przyjemnym usposobieniem, czyniły ją ulubienicą wszystkich.

– A może z diabłem się zbratałeś jak Twardowski? – zażartował nagle Korzeniowski. – Albo zaprzedałeś duszę złotej kaczce z Zamku Ostrogskich?

Modrzycki pokręcił tylko głową i zaśmiał się z tych domysłów, które miał za niedorzeczne, aczkolwiek lubił ich wysłuchiwać. Po pierwsze dlatego, że pomysłowość towarzyszy zdawała się nie mieć granic, a im więcej wypili, tym ciekawsze supozycje przychodziły im do głów. Po drugie zaś, ponieważ w chwilach, gdy on i jego sprawy stawali się głównym przedmiotem zainteresowania, odczuwał szczególną radość. Jemu samemu własne życie wydawało się proste i zwyczajne. Jak każdy sporo przeszedł, by znaleźć się w miejscu, w którym go tak podziwiano. Lecz on nigdy nie zapomniał drogi, jaką musiał przemierzyć, a owa pamięć tylko przydawała mu zadowolenia z siebie. Jakub umiał odnajdywać w życiu przyjemności, rozkoszować się nimi i cieszyć, choćby były drobne i dla innych w zasadzie niezauważalne.

Dlatego też teraz o poranku odetchnął raz jeszcze dla owej przyjemności właśnie, przy okazji uśmiechając się do wspomnień. O żadnych sztuczках mistrza Twardowskiego nie było mowy. Owszem, dwie najważniejsze sprawy, talent i ożenek z Emilią, zawdzięczał po części przypadkowi, przez niektórych określanemu mianem ślepego losu czy przeznaczenia, ale wszystko inne pozostawało jego zasługą.

Uczucie zadowolenia znów zalało jego duszę. Miał wszystko, czego potrzeba człowiekowi do szczęścia.

## Rozdział 4

Jakub Modrzycki uśmiechnął się szeroko do wspomnień z poprzedniego wieczoru i kołysząc na boki elegancką mahoniową laską z rączką z kości słoniowej, noszoną raczej przez ekstrawagancję niż dla wygody, skręcił z ruchliwej ulicy w zaułek i ruszył dalej wąskim przejściem między kamieniczkami, starannie wyłożonym kocimi łbami. Lubił tę drogę. Dwa rzędy kamienic po obu stronach zbudowano zbyt blisko, co sprawiało wrażenie, jakby budynki pochylały się ku sobie, chcąc jeszcze się zbliżyć. Przejście wyglądało dzięki temu jak tunel wiodący do tajemniczego świata. Szczególnie teraz, gdy resztki nocnej wilgoci sprawiały, że zaokrąglone kamienie pod jego stopami migotały w pierwszych promieniach porannego słońca. Ten moment przejścia ze zgiełku miasta w cichą uliczkę, przy której mieściły się jego sklep i warsztat, miał w sobie coś magicznego.

Pewnego razu Jakub podzielił się tą myślą z Mamertem, którego apteka znajdowała się tuż obok sklepu zabawkarskiego, ale ten prychnął tylko pogardliwie i stwierdził, że dla jego interesów lepsze byłoby jednak położenie bliżej głównego nurtu przechodniów.

– Lub przynajmniej w miejscu budzącym mniejszą trwogę – dodał jeszcze. – Mnie samemu czasem po ciemku jakoś strach tędy iść, a co dopiero wybrać się po walerianę czy laudanum. Kto wie, czy zza rogu nie wychynie jakaś zjawa albo potwór? – kpił ponuro.

Modrzycki nie poruszał więcej tego tematu, nie chcąc drażnić Lecyka, ale od czasu tamtej wymiany spostrzeżeń z jeszcze większą przyjemnością pokonywał ostatnie metry dzielące go od sklepu. Jego interesom bowiem to ciche, nieco tajemnicze miejsce, tchnące baśniową atmosferą, tylko przydawało korzyści.

Na uliczce, przy której mieścił się sklep z zabawkami, wszystko wydawało się pogrążone w głębokim śnie. Świt dopiero co przetarł czerń z nieboskłonu. Kawalek gazety zawirował na wietrze. Pan Jakub postawił kołnierz, lecz nawet lodowaty podmuch wiatru, który za wszelką cenę usiłował wdrzeć mu się pod poły eleganckiego wełnianego płaszcza, nie był w stanie zepsuć jego dobrego humoru.

Jeśli bowiem którąś porę roku Modrzycki upodobał sobie szczególnie, była to właśnie zima.

– Lubisz pan zimę, bo obroty masz pan wtedy szczególnie wysokie – śmiał się niegdyś mecenas Korzeniowski, a słowa te rozbrzmiały teraz w uszach Jakuba, gdy dostrzegł z oddali rozświetloną neonami wystawę swojego sklepu.

Pamiętał, że uśmiechnął się wówczas pobłaźliwie i pokiwał głową. Tak, kochał wszystko, co miało związek z zimą. Skrzypiący pod stopami śnieg, ślizgawki, z których po całym mieście niósł się dziecięcy śmiech, picie herbaty w przeszklonych kawiarnianych oranżeriach i święta, przede wszystkim święta.

– Warszawiacy ustawiają się w długich kolejkach, chcąc kupić te pańskie cudenka – ciągnął wonczas niezrażony jego milczeniem Korzeniowski, a Modrzycki jak zwykle mimowolnie zaczął zastanawiać się, czy jegomość prawi mu komplement, czy się zeń naigrawa. – O jednej z zabawek napisano nawet w „Kurierze”... Zaraz, zaraz, co to było...

„Żołnierz z katarynką”, odgadł zaraz Jakub, ale nic nie powiedział, żeby nie zepsuć efektu.

– Żołnierz z katarynką – w tej samej chwili podpowiedział Mamert Le-cyk.

– Dobrze, żeś pan go dla nas odłożył, bo moi synkowie z pewnością nie wybaczyliby mi, gdyby nie dostali po takim żołnierzu, i sam stałbym wtedy w kolejce – rzucił Korzeniowski.

Modrzycki wyobraził sobie pięciu synów Korzeniowskiego, którzy rozdali się rok po roku, zawsze na wiosnę. Twarze mieli okrągłe jak księżyce, oczy małe i wąskie niczym szparki, nosy zadarte, wargi mięsiste, słowem –



stanowili idealne kopie swojego ojca, tylko nieco mniejsze od oryginału. Jednak podczas gdy mecenasowi te szczegóły dodawały powagi, u dzieci wyglądały nieco karykaturalnie. Jakub i Emilia po cichu nazywali pociechy Korzeniowskiego małymi potworkami, a stwierdzenie to nie odnosiło się wyłącznie do ich fizyczności.

Modrzycki wzdrygnął się na samo wspomnienie dnia, w którym paniczykowie Korzeniowscy wraz z boną odwiedzili jego sklep. Poprzysiągł sobie wówczas, że już zawsze będzie obdarowywał Korzeniowskiego najnowszymi modelami zabawek, jeszcze zanim znajdą się one w regularnej sprzedaży, byle tylko adwokat trzymał swoje dzieci z dala od jego sklepu. Mali Korzeniowscy zachowywali się bowiem jak dzikie zwierzęta po raz pierwszy wypuszczone z klatek na wolność. Zdejmowali zabawki z półek, a potem rzucali je na podłogę. Potrząsali pozytywkami, stukali jedną zabawką o drugą, usiłowali odrywać głowy pluszowym misiom, a lalki pozbawić ich złocistych loków. Robili przy tym tak niemiłosierny hałas, że paru klientów cofnęło się od drzwi i nawet nie weszło do środka. W końcu Szczekot, jeden z subiektów Modrzyckiego, dał chłopcom po ciągutkowym lizaku, a potem powiedział, że w sklepie z zabawkami obowiązuje kategoriyczny zakaz jedzenia słodyczy. Mali Korzeniowscy przy wtórze przyczepionego do drzwi dzwoneczka wysypali się więc na ulicę, a za nimi, kręcąc biodrami, podążyła bona.

Jakub zastanawiał się potem wiele razy, czy jego niechęć nie miała przypadkiem czegoś wspólnego z niepokojem wywołanym przez niezwykle ponętne kształty owej bony, która wbrew nakazom skromności nosiła się nieco zbyt swobodnie, co więcej, mimowolnie robiła wszystko, by owe uchybienia nie pozostały niezauważone. Ilekroć pochylała się nad którąś z witryn sklepowych, by spojrzeć na pokazywaną przez dziecko zabawkę, jej bluzka nieznacznie się rozchyłała, ukazując krągłości mlecznobiałych piersi, a gdy kobieta pochwyciła wbity weń wzrok któregoś z mężczyzn, pochylała się jeszcze odrobinę. Kiedy zaś któryś z panów usiłował omijać ją spojrzeniem, podchodziła właśnie do niego i musnąwszy drobnymi paluszkami jego ramię, słodkim jak miód głosem prosiła o poradę.

Modrzycki był ciekaw, czy to aby nie owe wdzięki sprawiły, że bona otrzymała posadę u mecenasa Korzeniowskiego, którego małżonki nawet przy najlepszych chęciach nie dało się już zaliczyć do grona kobiet godnych pożądania. Nie chodziło tu tylko o przygasającą z każdym rokiem urodę, lecz także o usposobienie, które trudno było nazwać przyjemnym.

„Co innego moja Emilia”, myślał każdorazowo Jakub i zaraz wstręt jakiś czuł do siebie samego, że mając tak wspaniałą żonę, śmiał choćby wspomnieć o krągłościach bony małych Korzeniowskich. Woląc nie wystawiać się na pokusy myśli zdrożnych, w tym roku w okresie świątecznym zamierzał od razu wysłać zabawki do domu mecenasa, tak by bona nie musiała zaglądać do jego sklepu.

– Emilia... – szepnął, z trudem opierając się pokusie, by nie zawrócić do domu.

Tak, wyraźnie czuł delikatne nutki niepowtarzalnej woni mrozu pojawiającej się tylko na granicy jesieni i zimy. Miał ogromną ochotę podzielić się z żoną przypuszczeniami, że wyczuł w powietrzu pierwszy śnieg, który bez wątpienia lada dzień zacznie padać. Wiedział, że Emilia nie wyśmiałaby go, ale podzieliła jego radość.

Przed laty, jeszcze zanim pojawiły się w ich życiu dzieci, co roku z dnia, w którym po raz pierwszy sypały się z nieba białe, zimne płatki, robili sobie małe święto. Modrzycki uwielbiał patrzeć, jak białe gwiazdki osiadają na długich, ciemnych rzęsach Emilii. W tym obrazie było coś tak zachwycającego, że już samo jego wspomnienie wzbudziło w nim tęsknotę za żoną.

„Iść czy nie iść”, wahał się.

Serce pchało go z powrotem ku domowi, przez lata jednak nauczył się, że jeśli chce się coś osiągnąć, nie zawsze można dawać posłuch pragnieniom serca.

Od kilku lat przemysł zabawkarski przeżywał kryzys. Wiele fabryk znacznie zmniejszyło produkcję, która trwała teraz zaledwie dwa albo trzy dni w tygodniu, a zwiększano ją jedynie późną jesienią i na początku zimy, by wszystko było gotowe na przedświąteczną gorączkę. Niektórzy fabrykanci zamknęli nawet swoje interesy, nie mogąc sobie zapewnić płynności

finansowej. Wciąż powtarzano zdanie, że rodzime zabawki nie są w stanie konkurować z niemieckimi przede wszystkim pod względem cen. Polska była krajem zbyt biednym, a jej ludność była zbyt mało zamożna, by pojawiło się zapotrzebowanie na produkcję zabawek na masową skalę. O wiele taniej było sprowadzać je z Niemiec czy z Austrii.

Gdy Jakub słuchał podobnych słów, mimowolnie przypominał sobie obawy, jakie żywiła przed laty jego matka, w czasie gdy on sam decydował się na wybór takiej, a nie innej drogi życiowej. Jej wątpliwości okazały się słuszne, choć nie dotyczyły interesów jej syna. Modrzycki bowiem mimo światowego kryzysu radził sobie doskonale, choć wymagało to z jego strony sporych poświęceń. Wzmógłna praca zaczynała się zaraz po wakacjach, by w okolicach końca października jeszcze się zintensyfikować. Listopad i grudzień, nie wyłączając dnia Wigilii, były zaś czymś w rodzaju wielkiego finału, ostatnich kilku metrów przed metą. Grudniowy utarg stanowił znakomitą większość całorocznych przychodów.

Nie, jeśli Jakub chciał utrzymać swój interes w dobrej koniunkturze, musiał pracować ze zdwojoną energią i zaczynać tym wcześniej, im krótsze robiły się dni.

Czasem po prostu należy wypełnić swoje obowiązki, a wzruszenia zostawić na później.

„Na później...”, powtórzył jakiś wewnętrzny głos w głowie Jakuba. „Na później”.

Kiedyś nie odkładał niczego na owo sławetne „potem”, żył chwilą, lecz z biegiem lat to się zmieniło. Najpierw sprawy osobiste schodziły na dalszy plan w drodze wyjątku, ale potem wyjątek stał się regułą. Zawsze było coś pilnego do zrobienia. Jakaś wystawa do zobaczenia, pomysł, który należało zrealizować natychmiast, choroba dzieci, czyjaś wizyta, zima, letnisko czy jedna z dziesiątek spraw zupełnie odtwórczych, jakich przy prowadzeniu interesu jest zawsze całe mnóstwo.

„Dlaczego zarzuciliśmy zwyczaj wspólnego witania pierwszego śniegu?”, pytał samego siebie, czując dziwne ukłucie niepokoju. „I kiedy właściwie to się stało?”

– Dzień dobry, panie Jakubie! – jakiś głos dotarł do jego uszu, przerywając rozmyślenia. – Nie zimno tak stać na dworze? W środku pewnie cieplej.

W ostatnich kpiących nutkach rozpoznał natychmiast głos starego Breymeyera, fabrykanta kufrów trzciniowych, którego magazyn mieścił się przy tej samej uliczce, co jego zabawkarnia i apteka Lecyka. Odwrócił się i ukłonił sąsiadowi. Breymeyer był niezwykle drobnym mężczyzną z długą, białą brodą. Modrzycki pracował w tym samym miejscu od przeszło dwudziestu lat i przez cały ten czas broda Breymeyera pozostawała niezmiennie śnieżnobiała i jednakowej długości. Tylko sam fabrykant jakby malał, kurczył się pod wpływem ciężaru lat.

– Jak tak dalej pójdzie, pewnego dnia Breymeyer zniknie zupełnie – stwierdził któregoś dnia Mamert, po czym dodał z właściwym sobie wisielczym humorem: – A jaka to oszczędność dla rodziny! Im mniejsza trumna, tym mniejszy wydatek.

Jakub uchylił kapelusza i uśmiechnął się do starca.

– Zimno, zimno, a to dopiero listopad! – odrzyknął. – Strach pomyśleć, co będzie w grudniu!

– Jak Bóg da dożyć, przekonamy się – odparł Breymeyer.

Jakub nie odpowiedział, tylko pokiwał głową.

– Tymczasem praca sama się nie wykona, panie sąsiedzie. A niedługo przecież święta – rzucił jeszcze staruszek, naciskając klamkę drzwi do swojego sklepu. – Wszyscy czekają na pańską tegoroczną zabawkę. Dobrego dnia życzę!

– Dobrego dnia! – odpowiedział Jakub i więcej nie wrócił do rozmyślań o żonie, bo słowa Breymeyera przypomniały mu, jak wiele ma pracy przed rozpoczynającym się wkrótce czasem przedświątecznej gorączki.

Oprócz klasycznych zabawek, które zawsze rozchodziły się jak świeże bułeczki, na każde święta Bożego Narodzenia Jakub miał w zwyczaju szykować dla dzieci niespodziankę, jakąś szczególną zabawkę, co roku inną. Miesiącami w wolnych od pracy chwilach głowił się nad tym wyjątkowym projektem. Rysował, przeglądał albumy, jeździł na rozmaite wystawy

w kraju i za granicą w poszukiwaniu pomysłu na coś oryginalnego, jak ów wspomniany przez Korzeniowskiego, ubiegłoroczny żołnierz z pozytywką.

Mechanizm grający zmyślnie ukryty był wewnątrz małego werbelka, dzięki czemu całość mogła zmieścić się w metalowym pudełeczku wielkości dziecięcej dłoni. Na dole przedmiotu znajdował się otwór na kluczyk. Po jego przekręceniu pudełeczko należało odstawić i chwilę zaczekać. Nagle uchylała się jedna z jego ścianek, a ze środka wymaszerowywał mały żołnierz grający marsza miniaturowymi pałeczkami.

Zabawka okazała się tak wielkim sukcesem, że na tydzień przed świętami była już nie do kupienia. Ostatnią sztukę, przygotowaną specjalnie na zamówienie jednego z posłów, Jakub osobiście skończył skręcać w wigilijny wieczór, gdy nie tylko pierwsza gwiazdka, ale i wiele innych świeciło już na niebie. Umówiony zawczasu dorożkarz zarobił swoją miesięczną pensję, czekając na mrozie dodatkowe godziny. Gdy jechali opustoszałymi ulicami miasta, Jakub spoglądał w rzęsiście oświetlone okna kamienic. W ciemnych ramach w żółtawej poświacie widać było przystrojone choinki z zapalonymi świeczkami i stojących naprzeciwko siebie nieznanym, którzy zapewne właśnie w tym momencie składali sobie życzenia.

Na zimnej i ciemnej ulicy Jakub czuł się wtedy obco i samotnie. Obecność kurzącego papierosa za papierosem woźnicy niewiele pomagała. Modrzycki miał wrażenie, że jest ostatnim chrześcijaninem w tym mieście, który zamiast spędzać czas z rodziną, poświęca bezcenne chwile pracy. Żalność chwyciła go za gardło i z trudem powstrzymał się, by nie kazać woźnicy zawrócić. Wówczas jednak pomyślał o małym chłopcu, synu posła, który z pewnością czekał na swój świąteczny podarek, i wiedział już, że musi wypełnić zobowiązanie do końca. Był pewien, że Emilia to zrozumie i zaczeka na niego tak długo, jak będzie trzeba.

Powiew wiatru znów przyniósł znajomą woń mrozu. Jakub Modrzycki nie miał już cienia wątpliwości, że lada dzień nadejdzie zima.

– Cóż, dobre wieści będą jednak musiały poczekać do kolacji – mruknął pod nosem, po czym zamiast zawrócić, wsunął laseczkę pod ramię i sięgnął

do kieszeni po klucze do sklepu z zabawkami.

## Rozdział 5

Co do zasady Jakub Modrzycki pozwalał sobie tylko na jedną przerwę w ciągu dnia, którą przeznaczał na ciepły posiłek. Zwykł jadać obiady w samotności. Niekiedy tylko robił wyjątek dla Mamerta, który z racji sąsiedztwa prowadzonych przez nich interesów czasami zapraszał go na wspólny posiłek. Mimo ogromnej sympatii, jaką darzył aptekarza, Jakub wolał, gdy Lecyk zamiast niego wybierał do towarzystwa pana Józefa Świetlickiego, właściciela magazynu z przyborami do podróży, konnej jazdy i polowań, starego Breymeyera albo inżyniera Koryckiego.

Ilekcio Modrzycki myślał o tym ostatnim, zaraz przed oczami stawał mu afisz z reklamą prowadzonego przez niego sklepu z oświetleniem. Na plakacie wielkimi literami napisane było „OD BANDYTÓW”, a potem już mniejszą czcionką, z pewnej odległości niemal niewidoczną, stało: „Najpewniej zabezpiecza oświetlenie podwórza lampami naftowo-żarowymi. Cennik na żądanie bezpłatnie. Od roku 1898 firma oświetliła trzydzieści miast i miasteczek oraz dwieście majątków”. Jakub musiał przyznać, że twórca reklamy doskonale wiedział, jak przyciągnąć uwagę. Niemal każdy przechodzień zatrzymywał się, widząc wielki napis „OD BANDYTÓW”, a raz się zatrzymawszy, z rozpędu czytał i całą resztę.

Wszyscy wyżej wymienieni prowadzili interesy na tej samej ulicy, co on i Lecyk. Kłaniali się sobie i siłą rzeczy niekiedy wymieniali przysługi. Sam Jakub korzystał ze świec żarowych od Koryckiego przy konstruowaniu domków dla lalek, zaś trzcinki Breymeyera służyły mu podczas robienia mebelków do tychże. Mimo to ich stosunki nie należały do specjalnie zażyłych. Już sama myśl o konieczności spożycia posiłku w towarzystwie osób, z którymi nie miał o czym mówić, wydawała się Modrzyckiemu nieznośna, a jeśli czegoś Jakub szczególnie nie lubił, to właśnie robienia rzeczy na przekór sobie. I marnotrawienia czasu.

Po prawdzie nawet z Mamertem, za którym przepadał, Modrzycki nie lubił chadzać na obiady i robił to jedynie w drodze wyjątku w naprawdę szczególnych okolicznościach. Spotkania towarzyskie w środku dnia wydawały mu się niestosowne, choć zdawał sobie sprawę, że jest w tym poglądzie odosobniony, a jego świętej pamięci matka z pewnością ponownie dostałaby ataku serca, usłyszawszy coś podobnego. W czasach jego dzieciństwa goście na obiedzie bywali w ich domu niemal codziennie i w niczym nie przeszkadzało to w podejmowaniu kolejnych w porze kolacji. Zwyczaj te zmieniły się nieco, gdy zaczęły się w ich rodzinie problemy finansowe, jednak wówczas matka podejmowała gości w czasie podwieczorku, gdzie menu nie wymagało aż tak wysokich nakładów finansowych.

Jakub uważał to wszystko za źródło niepotrzebnych rozproszeń. Wiedział, że wielu było takich, którzy od momentu przekroczenia progu biura czy urzędu odliczało tylko minuty do kolejnych przerw i fajrantu. Ale on szczerze kochał to, co robi. Zajęcie, które sobie wybrał, pochłaniało go bez reszty i gdyby nie potrzeby ciała, zapewne pracowałby nieprzerwanie od świtu do zmierzchu.

Na obiad wychodził więc dopiero, gdy jego żołądek zaczynał kurczyć się boleśnie, a myśli mu mętniały. Wówczas wiedział, że przerwa jest czymś nieuniknionym. Wtedy jednak chciał zjeść szybko i możliwie smacznie, po czym nie oglądając się na nikogo, wrócić do przerwanych zajęć.

Wybierając się na posiłek, zostawiał warsztat pod opieką majstra Bierneckiego. Nad sklepem zaś czuwali niezawodni subiekci, pilnie baczący jeden na drugiego, bo choć starali się to ukryć, Modrzycki dobrze wiedział, że nie przepadają za sobą nawzajem. Cieszyło go to, bo gwarantowało doskonałą obsługę w jego sklepie. Każdy z subiektów czyhał na błąd kolegi, co powodowało, że pilniej patrzyli sobie na ręce, a zarazem starali się nie dać drugiemu satysfakcji i każde zadanie wykonywali w dwójnasób starannie. Tymczasem Modrzycki wkładał kapelusz i niespiesznie, po drodze kłaniając się wiele razy znajomym damom, szedł do gospody Pod Bazantem.

Miejsce to nie należało do najelegantszych i Emilia wielokrotnie prosiła męża, by zaprzestał odwiedzin w tym przybytku wątpliwej higieny, aż



w końcu dała za wygraną, wiedząc, że w tym przypadku nawet ona nic nie wskóra. Jakub musiał tam bywać, nie mógł bowiem po prostu oprzeć się tamtejszym flakom, warszawskiemu specjałowi, który tu właśnie smakował mu jak nigdzie indziej.

Gdy był szczególnie głodny, zamawiał jeszcze pieczonego kapłona, wątróbkę z jabłkiem i cebulką albo smażonego śledzia, lecz to namiętność do flaków kazała mu wciąż wracać do tej właśnie jadłodajni, o której Emilia nie mówiła inaczej niż „to miejsce”.

Gospoda Pod Bażantem mieściła się w suterenie kamienicy, która lata świetności miała już dawno za sobą. Tynk odchodził tutaj ze ścian, a całość domagała się odmalowania, ale na to zapewne właściciel tego miejsca nie miał ani środków, ani ochoty, o czym aż nadto wyraźnie świadczyło ogólne zaniedbanie otoczenia budynku. Do ciemnawego wnętrza lokalu schodziło się po kilku stromych schodkach. Pokonując tę drogę, Modrzycki dla bezpieczeństwa podtrzymywał się ściany i niejednokrotnie rozważał, jak docierają tu klienci w stanie upojenia alkoholowego, skoro jemu na trzeźwo przychodziło to z pewnym trudem.

W środku bez względu na porę dnia panował półmrok i niemiłosierny zaduch, jakby nikt nigdy nie wietrzył tego miejsca. W powietrzu dawało się więc wyczuć mieszaninę aromatów przygotowywanych tu przez lata potraw, charakterystyczny zapach nadtrawionego alkoholu i ostrą woń spoconych ludzkich ciał. Podłoga i stoły były nieodmiennie lepkie, krzesła trzeszczały niepokojąco, a ławy chwiały się na wszystkie strony i nigdy nie było pewności, czy akurat się nie złożą. Wszystko to raczej nie zachęcało do zamówienia czegokolwiek i Jakub nigdy byłby tego nie uczynił, gdyby nie pewien zbieg okoliczności.

Dwa lata wcześniej zafascynowany jednym z jajek Fabergé postanowił sam zrobić zabawkę z mechanizmem zegarowym w środku. Poprosił wtedy o radę znajomego zegarmistrza, a gdy ten znalazł rozwiązanie zagwozдки, zabawkarz zaoferował mu współpracę. Modrzycki nie wiedział wówczas jeszcze, jak wielką przysługę wyświadcza mężczyźnie, który od miesięcy borykał się z poważnymi problemami finansowymi, a jako że był jedynym

żywcielem dość licznej rodziny, perspektywa całkowitej utraty środków do życia spędzała mu sen z powiek.

Pierwsze zlecenie od Jakuba nie rozwiązało wszystkich problemów zegarmistrza, ale pozwoliło na spłatę najpilniejszych zobowiązań. Mężczyzna w ramach podziękowania uparł się zaprosić Modrzyckiego na obiad, choć ten wszelkimi metodami starał się od tego wymówić. Gdy stanęli w progach gospody Pod Bażantem, Jakub wyrzucał sobie, że nie postawił spraw bardziej stanowczo.

– Proszę mi zaufać – rzekł zegarmistrz, który dostrzegł wahanie odmalowujące się na twarzy gościa. – Nie pożałuje pan, panie Jakubie.

Modrzycki był niemal pewien, że jednak pożałuje, i to rychło. Wiedział, że ryzykuje niestrawność, zatrucie, a kto wie, czy nie jakąś poważniejszą chorobę, o którą nietrudno w takim przybytku, ale delikatność nie pozwalała mu zdradzić tych obaw przed kolegą.

Ostatecznie postanowił zrobić wyjątek od zasady, zgodnie z którą mocne trunki pijał wyłącznie z wieczora, i do złożonego przez kompana zamówienia domówił jeszcze butelkę żytniówki. Siedzieli przy lepkiem stole i rozmawiali o interesach, a Modrzycki miał problem ze skupieniem się, ponieważ modlił się w duchu, by udało mu się zamówić powóz, zanim żołądek całkiem odmówi mu posłuszeństwa.

Wreszcie otyła kelnerka o nieprzyjaznym wyrazie twarzy postawiła przed nimi dwie miski parujących flaków, rzuciła na stół koszyczek z pieczywem i odeszła, nie odezwawszy się ani słowem. Modrzycki miał ochotę się przeżegnać, lecz w tej samej chwili jego nozdrza połechtala przyjemna woń, zaskakująco kontrastująca z panującym wokół fetorem. Zegarmistrz natychmiast zabrał się do jedzenia i robił to z wyraźną przyjemnością. Jakub dyskretnie przetaił łyżkę własną chustką i podążył jego śladem. Już po pierwszym łyku wiedział, że znajomy miał rację. Zupa była gęsta, a flaki starannie oczyszczone, pokrojone w cieniutkie paseczki i idealnie miękkie, w przeciwieństwie do warzyw, kawałków selera, marchewki i pietruszki, które pozostawały lekko chrupiące. Całość przyprawiona bez przesady solą, pieprzem i majerankiem natychmiast przywiodła Modrzyckiemu na myśl

wspomnienie czasów dzieciństwa, gdy gospodyni w majątku wiejskim jego stryja gotowała flaki z dziczyzny, w których rozkochane było całe rodzeństwo ojca Jakuba.

– Doskonale! – wykrzyknął i skończywszy jeść o wiele zbyt szybko, niż nakazywały zasady dobrego wychowania, starannie wytarł chlebem resztki z talerza.

Zegarmistrz uśmiechał się łagodnie, patrząc, jak Jakub je z apetytem człowieka potrafiącego docenić życie.

Zjedli jeszcze po dwie kiszki czarne z kaszą gryczaną przysmażone w plastrach, podane z uduszonymi jabłkami i Modrzycki wiedział już, że nie zdoła oprzeć się pokusie i jako wielki amator dobrego jedzenia na pewno jeszcze kiedyś wróci do tego przybytku.

Szybko okazało się, że ma ochotę wracać nadzwyczaj często, aż wreszcie całkiem weszło mu to w krew. Nawet wewnątrz gospody, które w pierwszej chwili wydawało mu się tak obskurne, teraz działało nań kojąco.

Podobało mu się też i to, że nie było tutaj najmniejszej szansy na spotkanie kogoś z towarzystwa. A co za tym idzie – ryzyka, że w jedynym momencie w ciągu dnia, gdy pozwalał sobie na beczynność, będzie zmuszony prowadzić jałowe rozmowy z ludźmi, z którymi musiał pozostawać w dobrych stosunkach, choć wcale nie miał na to ochoty. Robienie czegokolwiek wbrew sobie stanowiło dla Jakuba od zawsze źródło udręki. Emilia twierdziła nawet, że właśnie dlatego został zabawkarzem.

– W dziecięcym świecie nie istnieją wszak takie pojęcia jak „trzeba” czy „wypada”, a i tobie nie sposób ich wpoić – śmiała się, a Modrzycki, choć markował oburzenie, w duchu przyznawał żonie rację. – Nie ma też w twoim słowniku słowa „niemożliwe” – dodawała z czułością, a wówczas Jakub miał wrażenie, że wyrastają mu skrzydła.

Emilia wierzyła w niego na długo przed tym, zanim uwierzyli inni.

W związku z tym, że stali bywalcy gospody Pod Bażantem po kilku dniach przyzwyczaili się do jego obecności i przestali zwracać na niego uwagę, restauracja stała się jedynym miejscem, w którym naprawdę mógł zebrać myśli. I to właśnie robił. Po skończonym posiłku siedział nad kub-

kiem kwasu chlebowego i oddawał się rozmyślaniom. Dopiero gdy czuł, że ogarnia go senność, uiszczał zapłatę i szybkim krokiem, by się rozbudzić, wracał do warsztatu, gdzie pracował aż do kolacji.

W menu gospody Pod Bażantem zmiany zachodziły niezwykle rzadko. Dokładniej jedynie raz do roku, kiedy to zawiadująca kuchnią właścicielka przybytku, kobieta o czerwonych dłoniach, pociemniałych oczach i obfitym biuście, zlewającym się w jedno z równie wydatnym brzuchem, przypominała sobie przepisy na świąteczne potrawy. Na tydzień przed Bożym Narodzeniem można było składać u niej zamówienia na wybrane wiktuały i odebrać je w słoikach w wigilijne popołudnie.

Kiedy Jakub po raz pierwszy o tym usłyszał, był szczerze zdziwiony. Jednak gdy kilka dni później, w Wigilię, swoim zwyczajem zajrzał do gospody w porze obiadu, by bacząc na post, zjeść chociaż cienką zupę warzywną z zacierkami, przed jadłodajnią ujrzał długą kolejkę. Przystanął zdezorientowany, bo większość czekających w niczym nie przypominała stałych bywalców tego lokalu. Spieszyło mu się. Zaczął więc analizować, czy nie posilić się czymś drobnym na zapleczu w warsztacie i jakoś doczekać do kolacji, gdy zza rogu wyszła dziewczyna, pomoc kuchenna właścicielki gospody. Ujrawszy Modrzyckiego, skinęła nań energicznie.

– Szanowny pan na obiadek zapewne? – zagadnęła, gdy podszedł do niej.

– Taki miałem zamiar, ale chyba dziś będę musiał go porzucić – odparł Jakub, mimowolnie zerkając na kolejkę, która zdawała się wprawdzie przesuwac dość sprawnie, ale wcale nie malała, bo wciąż dołączali do niej nowi ludzie.

– A bo to Wigilia – bąknęła dziewczyna, jakby mówiła o czymś całkiem oczywistym, choć to stwierdzenie Jakubowi nie wyjaśniło absolutnie nic. Dziewczyna musiała to zauważyć, bo pospieszyła z wyjaśnieniami: – Po weki przyszli.

– Po weki? – powtórzył Jakub, bo nie zauważył, żeby w gospodzie prowadzono dział z garmażerią.

– Ano, weki. Kapustę z grochem na Wigilię, bigos na Boże Narodzenie. Jak się którejś gospodyni nie chce gotować, to od nas kupuje.

To ostatnie zdanie wyjaśniało przynajmniej zagadkę tłumu nieznanym stojących w kolejce.

– Dużo śledzi schodzi i sałatki śledziowej. I lin w śmietanie. I sandacz z grzybami, tak na wykwinie. Potem sobie taka jedna z drugą wielka pani, co to na kuchni wcale się nie zna, hyc, wyjmie ze słoiczka na talerz, uklepie, przybierze i może podawać. Niektórym to dobrze – westchnęła dziewczyna ogarnięta nagłym rozmarzeniem. – No i akwawita, czyli wódka do tego. Też świąteczna, bo jak inaczej. Taka ze słodkich pomarańczy z garncowego gąsiorka. W tym roku szefowa dobrodziejka na całej podłodze w spizarce gąsiory poukładała. Nawet szwedzką jakąś bibułę do filtrowania kupiła, bo Ćwierciakiewiczowa w przepisie takiej użyć kazała, ale... – tu dziewczyna zniżyła głos i rozejrzała się uważnie dookoła – aleśmy się tym filtrowaniem szybko zmęczyły, huk roboty przed świętami i bibuła droga jak diabli, a dużo jej schodzi. Bez filtrowania rozlewałyśmy. W smaku różnicy żadna z nas nie wyczuła, to i klient nie wyczuje, bo tu tacy znowu smakosze nie przychodzą.

Zmieszany Jakub odchrząknął lekko, przypominając kucharce o swojej obecności.

– Pan zjeść chciał, tak? – spytała znowu przytomnie.

Modrzycki przytaknął.

– To za mną pan pójdzie, o tędy, przez kuchnię. – To rzekłszy, wskazała małe drzwiczki, których Jakub dotąd nie zauważył. – Pod dwiema kuchnia-mi napalone, bo tych bigosów klientki nazamawiały, gorąco jak w piekle, przewietrzyć się wyszłam, a tu proszę, jeszcze miłosierny uczynek w samą Wigilię spełnię i przybysza nakarmię. Z pana to taki przyjemny mężczyzna, że aż miło... – dodała i wyszczerzyła poźólkłe zęby. – No, aż nakarmić miło.

Pojawienie się Jakuba w gospodzie zdawało się nikogo nie dziwić albo też nikt go nie zauważył w panującym wszędzie wokół rejwachu. Dziewczyna posadziła gościa przy zastawionym butelkami wódki stole i surowo przykazała mu niczego nie dotykać. Po chwili wróciła, stawiając przed nim miskę szarawej brei i talerz z chlebem.

– Zupa śledziowa – wyjaśniła. – Chciałam gorących ziemniaków dołożyć, ale nikt dziś nie ugotował. Chleb musi wystarczyć.

W następnej chwili zniknęła w plątaninie zaczerwienionych od gorąca rąk i nóg. Jakub wsadził łyżkę do miski i mimo głodu ściskającego mu brzuch nie mógł przekonać się, żeby podnieść ją do ust. W mętnej wodzie pływały kawałki śledzia i cebula. Wreszcie głód spotęgowany unoszącymi się znad palników zapachami zwyciężył. Zupa okazała się zaskakująco smaczna. Mieszanina octu, czosnku, mleka i cebuli, doprawiona śledziowym posmakiem, zagryzana czerstwym chlebem, okazała się dokładnie tym, czego potrzebował.

Choć tego dnia było zimno i idąc do gospody, Jakub marzył o czymś ciepłym do zjedzenia, zaledwie kilka chwil w kuchni wystarczyło, by spocił się i zmęczył tym ciepłem. Zimna zupa śledziowa była więc akuratnym daniem.

Przez lata Modrzycki nauczył się już panujących tu zwyczajów i w Wigilię nie zaglądał do gospody. Jednak od tamtej pory rokrocznie wyczekiwał początku adwentu, gdy właścicielka zaczynała swoje przedświąteczne eksperymenty kulinarne.

– Ci tutaj zjedzą wszystko – wyjaśniła kiedyś Jakubowi dziewczyna, która w międzyczasie przestała już być panienką, wyszła za mąż i co roku wydawała na świat kolejne dzieci, jednocześnie wciąż pracując w gospodzie. – A dla tych klientów, co to zamawiają na święta, musi być wszystko git i sakramencko.

Adwent był już blisko, a w powietrzu dało się wyczuć pierwsze podmuchoy zimy. Wchodzącego do gospody Jakuba ogarnęło nagłe pragnienie skosztowania jakiejś świątecznej potrawy. Liczył, że może to wprawi go w odpowiedni nastrój, spowoduje, że wrota wyobraźni staną przed nim otworem i wreszcie wymyśli tegoroczną zabawkę. Po raz pierwszy w życiu bowiem nie miał żadnego wyjątkowego pomysłu i zaczął już nawet rozważać zerwanie z tradycją.

– Co podać? – bąknęła jedna z kelnerek.

– Coś świątecznego – odparł Jakub, nim zdążył zastanowić się nad tymi słowami.

Kobieta popatrzyła na niego nic nierozumiejącym wzrokiem. Potrząsnął więc głową i szybko zamówił porcję flaków.

Czekając na jedzenie, przyglądał się małej dziewczynce siedzącej w rogu sali. Gotów był iść o zakład, że jest to jedna z młodszych latorośli jego starszej znajomej. Mała trzymała w rękach dwa szkiełka, zapewne znalezione pod jednym ze stołów pozostałości jakiejś bijatyki. Nakładała kolorowe odłamki na siebie i zasłaniała nimi to światło świecy, to jasność dnia, uśmiechając się przy tym szeroko.

Modrzycki patrzył na nią uważnie, a w jego głowie zaświtała pewna wizja. Odetchnął z ulgą i nagle ogarnęło go zabobonne przekonanie, że to wszystko zasługa nadchodzącego śniegu.

## Rozdział 6

Jakub przeskoczył ostatnie kilka schodków dzielących go od drzwi i wpadł do mieszkania. Uśmiechał się przy tym, nie mogąc wprost doczekać się widoku żony. Nie wiedzieć czemu przez cały dzień plątała mu się ona w myślach, aż wreszcie musiał przyznać, że po prostu za nią tęsknił.

„To pewnie znów przez ten śnieg”, tłumaczył sobie, ale nagła tęsknota za małżonką, z którą dzielił życie od tak wielu lat, sprawiła mu też pewną przyjemność, świadczyła bowiem o świeżości uczuć, których bieg czasu nie zdołał osłabić.

– Wołaj panią – ponaglił gospodynię, gdy ta odbierała od niego płaszcz.

Zamierzał jak najprędzej opowiedzieć Emilii o tym, że w powietrzu czuć już pierwsze zwiastuny zimy, a także o tym, iż obserwowanie gry światła na szkle naprowadziło go w czasie obiadu na trop zabawki, która miała stać się znakiem rozpoznawczym tegorocznych świąt.

– Emilio! – zniecierpliwiony zawołał w głąb mieszkania, gdy gosposia, miał spełnić jego polecenie, ze starannością odwieszała palto. – Emilio, moja droga, chodź tu prędko!

– Nie trzeba wołać – powiedziała gderliwie Helenka, strzepując jakieś drobiny z ciemnego rękawa płaszcza. – Jeszcze dzieci się przestraszą, a pani przecież nie ma.

– Jak to nie ma? – zdziwił się Jakub.

– Ano, nie ma. – Helenka wzruszyła ramionami. – Wyszła.

– Wspomniała, dokąd się wybiera?

Gospodyni pokręciła głową.

– A kiedy wróci?



– Też nie – zaprzeczyła ponownie Helenka. – Pani kazała tylko nakryć dzieciom do kolacji w bawialni i wcześniej położyć je do łóżek.

Jakub stał przez chwilę całkiem zagubiony, bo spodziewał się zastać Emilię w domu. Ostatnio często się mijali, każde goniło za swoimi sprawami, lecz akurat dziś nieobecność żony sprawiła mu jakąś szczególną przykrość.

„Chyba się starzeję, bo zaczynam się robić sentymentalny”, zadrwił z samego siebie, ale wcale nie zrobiło mu się od tego weselej.

Emilia od zawsze była osobą niezwykle towarzyską. Miała całe rzesze krewnych i koleżanek, należała do rozmaitych towarzystw dobroczynnych i fundacji, pomagała, gdzie się dało i komu się dało. Od samego początku oboje mieli wspólne życie, ale i własne zainteresowania. Jego światem były zabawki, jej – inni ludzie.

– Podać kolację? – spytała Helenka.

Jakub skinął nieuważnie głową. Po chwili zastanowienia stwierdził jednak, że już wchodząc do domu, nie był specjalnie głodny, a teraz całkiem stracił apetyt.

– Albo nie. – Zatrzymał gospodynię. – Obędę się bez. Ja także położę się dziś wcześniej.

To powiedziawszy, ruszył korytarzem w stronę swojej sypialni. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zajrzeć do pokoju, w którym spały dzieci, ale spojrzawszy na zegarek, zorientował się, że godzina była już bardzo późna i Kryśka z Julusiem z pewnością od dawna pogrążeni byli w głębokim śnie.

Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że Emilia mogłaby pogniewać się na niego za tak późny powrót. Umawiali się, że kolacje, poza dniami, kiedy bywali u kogoś z wizytą albo Jakub grał w wista, będą jadali wspólnie z dziećmi.

„Powinienem był ją uprzedzić...”, pomyślał ze skruchą, która jednakże znikła równie prędko, jak się pojawiła. „Tylko skąd, na Boga, miałem wiedzieć, że akurat dziś wpadnie mi do głowy tak wspaniały pomysł?”

I znów zapomniał o żonie, bo jego myśli poszybowały w stronę nowego projektu. Prędko przebrał się w piżamę, okrył ciepłym szlafrokiem, wsunął bosc stopy w pantofle i zamiast pójść prosto do łóżka, zasiadł przy sekretarzyku, wyciągnął z szuflady pudełko z ołówkami oraz czysty papier i zaczął rysować.

Nie wiedział, jak dużo czasu upłynęło, gdy jakieś stuknięcie w korytarzu wyrwało go z twórczego transu. Spojrzał na stojący w rogu pokoju zegar i nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Owszem, wrócił do domu późno, ale układ wskazówek zegara na tarczy świadczył o tym, że teraz bliżej było już do śniadania niż do kolacji.

„Zasiedziałem się”, pomyślał, choć bez żalu.

Spojrzał na leżący przed nim projekt. To, na co patrzył, warte było niejednej nieprzespanej nocy, która niechybnie go czekała.

Kolejne stuknięcie znowu przyciągnęło jego uwagę.

„Kto tam się tłucze po nocy?”, zapytał sam siebie. „Któreś z dzieci spać nie może? Powinny przecież zawołać matkę lub Helenkę, a nie same buszować po ciemnym mieszkaniu. Jeszcze któreś na coś wpadnie i zrobi sobie krzywdę”.

Wstał, poprawił poły rozchełstanego szlafroka i wzięwszy lampę, wyszedł na korytarz.

– Emilio? – zapytał, gdy ku swojemu zaskoczeniu w żółtawej plamie światła ujrzał smukłą postać żony.

Był tak zdziwiony, że dopiero po chwili zauważył, iż w przeciwieństwie do niego Emilia miała na sobie strój wizytowy, a jej twarz przesłonięta była woalką.

Te doczepiane do kapeluszy przejrzyste zasłony na twarz wróciły ostatnio do łask, z czego Jakub był bardzo zadowolony. Gdy był mały, jego matka i wszystkie odwiedzające ich dom damy nosiły woalki na co dzień, a ich różnaitość budziła w onczas jego fascynację. To właśnie woalki były pierwszymi pięknymi przedmiotami, które, jak mu się zdawało, istniały wyłącznie po to, by cieszyć oko. O ile bowiem ręcznie malowana waza czy deli-

katna filiżanka, choćby nawet najpiękniejsze, miały jakieś przeznaczenie, woalki przywodziły mu na myśl motyle, całkiem zbędne, lecz sprawiające mnóstwo radości.

Matka miała woalki z gładkiej siateczki o oczkach różnej wielkości, w groszki, z koronki czarnej i białej, szare w drobny czarny rzucik, nazywany perliczką, a nawet czerwone, choć te ostatnie nosiła nadzwyczaj rzadko. Mały Jakub lubił czuć pod palcami strukturę ich materiału, cienkiego i sztywnego zarazem.

Gdy nieco podrósł i zaczął zadawać pytania, matka wytłumaczyła mu, że woalki służą przede wszystkim ochronie jasnej cery przed piegami lub ukrywaniu mankamentów urody, ale on był przekonany, że w rzeczywistości chodziło o coś zupełnie innego. Rzucająca cień na twarz woalka dodawała kobiecej twarzy pewnej tajemniczości, czyniąc ją jeszcze bardziej fascynującą.

Jakub przypatrywał się Emilii z zachwytem estety podziwiającego szczególne dzieło. Połowa twarzy żony pozostawała przesłonięta tak, że nie mógł widzieć wyrazu jej oczu. Pojedyncze kosmyki włosów wymknęły się jej z uczesania nieco już rozwichrzonego, wiły się wzdłuż szyi i miękko opadały na odsłonięte obojczyki, co tylko dodawało Emilii uroku. Ubrana była w długą, prostą suknię całkowicie pozbawioną ozdób, jeśli nie liczyć woreczka z tego samego materiału ze srebrnym zamkiem kupionym u Hersego, który stanowił jedyny migoczący element kreacji. Emilia wciąż nie mogła przekonać się, by do stroju wieczorowego brać ze sobą torebkę na pasku, choć te ostatnie stawały się teraz coraz powszechniejsze, czy całkiem już modną torebkę z krótką rączką. W niemal pustym woreczku nosiła zwykle tylko małe lusterko, portmonetkę z drobnymi i puzdereczko z napudrowanymi pachnącymi bibułkami, którymi odświeżała się dyskretnie w trakcie wieczoru.

Otoczona ze wszystkich stron głęboką ciemnością Emilia wydała się Jakubowi nagle tak piękna, jakby nie była prawdziwym człowiekiem, a jedynie fantasmagorią.

– Jesteś tu naprawdę czy może tylko śnię o tobie? – wyszeptał przepełniony dziwnym uczuciem nabożeństwa.

Żona uśmiechnęła się do niego, ale była w tym uśmiechu jakaś niepewność. A może lęk? Ów fakt nie uszedł uwadze Jakuba, jednak zrzucił go natychmiast na karb zaskoczenia.

– Nie chciałem cię przestraszyć – zapewnił czym prędzej. – Usłyszałem jakiś hałas i wyszedłem sprawdzić, co to takiego.

– To tylko ja – odezwała się Emilia szeptem. – Przepraszam, że cię zbudziłam.

To powiedziawszy, odwróciła się w stronę swojej sypialni i położyła rękę na klamce, jakby uznała rozmowę za zakończoną.

– Z pory powrotu wnoszę, że przyjemnie spędziłaś wieczór? – zapytał jeszcze.

Nie miał ochoty się z nią rozstawać. Znow chwyciła go ta dziwna tkliwość, a jednocześnie coś powstrzymywało go przed porwaniem żony w ramiona i obsypaniem jej czułościami. Emilia stężała, a potem znow odwróciła się do niego.

Jej usta wykrzywiły się nieznacznie, jakby rozgryzła coś gorzkiego lub jakby zapytał ją o coś zbyt osobistego.

– Tak, dziękuję – odpowiedziała mimo to grzecznie.

Chciał pytać dalej, dowiedzieć się, gdzie była i z kim. Wysłuchać opowieści o jej przeżyciach tego wieczoru. Nie po to, rzecz jasna, by z czegokolwiek ją rozliczać, od początku darzyli się bowiem bezgranicznym zaufaniem, a żona nigdy nie dała mu najmniejszych powodów do kwestionowania jej uczciwości. Pragnął tylko wciągnąć ją w rozmowę, by zatrzymać ją przy sobie na dłużej. Móc wdychać jej zapach, słuchać przyjemnej barwy jej głosu, rozkoszować się jej widokiem, a może nawet pomóc jej rozebrać się z tego oficjalnego stroju i scałować z jej ciała ślady zmęczenia. Na samą myśl o tym poczuł przyjemne pulsowanie w dole brzucha. Spojrzał z nadzieją na żonę, lecz choć nie mógł widzieć jej spojrzenia, coś w wyrazie jej twarzy kazało mu sądzić, że Emilia nie ma dziś ochoty na pieszczoty.

„Szkoła, wielka szkoła”, westchnął w duszy. „Pewnie jest zmęczona po pełnym wrażeń wieczorze”, pomyślał.

– Dobrze to słyszeć – rzekł więc tylko.

– Jeśli to wszystko... – zawiesiła głos w oczekiwaniu. – To był długi dzień, chciałabym się położyć.

– Tak, tak, oczywiście – zapewnił ją prędko. – Dobrej nocy, moja droga.

Nie odpowiedziała. Skinęła mu tylko głową i szybko zniknęła za drzwiami swojej sypialni.

Jakub wrócił do siebie i padł w szlafroku na łóżko. Zdawało mu się, że nie jest wcale zmęczony, lecz gdy tylko jego głowa zapadła się w poduszki, natychmiast zasnął.

Dopiero rano, gdy po przebudzeniu powróciło doń wspomnienie żony takiej, jaką widział ją w nocy, coś go zastanowiło. Dłuższą chwilę zajęło mu rozbudzenie umysłu na tyle, by odkryć, w czym rzecz.

„Dlaczego nocą nosiła woalkę?”, rozmyślał, leżąc na wznak na łóżku i wpatrując się w sufit.

Emilia jak dotąd nie przejawiała skłonności do ekstrawagancji. Owszem, przywiązywała wielką wagę do wyglądu, a jej kreacje zawsze były eleganckie i starannie dobrane do okazji. Nie podążała jednak za modami, a już z całą pewnością nie próbowała zwracać na siebie uwagi za wszelką cenę.

Przecież w ciemnościach nie groziło jej żadne przebarwienie czy zmarszczki.

„A może ma coś do ukrycia?”, niepokojąca myśl zaświtała w głowie Mordzyckiego.

Kobiety nosiły woalki także w sytuacjach wymagających szczególnej dyskrecji, gdy chciały pozostać anonimowe, nie narażać się na plotki czy wybuch skandalu.

– Nie, to niemożliwe – zawyrokował i czym prędzej wstał z łóżka.

Zbyt długie wylegiwanie się wyraźnie mu nie służyło. Bezczynność sprawadzała jego zbyt wybujałą wyobraźnię na manowce.

A może było to tylko podenerwowanie wywołane niedostatkiem snu?

Wzrok Jakuba spoczął na zaścielających biurko szkicach. Wziął do ręki jeden z nich, przyjrzał mu się uważnie, a później sięgnął po ołówek i szybko poprawił krawędzie.

– Tak lepiej – stwierdził, po czym spakował wszystkie kartki do teczki i już całkiem spokojny poszedł do łazienki.

Nie planował jeść śniadania. Zbyt spieszno było mu do sprawdzenia, czy to, co tak doskonale prezentowało się na papierze, rzeczywiście jest możliwe do wykonania.

## Rozdział 7

– To po prostu niesamowite! – wykrzyknął młody czeladnik. – To... to prawdziwe czary!

– Doskonały pomysł! – zawołał jednocześnie majster Biernacki, sprawiając tymi słowami, że twarz młodzika w jednej chwili spurpurowiała aż po nasady włosów. – Choć wykonanie będzie kosztowne i czasochłonne.

Od kwadransa Jakub prezentował współpracownikom swój pomysł na tegoroczną zabawkę świąteczną. Od rana pracował nad nim w warsztacie i choć rysunkom wciąż sporo brakowało do wizji, którą nosił w głowie, nie miał już wątpliwości, że zamysł da się urzeczywistnić. To właśnie ta myśl elektryzowała go, gdy z dumą objaśniał wszystko swoim kolegom.

W kryształowej tubie o nierównych krawędziach umieścił świecę żarową obudowaną konstrukcją z kolorowych szkiełek. W ten sposób światło zyskiwało barwę i jednocześnie rozszczepiało się w pryzmacie kryształu, rzucając długie, kolorowe cienie na ścianach. Całość ustawiona była na miniaturowym, obracającym się talerzu, tak by barwy wirowały i mieszały się ze sobą, tworząc finezyjne wzory.

– Oto mała zorza polarna – przedstawił swój projekt.

– Pracując na dwie zmiany do Wigilii, nie skonstruujemy więcej niż kilkaset sztuk – rachował szybko Biernacki.

– Możliwe, ale nie o to nam przecież chodzi, żeby sprzedało się jak najwięcej sztuk, lecz żeby o świątecznej zabawce od Modrzyckiego znów było głośno! – zawołał Jakub, którego zachwyty w oczach majstra Biernackiego, człowieka oszczędnie dawującego dowody uznania, wprawił w doskonały nastrój.

– Trzeba by tylko sprawdzić, czy mamy wszystkie elementy w wystarczającej ilości, bo domawianie czegokolwiek teraz, tuż przed świętami, gra-

niczy z cudem, a fabrykanci, i chrześcijańscy, i żydowscy, zwykle podwajają cenę. Kolorowych szkiełek raczej nam nie zabraknie...

– Tak, tak, ze wszystkim na pewno sobie poradzimy – wszedł mu w słowo Modrzycki, który miał chęć jeszcze chwilę ponapawać się wrażeniem, jakie wywołał jego nowy pomysł, zamiast od razu przechodzić do rozważania tego, co mogło się nie powieść.

– Należałoby także pomyśleć o jakiejś oficjalnej prezentacji. – Majster Biernacki podrapał się po porośniętym twardym zarostem policzku. – Takie zabawki potrzebują specjalnych warunków, by zrobić wrażenie.

– Myślałem o tym – odparł Jakub. – I mam pewien plan.

Majster i czeladnicy wbili w niego uważne spojrzenia.

– Urządzimy noc najprawdziwszych cudów! – Modrzycki wyrzucił ramiona na boki niczym kierownik cyrku otwierający wieczór, ale zaraz je opuścił, nie dostrzegłszy entuzjazmu w oczach współpracowników. Wyglądali raczej na nieco zakłopotanych.

Jakub zbeształ się w duchu. Emilia od zawsze powtarzała mu, że nie przed każdym może swobodnie obnażać tę iskrzącą część swojej osobowości.

– Nie wszyscy rozumieją artystę – mawiała, wiedząc, że użycie tego wielkiego słowa zawsze sprawiało Jakubowi przyjemność. – Prosty ludzi takie zachowania mogą szokować, a niekiedy nawet napawać lękiem.

To właśnie widział teraz w oczach swoich pracowników, mieszaninę przestachu i ekscytacji. Odchrząknął zakłopotany.

– Zorganizujemy w sklepie specjalny pokaz w ciemnościach – przystąpił do objaśniania swoich zamiarów, zmieniając przy tym ton głosu na możliwie najmniej entuzjastyczny i rzeczowy. – Zasłonimy wszystkie okna, by do wewnątrz nie wpadało światło ulicznych latarni. Z zaplecza popłynie muzyka, a ułożone na dywanie dzieci będą podziwiała światła naszej zorzy.

– Dlaczego dzieci mają leżeć? – spytał młody czeladnik.

Jakub zamrugnął szybko. Nie potrafił sformułować żadnej racjonalnej odpowiedzi na to pytanie. Wydawało mu się po prostu, że tak jak w niejedną



ciepłą, letnią noc on sam leżał wśród traw, wpatrując się w bezkresny ocean gwiazd na niebie, tak przybyłe na prezentację dzieci powinny w ten właśnie sposób oglądać jego dzieło.

– Mogą też stać albo siedzieć – zapewnił zaraz.

– A gdzie w tym czasie będą ich rodzice? – dopytywał czeladnik, którego wyobraźnia widocznie domagała się bardziej konkretnej wizji.

Jakub zaklął w duchu i pomyślał, że tę część należało omówić z subiekta-  
mi. Pawłowski i Szczekot mieli o wiele więcej lotności w sposobie rozmowa-  
wania niż domagający się konkretów rzemieślnicy.

– To szczegóły. – Machnął ręką zniecierpliwiony. – Grunt, że stworzymy atmosferę rodem z baśni!

Dostrzegł spojrzenie czeladnika, który wyraźnie miał ochotę zapytać o coś jeszcze. „Pewnie chce wiedzieć, z której baśni dokładnie”, pomyślał poirytowany Jakub.

– To będzie doskonała reklama – zapewnił pośpiesznie, by uniknąć kolej-  
nych wyjaśnień. – Na tę prawdziwą nie wydamy zań ani grosza.

– I dobrze, bo z tego, co wiem, już dawno minął termin składania zamówie-  
nień na ilustrowane reklamy – uściślił majster Biernacki. – Pamiętam, jak kiedyś Szczekot kazał mi naprędce coś szkicować, bo rysownik z gazety nie wiedział, jak zilustrować nasze ogłoszenie.

Jakub pokiwał głową. Do dziś żałował, że nie było go wtedy w sklepie. Biernacki zrobił, co w jego mocy, ale rysunek i tak wyszedł zbyt techniczny i cała reklama prezentowała się niezbyt zachęcająco.

– Pokaz będzie tak wielkim wydarzeniem, że żadna reklama nie jest nam już potrzebna. – Modrzycki wzruszył ramionami.

– A kiedy miałyby się to odbyć? – zapytał jeszcze Biernacki. Wyraźnie zaakcentował przy tym słowo „to”, jakby chciał zaznaczyć, że noc cudów uważa za niedorzeczność.

– Może w sobotę tuż przed początkiem adwentu? – rzucił zabawkarz.

Rzemieślnicy wymienili spojrzenia.

– Hmm, do tej pory musielibyśmy mieć gotowe przynajmniej kilkadziesiąt takich zórz polarnych – zaczął ostrożnie majster Biernacki. – A czasu jest bardzo, bardzo mało...

– Gdzie się podział wasz entuzjizm, wasza werwa? – zapytał Jakub, nie przestając się uśmiechać, po czym prędko zakasał rękawy. – Jest tylko jeden sposób gwarantujący nam powodzenie. Musimy czym prędzej zabrać się do pracy.

## Rozdział 8

Rozdzieliwszy zadania pomiędzy pracowników, Jakub wbrew swoim zwyczajom nie wrócił do kantorka w warsztacie. Czuł, że stworzył coś naprawdę wyjątkowego, swoje *opus magnum*, zabawkę, o której długo będzie głośno. Przede wszystkim zaś przedmiot, dzięki któremu zarówno dzieci, jak i dorośli doświadczą czegoś niezwykłego, odrobiny magii niezbędnej do utrzymania w sercu owej zdolności do zachwytu nadającej smak życiu.

Tym właśnie były dla niego zabawki. Nie tylko rozrywką czy przedmiotami służącymi do nauki, lecz także swoistym łącznikiem pomiędzy codziennością a tęsknotą za odrobiną niezwykłości, którą każdy człowiek nosił w sercu. To dlatego u dorosłych zabawki z ich własnego dzieciństwa po latach wciąż wzbudzały tak wiele emocji. Jakub widział to wyraźnie, choć ludzie próbowali się z tym kryć.

– Miałem kiedyś takie żołnierzyki... – wzdychał ojciec, który zajrzał do sklepu Jakuba, by kupić prezent urodzinowy dla syna.

W tych prostych słowach kryło się coś więcej. Cała opowieść o tym hipnotycznym okresie z przeszłości, gdy świat zdawał się nie mieć kresu, czas płynął bez początku i końca, a marzenia nie znały granic. Czasie, w którym ów mężczyzna nie był kierownikiem w banku, a jednym z żołnierzy ukrytym w okopach bitwy na dywanie, dowódcą wielkiej armii siedzącym na białym koniu i ze wzniesienia podnóżka fotela obserwującym bacznie kolejne posunięcia wrażeń wojsk.

Cynowy żołnierzyk, w przeciwieństwie do tanich wyrobów z Austrii, pomalowany pięknie, z dbałością o każdy najmniejszy detal, ginął teraz w dużej męskiej dłoni, choć przecież kilkadziesiąt lat wcześniej był dla tego człowieka całym światem. Na tę jedną chwilę powróciły wszystkie dawne uczucia. Napięcie przed nadciągającą nawałnicą obcych bagnetów, podnie-

cenie bitewne, lęk o życie swoje i wiernych towarzyszy broni. Krew przyspieszała w żyłach, serce dudniło w szerokiej męskiej piersi, a wzruszenie chwyciło za gardło. Wreszcie mężczyzna odkasliwał i odkładał figurkę z powrotem na wystawę.

– Poproszę jeszcze pudełko – mówił znów poważnym głosem pana kierownika, ale Jakub widział w jego oczach powidoki magii dzieciństwa, którą przywołały wspomnienia.

– Duże czy małe? – pytał, podając klientowi odpowiedni cennik. Wiedział, że nie wolno mu zdradzić się z tym, co zobaczył. Te drgnienia serca były bezcenne, ale jednocześnie niezwykle ulotne. Z jednej strony raniły, bo to, o czym przypominały, było czasem bezpowrotnie utraconym, z drugiej zaś był to ból, który uwrażliwiał, czynił lepszym człowiekiem, budził pragnienia i drzemiące gdzieś na dnie serca tęsknoty.

– Duże – odpowiadał mężczyzna, po czym kładł na ladzie pieniądze i bilet wizytowy. – Proszę zapakować i dostarczyć pod ten adres – rzucał swym codziennym, nieznośnym sprzeciwu tonem i nie patrząc zabawkarzowi w oczy, czym prędzej wychodził ze sklepu.

Jakub już dawno zauważył, że dorośli ludzie boją się własnych uczuć, jakby sam fakt posiadania serca, tej miękkiej części w głębi duszy, był czymś, co czyni ich słabszymi. Na co dzień więc robili wszystko, by je ukryć i nie pokazywać nikomu. Grali nawet przed ukochanymi żonami i własnymi dziećmi, aż w końcu sami niemal zapominali, że je mają. Ale serce nie przestawało bić. Wciąż pulsowało gdzieś pod powierzchnią pozorów siły, powagi, surowości, zasad oraz wymagań, którym tak bardzo starali się na co dzień sprostać. Echo jego kolejnych uderzeń, choć wciąż zagłuszone codziennością, słyszeli niekiedy w bezsenne noce, gdy wpatrując się w ciemność, marzyli o tym, by ktoś ich zrozumiał, by nic już nie musieli i mogli poczuć się jak niegdyś kochani tak po prostu, przez sam fakt istnienia. Gdy tęsknili za bliskością, czułością, za czyimiś objęciami. Gdy nie musieli już tłumić łez, bo przecież wśród mroku i tak nikt nie mógł ich dostrzec, nawet oni sami.

Tu, w sklepie z zabawkami, to echo rozbrzmiewało o wiele częściej niż gdziekolwiek indziej. Szczególnie przed świętami, gdy świadomość przemijania stawała się dotkliwsza. Modrzycki patrzył za oddalającym się klientem i zastanawiał się, czy mężczyzna odważy się choć raz pobawić żołnierzykami ze swoim synem. Musiałby wówczas wpuścić dziecko w tę najdelikatniejszą dla siebie przestrzeń, narazić się na zranienie albo na śmieszność. Z drugiej jednak strony właśnie to tworzyło więź między rodzicami a dziećmi. To o tym rozpisywał się Korczak we wszystkich swoich pracach. Chodziło o najważniejszą sprawę w rodzicielstwie!

Modrzycki zerknął na leżący na stole kreślarskim prototyp zorzy polarnej i uśmiechnął się na myśl o tym, jakie wrażenie zrobi ta zabawka na jego własnych dzieciach. Być może jego pracownicy mieli rację i proponowanie, by mali klienci kładli się w spacerowych ubraniach na brudnej podłodze w ciemnym sklepie, nie było najtrafniejszym pomysłem. Julusowi i Krysi zamierzał jednak urządzić baśniowy pokaz świąteł. Ułożą się na dywanie, stykając się głowami, i będą wspólnie podziwiać najprawdziwszą zorzę polarną, a to połączy ich już na zawsze jeszcze jedną nierozzerwalną nicią wspomnień.

Patrzył na swój projekt, jeszcze tak niedoskonały, z niekłamanym podziwem. Był to jeden z tych nielicznych momentów w życiu, gdy ogarniała go absolutna pewność, że obcuje z czymś większym od samego siebie. Jakby znalazł się w gaju muz na stoku góry Helikon w Beocji w chwili, gdy Pegaz uderzył kopytami w ziemię, z której wytrysnęło źródło wszelkiego natchnienia Hippokrene. Był pewien, że właśnie tak jak on teraz czuł się Pigmalion, rzeźbiąc w kości słoniowej powabną postać Galatei. Jakkolwiek dziecięca zabawka zdawała mu się czymś o wiele bardziej błahym od posągu, w którym można było zakochać się tak, by błagać boginię Afrodytę o jego ożywienie, Jakub wiedział, po prostu wiedział, że od zawsze czekał na ten dzień i że właśnie dziś nastąpił w jego życiu jakiś przełom.

Niespodziewanie szarpnęła nim tęsknota za tym, by opowiedzieć o tych wszystkich przeżyciach Emilii. Tylko przed nią mógł wypowiedzieć swoje myśli i nie czuć się śmiesznym. Ona nigdy by go naprawdę nie wyśmiała.

Owszem, kpiła z niego nieustannie, ale oboje wiedzieli, że te przekomarzenia przepełnione są czułością. Wypowiadając każde słowo, Emilia patrzyła by na męża z miłością, a on wiedziałby z całą pewnością, że dokonał czegoś wielkiego. Potrzebował ujrzeć to w zwierciadle jej oczu.

Dawno nie mówił z ukochaną o swoich nowych projektach. Wciąż jakoś się nie składało, nie było okazji ani dość czasu na rozmowę. A to on musiał zostać dłużej w warsztacie, a to któreś z dzieci chorowało, to znów Emilia miała spotkanie jednego z licznych towarzystw, w których się udzielała, odwiedzała krewnych, odwzajemniała wizytę lub podejmowali wspólnie gości. Jakub nie narzekał. Przeciwnie, cieszył się, że jego żona nie należy do gatunku kobiet oczekujących, że mąż zwierzy się jej ze wszystkich swoich myśli i każdą chwilę nieprzeznaczoną na zarobkowanie będzie spędzał z rodziną.

Modrzycki bardzo cenił sobie życie rodzinne, bezgranicznie wielbił żonę i kochał dzieci, lecz projektowanie zabawek było dlań niemal tak samo ważne. Musiał nieustannie tworzyć, w przeciwnym razie zaczynał odczuwać dziwny niepokój, który mącił mu codzienność. Mężczyzna przygasał wówczas, smutniał, gubił się.

Cieszył się, że Emilia tak dobrze rozumie jego potrzebę tworzenia. Już sama myśl, że żona gdzieś tam jest, czeka na niego gotowa w razie potrzeby wysłuchać jego zmartwień i ukoić ból dobrym słowem czy ciepłem swych ramion, napawała go spokojem. Świadomość, że ma nieopodal kogoś tak wyjątkowego, dodawała mu sił i chęci do działania.

Dziś jednak poczuł dziwne ukłucie przykrości na myśl o tym, że tak szczególnym projektem podzielił się najpierw ze współpracownikami, a nie z Emilią. To ona powinna zobaczyć go pierwsza. Wiedział przecież, jak bardzo lubiła kolorowe światełka, i był pewien, że zorza polarna wprawi ją w zachwyty.

Za oknem już szarzało, bo o tej porze roku wcześniej robiło się ciemno.

– Jeszcze nie jest za późno – rzekł sam do siebie Modrzycki i postanowił czym prędzej naprawić swój błąd.

Zamierzał natychmiast pokazać swoje niezwykle dzieło Emilii. Zrozumiał, że jeśli nie zobaczy błysku oczarowania w spojrzeniu żony, jego triumf nie będzie kompletny. Nagle stało się to dla niego ważniejsze od sukcesu sprzedażowego, popularności, jaką osiągnie zabawka, czy jej przyszłego eksportu do innych miast albo na rynki zagraniczne. To wszystko i tak nie miałyby żadnego znaczenia, gdyby zabrakło aprobaty Emilii.

Jakub sięgnął po papier pakowy. Owinął weń starannie poszczególne elementy konstrukcji, a następnie ułożył je równo w niewielkim pudle. Potem nakrył wszystko wiekiem i obwiązał podwójnie sznurkiem. Włożył palto i sięgnął po kapelusz.

– Coś się stało? Szef wychodzi? – Majster Biernacki nie zdołał ukryć zdziwienia, ale Jakub nie miał mu tego za złe.

Był pewien, że Biernackiemu nie szło o wtrącanie się w sprawy pryncypała. Spytał zapewne tylko dlatego, że ostatni raz Jakub wyszedł przed nim z warsztatu, aby wezwać akuszerkę do rodzącej żony.

– Wszystko w porządku – uspokoił go czym prędzej. – Uznałem, że skoro zorza zyskała już wasze uznanie, powinienem zaprezentować ją też jakimś dzieciom... Na przykład swoim.

Jakubowi jakoś niezręcznie było przyznawać się przed tymi wszystkimi mężczyznami, że w rzeczywistości spieszy pokazać swoje dzieło żonie.

Nagle przyszedł mu na myśl mężczyzna kupujący cynowe żołnierzyki. „Zachowuję się tak jak on”, pomyślał. „Wszyscy skrywamy uczucia, jakby były czymś wstydlwym”. Wzmianka o dzieciach wydawała mu się bardziej naturalna, jakby mniej osobista. Nikt nie mógł odmówić mu prawa do takiego zachowania. Nie mogło się też ono stać przyczyną żartów szeptanych za jego plecami. W ich branży sprawdzanie reakcji dzieci na nowe pomysły było przecież na porządku dziennym. Tylko nieodparta chęć pokazania prototypu zabawki żonie mogłaby zostać odebrana jako swoista ujma, nadmierna uczuciowość czy pantoflarstwo. „Jakie to smutne”, myślał Modrzycki. „Jakie ograniczające”. Sam jednak nie miał odwagi, by spróbować zmienić w tej kwestii cokolwiek.

Biernacki nie spytał o nic więcej. Mruknął coś niewyraźnie i wrócił do przerwanych zajęć. Tymczasem Jakub włożył na głowę trzymany w dłoniach kapelusz i szybkim krokiem ruszył w stronę domu.

W pierwszej chwili zastanawiał się nawet, czy nie zawołać dorożki, ale był na to stanowczo zbyt podekscytowany. Potrzebował ruchu i powietrza, żeby choć trochę otrzeźwieć i uspokoić emocje. Nie chciał dawać Emilii powodów do żartów.

– Uważaj, bo kiedyś głowa naprawdę stanie ci w płomieniach od nadmiaru gorąca – kpiła niekiedy, gdy jakiś pomysł wydawał mu się szczególnie doskonały i wymagający natychmiastowej realizacji. Jakub widział w jej oczach isierki życzliwości, ale i tak zacietrzewiał się teatralnie.

– A co, jeśli właśnie wymyśliłem zabawkę, która uczyni mnie sławnym na całym świecie? – pytał, starając się zachować powagę. – Gdybym pozwolił umknąć tej myśli, już zawsze byśmy żalowali.

– My?

– Nie inaczej.

– I ja też? – dopytywała, unosząc brwi.

– Ty przede wszystkim!

– A czemuż to?

– Po pierwsze dlatego, że mnie kochasz – odpowiadał i nie wstrzymywał dłużej uśmiechu.

– Wciąż nie dostrzegam związku... – droczyła się z nim dalej Emilia.

– Po drugie dlatego, że zabawka ta może przysporzyć mi nie tylko sławy, ale i całego morza złota.

– Też mi coś! – prychnęła. – Już starożytni filozofowie nauczali, że zbyt bogaci ludzie rzadko bywają szczęśliwi. We wszystkim winno się zachowywać umiar.

– Dzięki tym pieniądzom mógłbym cię zabrać w podróż dookoła świata. – Jakub nie dał się zbić z pantafelku. Postąpił krok ku żonie, patrząc jej przy tym głęboko w oczy. – Popłynęlibyśmy przez Atlantyk na wielkim, pełnym luksusów statku...



Emilia zmarszczyła nosek.

– Pozwolę sobie przypomnieć ci, że większość pasażerów Titanica nie skończyła zbyt dobrze...

– Nas z pewnością ominęłyby wszystkie nieszczęścia – zapewnił Jakub. – Słyszałaś zapewne o prastarym czarze chroniącym zabawkarzy?

– Chyba muszę cię prosić, byś odświeżył mi pamięć – odparła, a Jakub z przyjemnością przyglądał się drgającym kącikom jej ust. Wiedział, że z coraz większą trudnością zachowywała powagę.

– Otóż zabawki nie są zwyczajnymi przedmiotami... – zaczął, zniżając głos.

– O tym wiem już od dawna, ale mój małżonek i tak nadzwyczaj często mi o tym przypomina – przerwała mu. – Zwykle dodaje też, że równie niezwykajni są ich twórcy.

Jakub uklonił się z teatralnym animuszem niczym dziękujący za komplement uliczny grajek.

– Zabawka, choć nieożywiona, potrafi stać się przyjacielem dziecka, powiernikiem jego najgłębiej skrywanych sekretów – mówił, dalej robiąc przy tym tajemnicze miny.

Emilia sięgnęła po chusteczkę i udała, że wyciera nos. Modrzycki czuł, że jego zwycięstwo jest bliskie.

– Z uczuć dzieci płynie zaś wielka siła. Od zarania dziejów moc wdzięczności niewinnych istot chroni zabawkarzy od wszelkiego zła, nawet od gór lodowych znajdujących się na środku oceanu – zakończył, dla zwiększenia efektu zasłaniając sobie ręką twarz, jak magicy podczas przedstawień, choć jemu rzecz jasna brakowało pasującej do okoliczności peleryny.

Emilia wybuchnęła śmiechem, a Jakub rozłożył ramiona, by ją objąć. Kochał jej śmiech i zrobiłby wszystko, by wciąż go słyszeć.

– A po trzecie? – wymruczała, wtulając nos w jego pierś.

– Co po trzecie? – Jakub nie zrozumiał.

– Zawsze jest jakieś po pierwsze, po drugie i przynajmniej po trzecie – odpowiedziała cicho. – Znasz jeszcze jakiś powód, dla którego twoje bo-

gactwo miałoby przysłużyć się nam obojgu?

Modrzycki milczał, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Bo ja znam – dodała cicho.

– Tak?

– Gdybyś miał już to swoje morze pieniędzy, pracowałbyś mniej i częściej bylibyśmy razem – powiedziała jeszcze ciszej.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że wspomina scenę, która rozgrywała się, gdy Emilia była w ciąży z Julusiem. Zapamiętał ją tak dobrze, bo miał wtedy ogromną chęć zamknąć żonę w objęciach, ale przeszkadzał mu w tym jej pokaźny brzuch, co oczywiście było kolejnym pretekstem do śmiechu i przekomarzań.

– Pięć lat... – wymamrotał, przemierzając żwawym krokiem kolejne ulice. – Pięć lat... Kiedy to minęło?

Od dnia ślubu z Emilią był nieustannie rozdarty pomiędzy dwiema wielkimi tęsknotami swojego serca. Z jednej strony była jego żona, kobieta idealna, najmiłsza, jedyna, z drugiej zaś praca, która nadawała jego życiu sens i czyniła każdy dzień niezwykłym. Obie te przestrzenie były dla niego ważne, szalenie ważne. Miał pewność, że gdyby przestał pracować, stałby się nieszczęśliwy, a jedynym większym nieszczęściem, jakie mógł sobie wyobrazić, byłaby utrata Emilii. Aż wzdrygnął się na samą myśl o tym i mocniej przycisnął do siebie zabawkową zorzę polarną.

O każdej nowej zabawce jego projektu szybko robiło się głośno, lecz teraz był pewien, że w tym roku w czasie przedświątecznej gorączki o zorzy polarnej będzie mówiła cała Warszawa, a kto wie, może znów pojawią się goście z zagranicy.

Aż podskoczył z uciechy, ale zaraz nakazał sobie spokój. Mógł nieopatrznie uszkodzić zabawkę, zanim zdąży ją zaprezentować Emilii. Jej pierwszej, dopiero potem dzieciom. Pragnął patrzeć, jak jej piękna twarz rozjaśnia się w wyrazie bezbrzeżnego zachwyty, i mieć w tej chwili żonę tylko dla siebie.

„Krysia i Juluś i tak są teraz pewnie z Helenką na spacerze w parku”, usprawiedliwił się sam przed sobą. „Jak wrócą, im także pokażę zorzę, a nawet ustawię ją wieczorem w dziecięcym pokoju, tak by mogli zasypiać, patrząc na rzucane przez nią blaski”. Uspokoiwszy rodzicielskie sumienie, Jakub uśmiechnął się szeroko i przyspieszył kroku.

Z pobliskiej kawiarni wyszło kilka młodych panienek w szkolnych mundurkach. Aromat gorącej czekolady z cynamonem mile połechtał nozdrza zabawkarza. Obiecał sobie, że jeszcze w tym tygodniu zaprosi Emilię na filiżankę czekolady. „Albo w przyszłym”, upomniał się zaraz. „A najlepiej między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem. Do Wigilii będzie przecież jeszcze więcej pracy niż zwykle”.

Nogi same niosły Jakuba w stronę domu, a tymczasem mężczyzna zaczął analizować, gdzie mógłby zamieścić ogłoszenie z ofertą pracy w jego sklepie. Wykonał w głowie kilka obliczeń i był już pewien, że musi jak najszybciej zatrudnić przynajmniej dwóch szlifierzy, którzy pomogliby mu przy obróbce kolorowych szkiełek do zorzy. Zerknął na zegarek, a uznawszy, że ma sporo czasu i zdąży zastać Emilię samą w domu, skręcił w jedną z bocznych ulic. Przeszedł przez plac, po którego drugiej stronie znajdowała się redakcja dziennika wieczornego. Miał nadzieję, że za dodatkową opłatą uda mu się wykupić najprostsze choćby ogłoszenie, rzecz jasna pozbawione jakichkolwiek ozdobników czy ilustracji, jeszcze do dzisiejszego wydania.

Modrzycki rzadko bywał w tej okolicy. Ciekawie rozglądał się więc dookoła, rejestrując zmiany, jakie dokonały się, odkąd był tu ostatnim razem. Jedna z kamienic została ładnie odremontowana, przed drugą ktoś zaaranżował niewielki klombik, który wiosną musiał wyglądać uroczo, wyrównano także krawężnik i pokryto asfaltem kolejny fragment ulicy.

Wszystko się zmieniało.

– Oby na lepsze – mruknął, przechodząc przez jezdnię.

Nadchodziła zima, a zimą wszystko było piękniejsze. Nagie gałęzie drzew za kilka dni okryje puchowa pelerynka, wszelka szarość zniknie, ustępując miejsca roziskrzanej bieli. Jakub poczuł dziecięce zniecierpliwie-

nie. Spojrzał tęsknie w niebo z nadzieją, że może uda mu się wyblagać choć kilka płatków śniegu już dziś.

– Proszę uważać! – ostrzegł go jakiś przechodzień, gdy zapatrzony w niebo Modrzycki niebezpiecznie zbliżył się do słupa ogłoszeniowego.

– Tak, tak – odparł Jakub i uśmiechnął się zakłopotany, uchylając w podziękę kapelusza.

„Co się dzisiaj ze mną dzieje?“, zastanawiał się, lecz zaraz jego wzrok przykuła paczka, którą niósł pod pachą przechodzień. Modrzycki dostrzegł na niej znajomy emblemat.

– „Młody Edison“! – prychnął z pogardą. – Zabawka dwudziestego wieku dla młodzieży.

Mimo niechęci do tego niewątpliwego przeboju od G. Weinreba, właściciela pierwszej w kraju fabryki zabawek mechanicznych i Wydawnictwa Gier Towarzyskich „G.W. Solo” z Szerokiej na Pradze, musiał przyznać, że hasło reklamowe wymyślone zostało dość zgrabnie. Zapadało w pamięć.

Sama zabawka także była godna uwagi, naprawdę zmyślna i nowoczesna. „Młody Edison. Mądrym dzieciom od rozsądnych rodziców”, jak głosił napis na opakowaniu, czyli skrzyneczka, w której mieściły się: miniaturowy warsztat elektrotechniczny, różne rurki, druciki, fragmenty przewodów, cewki i mnóstwo innych rzeczy, z których następnie można było tworzyć wynalazki, posługując się w tym celu obszerną instrukcją.

Z dostępnych elementów dało się skonstruować dzwonki elektryczne i ostrzegacze pożarowe, a nawet prosty aparat telegraficzny. Można było też dzięki nim zagrać w dobrze zaprojektowane gry elektryczne.

Oczywiście każda dodatkowa część była płatna. Nawet za katalog wzorów Weinreb liczył sobie prawie dwa złote.

– Zdzierstwo – mamrotał Modrzycki, oglądając cennik, w którym znajdowały się też szkice poszczególnych zabawek.

– Jesteś po prostu zazdrosny – stwierdziła kiedyś Emilia, a Jakub po dłuższym namyśle musiał przyznać jej rację.

Podziwiał możliwości, jakie dawało posiadanie wielkiej fabryki. Ale sam nigdy nie marzył o podobnym rozmachu. Masowa produkcja miała niewątpliwie wiele jasnych stron, ale on wierzył, że każda rzecz, która wyszła spod jego palców, ma w sobie okrucieństwo jego duszy, a to czyni ją niepowtarzalną.

Nie mógł jednak odmówić zabawkom Weinreba polotu.

Co ciekawe, jego szczególnym uznaniem cieszył się nie osławiony „Młody Edison”, a „Laboremus”, zabawka umożliwiająca budowanie z płaskich metalowych elementów, listewek, kół płaskich, kół do napędu, osi gwintowanych, rozmaitych łączników oraz podkładek zwanych też szajbkami, skręcanych śrubkami we wszystkich możliwych rozmiarach, przestrzennych konstrukcji mostów, lokomotyw, wagonów, maszyn, samochodów, a nawet aeroplanów.

Podobał mu się też pomysł globusa-bączka, który przez silne potarcie o powierzchnię i szybkie postawienie na rączce lub gwoździu można było wprowadzić w ruch wirowy. Doceniał autka-liliputy, wozy strażackie, tramwajowe wagony motorowe z przyczepką czy lokomotywy aerodynamiczne z ogniem, wszystkie z mechanizmem zegarowym gwarantującym ruch powolny, lecz długotrwały. Każda taka zabawka była solidnie wykonana i poruszała się płynnie i stosunkowo cicho.

Jakub był wielkim zwolennikiem tego typu projektów. Nowe osiągnięcia technologiczne dawały obecnie coraz większe możliwości. Odbudowującej się po latach zaborów i wojnie Polsce wciąż potrzebna była inżynierów, architektów, rzemieślników, konstruktorów, a fascynacje tymi dziedzinami można przecież było już od najmłodszych lat rozbudzać właśnie dzięki zabawkom. Ilekroć Modrzycki myślał o tym, przypominał sobie końcowe wersety popularnego wierszyka, który nieznanemu autorowi ułożył z okazji ustanowionego zaledwie trzy lata temu, w 1931 roku, Święta Zabawki:

*Zabawka jest dla dziecka tem,  
czem dla ciebie otaczający cię świat.  
Chcesz nauczyć dziecko żyć?*

## *Daj mu zabawkę...*

Modrzycki lubił też zabawki nietypowe, jak łamigłówki geometryczne, w których z czterech jednakowych części można było złożyć różne figury; dmuchawki, czyli długie blaszane rurki, w które należało dmuchnąć, by w powietrze wzbiła się umieszczona w metalowym gniazdku na końcu rurki piłeczka. Podobał mu się też kinoskop, w którym przez obrót tarczy wywoływało się w okienku ruchomą scenkę, oraz, zdaniem Jakuba absolutnie fantastyczna, nakręcana kolejka napowietrzna.

Jedyne, z czym Modrzycki nie mógł się pogodzić, był kompletny brak estetyki wykonania tych wszystkich zabawek. Były one najzwyczajniej w świecie brzydkie. Jedyńm wyjątkiem od tej reguły były u G. Weinreba mechaniczne zwierzątka. Pluszowy ptak dziobiący, skacząca żabka, ptak śpiewający czy chodzący słoń prezentowały się wcale nieźle. Jakub zaś w tym względzie był nieodrodnym uczniem Zofii Stryjeńskiej, która twierdziła, że zabawki powinny też rozwijać zmysł estetyczny u dzieci. W młodości chciał być właśnie taki jak ona i inni artyści zrzeszeni w Warsztatach Krakowskich założonych w 1913 roku. Wszyscy członkowie tego stowarzyszenia zgadzali się co do tego, że zabawki muszą stanowić także przejaw sztuki dekoratorstwa. Winny więc być gustownie, oryginalnie stylizowane i przystrajane w nowoczesne wzory. Sama Stryjeńska, której dorobek Jakub szczerze podziwiał, obok głównego nurtu swojej działalności, czyli malarstwa sztalugowego i polichromii, oddawała sporą część swojego talentu i zaangażowania, by przyczynić się do wychowania estetycznego pokolenia młodych Polaków. Ilustrowała książki i wytwarzała zabawki, najczęściej drewniane, toczone figurki i wspaniałe klocki z obrazkowymi kompozycjami.

W 1919 roku Jakub zabrał Emilię do Krakowa na wystawę „Dyngus”, gdzie Stryjeńska wystawiła kilka swoich figurek. Był tam lajkonik i pan Twardowski, ale uwagę Modrzyckiego bez reszty pochłonęły wówczas ptaszki misternie przyozdobione motywami z ludowych wycinanek i pawimi oczkami. Wiedział, jak wiele pracy musiało kosztować zrobienie czegoś

takiego. Zdawał też sobie sprawę, że wielu twórców uznałoby, iż taka dbałość o detal w przypadku zabawki dziecięcej, która ze względu na swe przeznaczenie jest nieustannie narażona na niebezpieczeństwo uszkodzenia, jest próżnym trudem, rzucaniem pereł przed wieprze. On jednak całkowicie zgadzał się ze Stryjeńską, że dzieci od najmłodszych lat otaczane pięknem wyrastają na lepszych ludzi.

Emilii najbardziej spodobał się wtedy smok wawelski o ruchomym tułowi i ogonie.

– Jakie to zabawne – powtarzała, patrząc na podskakującego wesoło stwora. – I jakie zmyślne!

– Czy ja wiem... – Jakub nie wydawał się przekonany. – Wygląda jak wąż albo jaszczurka.

Zabawka rzeczywiście przyciągała wzrok. Być może, gdyby zobaczył ją w innych okolicznościach, w pełni podzieliłby zachwyty Emilii. Teraz jednak cała jego wyobraźnia pochłonięta była ptaszkami Stryjeńskiej, wobec piękna których wszystko inne zdawało się wyblakłe i nijakie.

– Masz rację – odparła Emilia, której dobrego humoru nic nie mogło w tej chwili zmącić. – Smoki to przecież właśnie takie wyrosnięte jaszczury, tylko ze skrzydłami.

Jakub przypominał sobie tę wystawę, ilekroć ogarniało go zwątpienie. Słyszał w uszach śmiech żony, wspominał wspaniałe ptaszki Stryjeńskiej i odzyskiwał siły, by dalej walczyć o estetykę dziecięcych zabawek.

Takich jak Stryjeńska czy on sam było zresztą w Polsce wielu.

Ot, choćby drewniane zabawki Pinczewskich wysyłano do Anglii, Niemiec, Włoch, Ameryki, a nawet do Chin nie tylko z powodu ich niezwyklej konstrukcji czy pomysłowości, ale również przez wzgląd na ich walory estetyczne

Tym, co odróżniało polskie zabawki od innych, była właśnie ich uroda i jeśli polski przemysł zabawkarski miał wytrzymać dopiero co zapoczątkowaną konkurencję z innymi krajami, należało dbać o nią na pierwszym miejscu. Sprawa ekspansji była już i tak wystarczająco trudna, bo wiele fa-

bryk zabawkarskich po ostatnim kryzysie miało skomplikowaną sytuację finansowo-kredytową. Polskim wytworom młodziutkiego przemysłu zabawkarskiego zdawało się w kraju sprzyjać jedynie prawo celne, które skutecznie uniemożliwiało zalew rodzimego rynku zagraniczną nadprodukcją.

Co ciekawe, w Polsce nie produkowano jedynie zabawek parowych i elektrycznych. Większość elementów do składania lalek można było kupić od rodzimych wytwórców. Wyjątek stanowiły porcelanowe głowy i szklane oczy. Te ostatnie z niewiadomych przyczyn wytwarzano tylko w Niemczech. Jakub nie był zabobonny, a jednak ilekroć otwierał wyściełane pudełko, z którego martwym wzrokiem spoglądały na niego setki pozbawionych twarzy oczu, przechodził go dziwny dreszcz. Same lalki także budziły w nim niezrozumiałe emocje.

Składanie lalek wydawało mu się też najbardziej odtwórczym z zajęć. Być może sądził tak dlatego, że była to jedyna zabawka, której nigdy nie wykonał od początku do końca samodzielnie. Nawet teraz w znacznie rozbudowanym już warsztacie nie dysponował piecem do wypalania porcelany, więc głowy lalek zwykle zamawiał z fabryki Szrajera z Kalisza. Musiał także rzecz jasna kupować te przerażające niemieckie szklane oczy.

Najgorsze było jednak to, że zakłady zabawkarskie w kraju pękały w szwach od artykułów, które z powodzeniem można by sprzedać na Zachodzie, wyrabianych przez fabryki, pomniejszych rzemieślników, domorosłych twórców ludowych, a nawet podopiecznych sierocińców, bezrobotnych czy więźniów. Ot, choćby osadzeni z kaliskiego więzienia karno-śledczego pracowali w warsztacie stolarskim, którego wytwory pięć lat temu zaprezentowano nawet na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu, a mimo to nie dało się znaleźć fundatora ich transportu za granicę.

– Wszystko kręci się wokół pieniądza – zwykł mawiać mecenas Korzeniowski i gdy była mowa o przemyśle zabawkarskim, Jakub musiał oddać mu słusność.

Choć polscy zabawkarze co chwila wygrywali medale na kolejnych wystawach na całym świecie, w Lipsku, Rzymie czy Paryżu, wciąż byli zbyt biedni, by rozwinąć się tak, jak na to zasługiwali.



– Przynajmniej „Edison” ma się dobrze – mruknął zde gustowany Modrzycki.

Przystanął i odprowadził wzrokiem szczęśliwego nabywcę zmyślnej, acz tandetnej zabawki, nie wiedząc czemu obwiniając tego przypadkowego człowieka o wszystkie nieszczęścia polskich zabawkarzy. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy nie odpowiedzieć mu, że w nowym katalogu Domu Braci Jabłkowskich wśród zabawek drugiej kategorii, których cena zwykle bywała atrakcyjnie obniżona, znalazłby coś o wiele ciekawszego, lecz wiek i pozycja społeczna, o wrodzonym poczuciu taktu nie wspominając, powstrzymały go przed tym ośmieszeniem.

Już zamierzał odejść w swoją stronę, gdy tuż przed nim zza zakrętu wypadł rozpędzony powóz. Prędkość była stanowczo zbyt duża, zakręt ostry, więc pojazd dosłownie zatańczył na lekko wilgotnej jezdni. Woźnica krzyknął na konie i ściągnął wodze, ale doczepiona doń buda bujnęła się na prawo i lewo. Ze środka zamiast okrzyków przerażenia dało się słyszeć kobiecie pisk, w którym więcej było frywolności niż lęku, a zaraz potem nastąpił wybuch śmiechu niewątpliwie mieszanego towarzystwa.

Jakub także uśmiechnął się pod wąsem, natychmiast zapominając o „Młodym Edisonie”. Lubił, kiedy ludzie się śmiali. Dorośli stawali się wówczas jak dzieci, swobodni i szczerzy w uczuciach, co u osób dojrzałych wiekiem nie zdarzało się zbyt często.

„Ciekawe, że nie tłumimy radości, a smutek próbujemy skryć tak głęboko, jakby był czymś wstydlwym”, zastanowił się Jakub, który odczuwał nieraz potrzebę systematyzowania swoich obserwacji dotyczących ludzkiej natury.

Tymczasem woźnica zdołał zapanować nad przestraszonymi zwierzętami i powóz zatrzymał się nieopodal miejsca, z którego Modrzycki obserwował całe zajście. Po chwili drzwiczki otworzyły się i z wnętrza wychynął młody, ekscentrycznie ubrany jegomość w staroświeckim cylindrze i ciemnofioletowym, nieco przydługim płaszczu zapiętym pod samą szyję. Przez kark miał przewieszony jasny szal, którym teraz zarzucił nonszalancko. Prosto-

kątny kawałek tkaniny załopotał na wietrze, po czym opadł miękko na lewe ramię właściciela, który zaczął właśnie schodzić tyłem ze stopni powozu.

– Szalenciec – mruknął Jakub, ale był w tym stwierdzeniu także jakiś podziw albo i delikatna nutka zazdrości, gdyż wysiadający wydawał się człowiekiem zadowolonym z życia, mimo że niezbyt zamożnym. Choć może nie o zadowolenie tu szło, bo i Jakub zwykle miał się za szczęściarza, tylko o pewną swobodę. Nieznajomy zdawał się bowiem całkowicie wolny od trosk tego świata.

„On z pewnością nie musi wybierać pomiędzy rodziną a pracą”, zadrwił w głowie Modrzycki. „Idę o zakład, że nie ma żadnej z nich, żywi się słońcem, powietrzem i, jak sądzę, miłością”.

Pokonując kolejne schody, młodzieniec giął się bowiem w ukłonach skierowanych do kogoś skrytego wewnątrz powozu. Nagle mężczyzna zachwiał się i wydał z siebie okrzyk, jakby stracił równowagę. Jakub zdołał przy tym przez moment dostrzec jego twarz, której centralnym punktem były napomadowane i uniesione ku górze na wzór cesarzy habsburskich jasne wąsy. Ich posiadacz wiedziony naturalnymi odruchami machał rękoma, ze wszystkich sił starając się czegoś uchwycić, by nie runąć wprost na bruk.

„A to ci komediant!”, zakpił Jakub.

Woźnica obrócił się, lecz nijak nie mógł pomóc młodzieńcowi. Z powozu natomiast wyjrzała drobna kobieca postać i chwyciła młodzieńca za ramię. Przez chwilę widać było skrytą w cieniu sylwetkę.

Owa postać wydała się Jakubowi dziwnie znajoma. Zaczął przeszukiwać odmęty pamięci, usiłując przypasować ją do którejś ze znanych sobie pań, przy okazji bawiąc się w zgadywanie, która z nich mogłaby brać udział w tak szaleńczym biegu koni w środku miasta, w dodatku w tak osobliwym towarzystwie.

Młodzieniec w ostatniej chwili chwycił podane mu ramię i złapał się go tak mocno, że przez moment zdawało się, iż pociągnie niewiastę za sobą w dół. Jednak zdarzyło się coś nieprawdopodobnego. Mężczyzna odepchnął się od stopnia i pociągnięty przez kobietę wpadł za nią do powozu. Przez chwilę słychać było rumor, jakby zderzyli się ze sobą, a potem zapadła ci-

sza. Woźnica zeskoczył z konia i podszedł do drzwiczek powozu. Zajrzał przez nie do środka i zaraz cofnął się speszony.

– Wszystko w porządku – zapewnił ktoś wewnątrz. – Możemy ruszać.

– Mieliśmy zatrzymać się właśnie tu – burknął woźnica, kręcąc przy tym głową.

– Tak, tak, oczywiście – dało się słyszeć ten sam z lekka zdyszany męski głos, a w okienku pojawiła się drobna kobieca rączka, której palce rozcapie- rzyły się na szybce.

„Co za spektakl”, Jakub obserwował to wszystko z coraz większym roz- bawieniem.

Inni przechodnie także przystawali i choć każdy udawał, że zatrzymało go coś ważnego, wszyscy spoglądali ukradkiem w tę samą stronę.

Zapadła cisza. Woźnica sięgnął za pazuchę, wyłuskał stamtąd blaszane pudełko z tytoniem i zaczął skręcać papierosa.

„Musi dobrze znać zwyczaje swojego państwa”, pomyślał Modrzycki i byłby ruszył dalej, lecz nagle usłyszał coś, co zmroziło mu krew w żyłach.

Znał ten dźwięk i teraz bez trudu dopasował doń obraz drobnej kobiecej postaci. Był to perlisty śmiech jego żony. O pomyłce nie mogło być mowy. Nikt na świecie nie śmiał się nawet w połowie tak pięknie jak Emilia.

Jakub stał jak zmieniony w słup soli. Gwar ulicy umilkł nagle. W uszach zabawkarza wibrował tylko dźwięczny śmiech żony i mocne uderzenia jego własnego serca.

Woźnica dopalił papierosa i zgniótł niedopałek czubkiem buta. Chwilę później z powozu wysiadł wąsaty jegomość. Jego płaszcz był rozchełstany, a policzki mocno zaczerwienione. Zeskoczył ze stopni i nie odezwawszy się do woźnicy ani słowem, zdecydowanym krokiem ruszył w stronę pobliskiej, rzęsiście oświetlonej cukierni.

Jakub nie odrywał wzroku od powozu. Od żony dzieliło go zaledwie kil- ka kroków. „To nieprawda. To nie może być prawda”, dudniło mu w głó- wie. Jakiś wewnętrzny głos namawiał go, by podszedł tam i przekonał się na własne oczy, kto siedzi w powozie, ale Modrzycki nie miał dość odwagi,

by podążyć za jego wskazaniem. Nie potrafił też dociec, czego bał się bardziej: ośmieszenia, gdyby doszło jednak do pomyłki, czy spojrzenia w twarz własnej żony, która przed chwilą chichotała w objęciach innego. Gdyby jego podejrzenia okazały się słuszne, jak miałyby wówczas postąpić? Co powiedzieć? Odejść natychmiast czy może gwałtownie zacząć domagać się wyjaśnień? I co zobaczyłby w oczach Emilii? Strach? Współczucie? A może ulgę, że prawda wyszła na jaw i nie będzie musiała dłużej ukrywać swojego romansu? Które z tych spojrzeń najmocniej by go dotknęło?

A co miałyby zrobić, gdy wróci młodzieniec? Uderzyć go? Wyzwać na pojedynek?

We wszystkich tych scenariuszach widział siebie jako mężczyznę godnego pożalowania.

Nie mógł też przecież tak po prostu wdrzeć się do wnętrza powozu. Woźnica z pewnością by go zatrzymał i zapytał, czego chce od wiezionej przez niego damy. „Proszę mnie przepuścić, tam jest moja żona!”, tak miałyby mu odpowiedzieć? Woźnica najprawdopodobniej doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co działo się w powozie, gdy on kurzył papierosa.

Kolejne sekundy dłużyły się Jakubowi niemiłosiernie. Całe ciało zdrętwiało mu od napięcia, a powietrze wydawało się tak gęste, że ledwie oddychał. Po raz pierwszy ucieszył się, że ma przy sobie swoją nieodłączną laskę. Aż dotąd traktował ją jako ozdobę, teraz zaś mógł oprzeć się na niej, by nie stracić równowagi. Czuł się bowiem chwiejnie, niepewnie stał na nogach, które były miękkie, jakby zrobione z waty.

Młodzieniec wyszedł z cukierni, niosąc w ręku duże, okrągłe, przewiązane czerwoną wstążką pudełko.

Wspiął się po schodkach i zajrzał do wnętrza powozu.

– Zamawiała pani karmelowe eklery z prażonymi, słonymi pistacjami? – zapytał, szeroko się uśmiechając.

– Eklery z pistacjami... – powtórzył Jakub i wydało mu się, że jego serce przestaje bić. To były ulubione ciastka Emilii.

– Owszem – odparł kobiecy głos. – Przepadam wprost za nimi, ale trzeba panu wiedzieć, że jadam tylko te od Lardellego.

Jakub nie miał już żadnych wątpliwości. Wiedział, kto siedzi wewnątrz powozu i do kogo zwracano się tak czule. Doskonale znał ten głos i pełen ciepła ton. Przecież tysiące razy żona przemawiała tak i do niego! Stał i słuchał czułych, lekko kpiących nut brzęących w głosie Emilii, która zwracała się do kogoś, kto z pewnością nie był jej mężem.

Zaraz też przypomniała mu się powieść „Anna Karenina” Lwa Tołstoja, którą w czasach narzeczeństwa czytali wspólnie z Emilią w świeżo dokonanym przekładzie Jana Wołowskiego. Jakub pamiętał dobrze, jak okrutnie wiarołomną żonę, Annę Arkadiewnę, potraktował Aleksiej Aleksandrowicz Karenin, ale oni z Emilią nie bardzo przejmowali się wówczas losem dwojga tragicznych małżonków. Widzieli siebie raczej w rolach Konstantego Dmitricza Lewina i słodkiej Kitty Szczerbackiej i byli pewni, że ich wspólne życie będzie równie szczęśliwe jak tej pary. Tak było kiedyś, choć jeszcze przed chwilą owo „kiedyś” miało przecież stanowić ich „zawsze”.

„Czy Wroński przypadkiem też nie miał jasnych wąsów?”, zaczął zastanawiać się Jakub i ta nedorzeczna, biorąc pod uwagę położenie, w jakim się znalazł, myśl przyniosła mu chwilową ulgę. Skupiony na próbie przypomnienia sobie wyglądu kochanka Anny Kareniny zdołał kilka razy odechnąć głębiej.

– Co za szczęście – westchnął tymczasem teatralnie młodzieniec – że konie poniosły i dobrotliwy los przywiódł nas do tej właśnie cukierni. Dzięki wam, o bogowie przypadku! Dzięki wam za łaskawość, dzięki której mogę złożyć u stóp pani mego serca ten skromny podarek, licząc, że dostarczę jej tym jeszcze odrobinę rozkoszy – zakończył, zniżając głos.

To rzekłszy, skłonił się i niczym posłaniec składający dary królowej wyciągnął przed siebie ramiona z przewiązonym wstążką pudełkiem.

Emilia roześmiała się, po czym odpowiedziała coś cicho, zdecydowanie zbyt cicho, żeby stojący nieopodal mąż mógł dosłyszeć jej słowa. Były przecież przeznaczone wyłącznie dla jednych uszu. Uszu dziwaka w fioletowym płaszczu, który był przynajmniej trzydzieści lat młodszy od Jakuba

i ponad dekadę młodszy od niej samej. Pudełko zniknęło wewnątrz powozu. Młodzieniec cofnął się jeszcze, by wydać jakieś dyspozycje woźnicy, a gdy ten skinął głową, sam także wsiadł do środka.

Podobnych uczuć jak te, które kłębiły się w duszy Jakuba Modrzyckiego, nie sposób opisać słowami. Niezdolny powziąć jakiegokolwiek decyzji, stał bez ruchu wciąż w tym samym miejscu, jeszcze długo po tym, jak drzwiczki powozu zatrzasnęły się, furman strzelił z bata i konie ruszyły, unosząc w nieznanym kierunku Emilię Modrzycką i jej młodego kochanka.

Jakub jak zahipnotyzowany patrzył za odjeżdżającym powozem, aż ten zmienił się w mały punkcik, a potem całkiem zniknął mu z oczu. Nie zauważył nawet, że skłębione na niebie chmury zgęstniały jeszcze bardziej, zupełnie zakrywając niknące na horyzoncie słońce. Zaczęto zapalać latarnie.

W tej samej chwili spadł pierwszy śnieg.

## Rozdział 9

Bez żadnej zapowiedzi białe, grube płatki posypały się z nieba na spieszących we wszystkich kierunkach przechodniów. Opadały na ufryzowane włosy, eleganckie kapelusze, grube, wełniane płaszcze z postawionymi kołnierzami. Przyklejały się do rzęs, przesłaniając wszystko wokół, chłodziły policzki i zwilżały wargi. W kilka chwil później oświetlone żółtawym światłem latarni ulice zaśnieżyły od mrozu, a piesi nie podążali już po chodnikach zwyczajnym krokiem, lecz sunęli ostrożnie, jakby byli dziećmi dopiero co uczącymi się jeździć na łyżwach.

Wiatr się wzmagał. Ulice pustoszały, choć był to ten moment dnia, w którym zwykle panował wzmożony ruch. Wszyscy starali się jak najprędzej znaleźć się w suchym i ciepłym miejscu.

Minęło kilkanaście minut, nim Jakub zdołał się ruszyć. W tym czasie wokół zrobiło się przeraźliwie zimno. Rozszalały nagle wiatr kapryśnie zmieniał kierunki, wirował i tańczył, wyjąc przy tym opętańczo. Lodowate podmuchy wciskały się w każdą szczelinę, łomotały zamkniętymi drzwiami, szarpały włosy, rozchełstywały płaszcze i wyciskały łzy z oczu. Oddechy tworzyły w powietrzu białawe, mgliste obłoczki, a ludzie kulili się, jakby odruchowo starali się ocalić resztki ciepła. Chodniki i jezdnie w jednej chwili oblodzone sprawiły, że życie w mieście, zwykle tak ruchliwym i głośnym niczym ogromny ul, zwolniło nagle. Kto musiał jeszcze dokądś udać się tego wieczoru, opóźniał wyjście, licząc na ustanie zawieci. Ci, którzy mogli zostać w domach, oddychali z ulgą i czuli się tak, jakby nieoczekiwanie wygrali los na loterii.

Wkrótce rozpadało się na dobre. Śnieg sypał nie tylko z góry, ale miotany podmuchami wiatru smagał chłodem z każdej strony. Miękkie niegdyś płatki zmieniały się na ziemi w lodowe kryształki, a wtedy wiatr znów wzbijał je w powietrze, ciskając nimi na wszystkie strony.

Jakub nawet nie próbował się zasłaniać. Odruchowo mrugał tylko nieustannie, bo lodowe drzazgi kłuły go w oczy.

Stan pogody idealnie współgrał z tym, co działo się w jego wnętrzu.

Gdy pojazd zniknął mu z oczu, uwożąc jego żonę w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, Modrzycki wzdrygnął się i ruszył przed siebie, nie bacząc, dokąd zmierza. Po prostu szedł, z dziwnym wysiłkiem stawiając kolejne kroki, a wokół niego gęstniał mrok i zawieja. Jakub zdawał się nie przyjmować do wiadomości ani nagłego załamania pogody, ani bolesnej prawdy kryjącej się za sceną, której przed chwilą był świadkiem. Jego umysł opierał się, próbował za wszelką cenę opóźnić moment zaakceptowania tego, co nieuchronne, choć jakaś jego część od razu zrozumiała wszystko i czym prędzej odcięła go od bodźców zewnętrznych, by pomóc mu przetrwać.

Jakub nie czuł więc zimna. Nie poczuł też nawet najmniejszego ukłucia zazdrości. Nie był rozgniewany czy roztrzęsiony. Nie czuł zupełnie nic, tylko oddychało mu się wciąż trudno, a każdy krok zdawał się nadludzkim wysiłkiem.

Odnalezienie drogi do warsztatu zabrało mu całe godziny. Tułał się wśród mroku nocy, meandrując pomiędzy kopczykami świeżych śniegowych zasp. Gdy wreszcie stanął przed drzwiami swojego ukochanego sklepu z zabawkami, to miejsce wydało mu się całkiem obce. Pracownicy dawno już wyszli. Majster i czeladnicy nieco wcześniej niż Szczekot z Pawłowskim, ale dla wszystkich dzień pracy już się skończył.

Jakub sięgnął do kieszeni po klucz, zamek szczęknął, a po naciśnięciu klamki drzwi ustąpiły lekko. Modrzycki wszedł do środka. Panujący w sklepie mrok rozpraszała tylko kolorowa poświata bijąca od ustawionych na wystawie neonów, które mimo kryzysu kazał pozostawiać zawsze włączone na noc. To przypomniało mu o zorzy polarnej, którą wciąż trzymał w rękach.

Zdawało mu się, że od chwili, gdy w pośpiechu opuścił warsztat, by pokazać Emilii być może najważniejsze dzieło swojego życia, minęły całe wieki. Odłożył paczkę na ladę. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest zmarznięty i zmęczony. Nie zdjęwszy nawet płaszcza, osunął się na miękki fotel,



w którym pozwalał czasem subiektem czytać dzieciom na głos historie z kolorowych książek. Ten pomysł szalenie podobał się wszystkim. Jakub jednak i w tym miał swój cel. Wiedział, że dzieci, wysłuchawszy fragmentu opowieści, najlepiej szczególnie zajmującego, zrobią wszystko, by dowiedzieć się, co było dalej. Najprostszą zaś drogą do zrealizowania tego zamiaru było namówienie rodzica czy guwernantki na zakup rzeczonyj książki, a tego najłatwiej było dokonać, sięgając w kierunku specjalnego regału ustawionego naprzeciwko głównej witryny z zabawkami.

Jakub oparł zmęczoną głowę na zagłówku fotela i nie wiedząc kiedy, zapadł w niespokojny sen. Obudził się jakiś czas później wstrząśnięty nagłym dreszczem. Sklepowe piece musiały stracić już resztki ciepła, a on zasnął w mokrym od świeżego śniegu płaszczu.

„Niechybnie się przeziębnię”, pomyślał, lecz już w następnej chwili powróciło do niego wspomnienie tego, co zobaczył, i własne zdrowie natychmiast przestało mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie.

Powinien rozplakać się lub gorzko zaśmiać z powodu własnej nędzy, ale siły znów go opuściły.

„Troszczę się o katar, podczas gdy straciłem coś znacznie cenniejszego niż zdrowie”, wyrzucał sobie z goryczą. „Teraz w zasadzie najprościej byłoby złapać zapalenie płuc i umrzeć. Ciekawe, czy Emilia zapłakałaby chociaż szczerze na moim pogrzebie? A może ucieszyłaby się, że odziedziczyła cały majątek, jest wolna i nic nie stoi jej na przeszkodzie na drodze do szczęścia z tym...”

Wzdrygnął się z zimna i ze wstrętu, bo wizja, która przemknęła mu przez głowę, wydała mu się nie do zniesienia.

Zegar w warsztacie wybił godzinę ósmą. Modrzycki słuchał kolejnych uderzeń dobiegających z sąsiedniego pomieszczenia i marzył, by mechanizm nigdy nie przestał dzwonić. Nagle przestraszył się ciszy i własnych myśli podsuwających mu zdradzieckie obrazy.

– Dwudziesta – powiedział głośno.

Naraz uświadomił sobie, że nie zawiadomił żony o nieobecności na kolacji.

– A niby dlaczego miałyby ją to w ogóle obchodzić? – mamrotał sam do siebie, mimo to wykręcając numer do domu.

Znalazł się wprawdzie w sytuacji niecodziennej, ale wciąż nie czuł się gotowy zignorować zasad od lat ustalonego porządku rzeczy, a tenże zakładał, że ilekroć zabawkarz planował zostać dłużej w warsztacie, donosił o tym rodzinie, by ci nie czekali nań z kolacją. Wykręcając numer, pomiar-kował ze zdziwieniem, że od pewnego czasu częściej dzwonił, niż przyjeżdżał na wspólne posiłki, choć jak dotąd owa dysproporcja zdołała jakoś umknąć jego uwadze.

Sam przed sobą wstydził się przyznać, że jego nieobecność jest tylko pretekstem usprawiedliwiającym telefon do domu. Musiał, po prostu musiał sprawdzić, czy Emilia już wróciła. To było silniejsze od niego.

Jakub zatelefonował więc do mieszkania i nakazał Helence poinformować żonę, że nie wróci na kolację.

– Ale... – Służąca próbowała coś wtrącić, jednak Modrzycki nie dał jej dojść do słowa. Nie chciał być niegrzeczny wobec starej gospodyni, ale czuł się zbyt zdenerwowany, by powściągnąć język, słowa zbyt prędko wypływały z jego ust.

– Niech Helenka niczego mi nie zostawia – odpowiedział na niezadane pytanie. – Nie jestem pewien, czy w ogóle uda mi się dziś wrócić.

– Panie Jakubie...

– Tak? – spytał z pewną dozą zniecierpliwienia.

– Nie mogę przekazać pani żadnych wieści – oświadczyła służąca, a w jej głosie wyraźnie dało się usłyszeć karcącą nutę, jakby chciała wspomnieć mu, że niepotrzebnie mówił te wszystkie słowa. Wystarczyło chwilę posłuchać starej kobiety i nie musiałby strzepić języka. – Pani jest dziś w teatrze.

– Oczywiście, oczywiście – wymamrotał Jakub, byle powiedzieć cokolwiek.

Wizyta w teatrze usprawiedliwiała pudełko ze słodkościami. Do najpopularniejszych należały wprawdzie pomadki, czekoladki czy fiołki w cukrze,

ale może zakup eklerów stanowił kolejną osobliwość tych dwojga.

„Tych dwojga...”, pomyślał z goryczą. „Ich, nie moją”.

– Dzieci zjedzą zatem same – dodała Helena już łagodniej, jak zawsze, gdy mowa była o jej podopiecznych. Gospodyni wprost przepadała za Krysią i Juliankiem. – Pani zadysponowała na dziś łososia z kalafiolem w konserwie i ziemniakami, a na deser leguminę pomarańczową. Maluchy mają być w łóżku przed dziewiątą.

Jakub mimowolnie głośno przełknął ślinę. Przepadał za leguminą pomarańczową, którą kucharka zwykła posypywać drobno utartą gorzką czekoladą. Wiedział jednak, że od dziś nie zdoła przełknąć już nigdy choćby odrobiny tego przysmaku. Zawsze będzie kojarzył mu się z tym tragicznym dniem, który bez wątplenia wpłynie na resztę jego życia.

– Doskonale – pochwalił, choć wiedział dobrze, że w sprawach domowych i tak nikt nie liczył się z jego zdaniem.

Nie wiedział, co mówić dalej, a jednak nie mógł zdobyć się na to, by odłożyć słuchawkę. Przeciwnie, przycisnął ją mocniej do ucha, próbując usłyszeć jakieś znajome odgłosy, dźwięki świadczące o tym, że choć zawalił się cały jego świat, gdzieś tam, w domu, wciąż toczy się życie.

– Mogę służyć czymś jeszcze? – spytała Helena po dłuższej chwili milczenia.

Wiedziony odruchem Jakub otworzył usta, lecz zaraz zamknął je i mocno zacisnął wargi, by przypadkiem nie wypłynęły z nich jakieś zdradzieckie pytania. Nabrał nagle ochoty, by zapytać Helenkę, czy przypadkiem nie wie czegoś o nowych znajomościach swej pani. Mieszanie służby w sprawy prywatne wydawało mu się czymś poniżającym, a jednak ze wszystkich sił musiał powstrzymać się, by nie zapytać kucharki, z kim wyszła tego wieczoru jego małżonka i czy nie był to przypadkiem jakiś młodzik z jasnym, nedorzecznym wypomadowanym wąsem.

Niczego by to zapewne mu nie wyjaśniło. Emilia była mądrą kobietą. Nawet gdyby ów jegomość został przedstawiony Helence czy dzieciom, z pewnością żona wymyśliłaby prawdopodobną historię, by usprawiedliwić swoje z nim wyjście.

„A raczej schadzkę z kochankiem”, gdy tylko ostatnie słowo wybrzmiało w jego myślach, Jakub poczuł na policzkach uderzenie gorąca.

Pospiesznie pożegnał się z Heleną i opadł na skórzany fotel. Mimo wszystko miał nieracjonalną nadzieję, że to Emilia odbierze telefon i lekko podniesionym głosem zacznie robić mu wymówki. A może chciał usłyszeć w jej głosie troskę? Może liczył na to, że zasypie go pytaniami o to, jak przeżył burzę śnieżną, i powie, że bardzo się o niego martwiła, siedząc w domu sama z dziećmi.

– Nigdzie nie wychodziłaś? – zapytałby wówczas.

– Nigdzie, mój drogi – odpowiedziałaby z mocą, a on wiedziałby, że doszło do pomyłki.

Jakuba zalała potężna fala żalości. Dlaczego to nie jego żona odebrała telefon? Dlaczego nie było jej teraz w mieszkaniu? Dlaczego skręcił w tamtą uliczkę, zamiast, jak zamierzał, iść prosto do domu? Przecież gdyby tego nie zrobił, o niczym by się nie dowiedział i nie cierpiałby teraz. Jego życie toczyłoby się dalej swym zwyczajnym rytmem. Dlaczego to ogłoszenie wydało mu się wcześniej tak ważne, skoro teraz było całkiem bez znaczenia?

„Żyłbyś wówczas iluzją, w kłamstwie”, tłumaczył mu inny głos, ale Mordrzycki był zbyt rozżalony, by go słuchać.

Wydawało mu się, że gdyby mógł cofnąć czas, zrobiłby to bez wahania.

Oddychał ciężko, jakby właśnie przebiegł znaczną odległość. W głowie mu huczało, a serce waliło jak młot. Łzy zapiekły go pod powiekami.

– Emilio, dlaczego... – szepnął cicho.

Odpowiedziała mu tylko cisza. Podeszedł do okna i bezmyślnie przyglądał się pogrążonej w ciemności ulicy. Mrok rozpraszały jedynie połyskujące odbitym światłem zasypane śniegu.

– Powinienem pójść do teatru. Przyłapać ją *in flagranti* – powiedział do samego siebie, ale zaraz wzdrygnął się i porzucił ten zamiar.

Publiczne roztrząsanie domowych czy małżeńskich problemów nie mieściło mu się w głowie. Poza tym wciąż nie potrafił odnaleźć w sobie owego szalonego gniewu, który dodałby mu siłę, a nade wszystko odwagi potrzeb-

nej do uczynienia tego kroku. Już sama myśl, że miałyby stanąć przed Emilią i jej kochankiem, przyprawiała go o mdłości, lecz zamiast wściekłości czuł jedynie żal.

To było jakieś nowe, nieznane mu dotąd uczucie. Stracił punkt odniesienia, orientację we własnym życiu. Nagle znalazł się na pustkowiu, zupełnie sam. Źródło, z którego czerpał siły i odwagę, okazało się wyschłe. Wszystko, co stałe, zniknęło w jednej chwili. Jakby jakaś potężna siła wysssała zeń moc, cały wigor, radość życia, wybarwiła wszystko wokół i odebrała zapach stojącym na stoliku egzotycznym kwiatom, a światłu lampy ciepło.

– Emilia... – Tylko to jedno jedyne słowo kołatało mu w głowie, jak echo dawnego szczęścia.

## Rozdział 10

Kiedy Jakub poznał Emilię, był już wdowcem. Jego pierwsza żona, Joanna, zmarła, wydając na świat ich syna, który nie dożył nawet roku. Do dziecka Modrzycki nie zdążył się wobec tego szczególnie przywiązać. Mimo to wcześniej osobiście wybrał mu imię Joachim, zgodnie z rodową tradycją nakazującą nadawać synom imię zaczynające się na literę jot. Głęboko wierzył, że to czerwone na twarzy niemowlę jest gwarantem przedłużenia rodu Modrzyckich o kolejne pokolenie. Niestety, po śmierci Joanny dziecko zostało od niego oddzielone szczelnym kordonem piastunek, mamek, pokojowych oraz bliższych i dalszych krewniaczek, wszystkich tych gorliwych, pełnych dobrej woli kobiet, które jednomyślnie twierdziły, że młody wdowiec nie nadaje się do opieki nad niemowlęciem.

– Powinieneś raczej zająć się poszukiwaniem dlań matki, skoro własna odumarła niebożątko – westchnęła pewnego dnia ciotka Jadwiga, starsza siostra matki Modrzyckiego i jego chrzestna, pochylając się nad kołyską, gdyż niemowlę trudno było dostrzec zza zasłony tiulów i koronek.

Słowa ciotki dzwoniły w uszach zabawkarza przez kilka kolejnych dni, jeszcze potęgując wyrzuty sumienia, które od śmierci żony nie opuszczały go we dnie i w nocy. O ile bowiem narodziny syna potraktował z pewną dozą obojętności, licząc, że w przyszłości w naturalny sposób zbliżą się do siebie, o tyle po śmierci Joanny poczuł ulgę. W czasie mszy pogrzebowej oraz gdy postępował za trumną w kondukcje żałobnym, wzdychał głęboko. Wszyscy brali to oczywiście za oznakę smutku, w którym był pogrążony, lecz tylko on jeden wiedział, że wreszcie, po blisko dwóch latach udreń, znów mógł oddychać pełną piersią i bardzo cieszył się tym uczuciem. Był wolny. Nareszcie wolny.

Nigdy, nawet przez najkrótszą chwilę, nie kochał Joanny. Ich małżeństwo zostało zaaranżowane, co w ich środowisku nie było niczym niezwykłym.

Na początku dwudziestego wieku w tematach matrymonialnych wciąż najmniej do powiedzenia mieli ci, którzy osobiście planowali zawrzeć świąty związek małżeński.

W każdym domu, w którym hołdowano tradycyjnym wartościom, nadchodził dzień konsylium rodzinnego, na którym oprócz wielu innych spraw podejmowano też decyzje dotyczące ożenku bądź zamążpójścia najmłodszych członków rodziny.

Choć ród Modrzyckich dobre lata miał już dawno za sobą, ojciec Jakuba tam, gdzie mógł, starał się zachowywać resztki dawnych rytuałów, jakby dzięki nim dało się ochronić strzępki godności nazwiska, które było wszystkim, co mu pozostało. Żona próbowała wprawdzie uświadomić mu, że czasy się zmieniły i ich jedynak może nie zechcieć ożenić się z kobietą, którą dla niego wybiorą, jednak Jan Modrzycki nie chciał nawet o tym słyszeć. Z natury był człowiekiem raczej łagodnym, lecz w tej sprawie żądał kategorycznego posłuszeństwa.

– Nie ośmieli się sprzeciwić woli ojca! – huknął i uznał temat za zakończony.

Później usiadł przy biurku, napisał listy i rozesłał je do wszystkich zakątków kraju, zwołując zjazd rodzinny w domu swoich dalszych krewnych, usprawiedliwiając ten wybór lokalizacją dogodną dla większości zaproszonych.

Jego żona, dowiedziawszy się o tym, zaczęła codziennie chadzać do kościoła, gdzie paliła świece przed obrazem Świętego Antoniego, błagając patrona spraw beznadziejnych, by cała ta awantura nie zakończyła się rozpadem jej rodziny.

Ona jedna nie miała żadnych złudzeń. Wiedziała dobrze, że jej mąż żyje w świecie wykreowanych przez siebie mitów oraz że Jakub wyrósł na kogoś zgoła odmiennego, a przede wszystkim zaś całkowicie samodzielnego, przez co jeśli nie zechce, rodzice ani żadne rodowe względy nie zdołają do niczego go zmusić. Nie wątpiła, że syn kochał ich i szanował, ale od dawna już kierował się własnym rozumem, co niechybnie, jak wiele innych rzeczy, uszło uwadze Jana.

To dzięki pomocy Jakuba od lat udawało jej się wiązać koniec z końcem i utrzymywać męża w przekonaniu, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Katarzyna wiedziała dobrze, że realnym niebezpieczeństwem jest raczej to, iż syn nie przejmie się groźbą wydziedziczenia go przez ojca, który to oręż Jan uważał za tak potężny. Bała się, że jej mąż może nie przeżyć brutalnego zderzenia z rzeczywistością. A ponieważ mimo wielu udręk, których jej dostarczał, na swój sposób kochała go mocno, ta myśl napawała ją przerażeniem.

Próba wpłynięcia na Jakuba też nie wchodziła w grę. Po tym wszystkim, co dla niej zrobił, była mu winna całkowitą wolność wyboru.

Oczywiście nie mogła zwierzyć się z tych obaw żadnemu z nich. Powierzała więc swe troski świętemu, licząc na boską interwencję.

Na szczęście jej modły zostały wysłuchane.

Dwudziestopięcioletni Jakub terminował wówczas w różnych miejscach w kraju i za granicą. Na dłużej zatrzymał się najpierw w Bielau u znanego niemieckiego zabawkarza Hansa Gibnera, a potem nieopodal Kalisza, w Opatówku, gdzie od niedawna mieściły się słynne Zabawkarskie Zakłady Przemysłowe „F. i M. Pinczewscy”. To właśnie tam przebywał młody Modrzycki, gdy matka listownie zawiadomiła go, że na wiosnę będzie się żenił.

Najpierw ogarnęło go zdziwienie, bo nie spodziewał się przeczytać podobnych rewelacji w cotygodniowym liście z domu, który był dlań czymś na kształt tygodnika. W listach matka przekazywała synowi najważniejsze wieści z ojczyzny, a potem długo rozpisywała się na temat wszystkich wydarzeń towarzyskich, plotki bowiem uważała za o niebo ważniejsze od sytuacji geopolitycznej. Jakub był więc na bieżąco z narodzinami, pogrzebami, odjazdami, powrotami, mezaliansami, skandalami, rozwodami, ślubami i zaręczynami. Nie spodziewał się jednak znaleźć wśród tej płątaniny nazwisk samego siebie.

Matka oczywiście, zgodnie z poleceniem męża, o nic go nie pytała. Poinformowała tylko swego jedyne go syna, że wraz z ojcem znaleźli dlań idealną kandydatkę na żonę.



Joanna Tymieniecka była córką bankiera, co po części tłumaczyło entuzjizm Katarzyny. Pani Modrzycka była bowiem kobietą niezwykle przedsiębiorczą. Znała też blaski i cienie zabawkarskiego fachu. Gdyby ktokolwiek liczył się z jej zdaniem, już dawno przekształciłaby marzenia syna o manufakturze zabawek w jakiś bardziej intratny interes, choćby skład tekstylny, niewielką fabrykę materiałów izolacyjnych czy wytwórnię wypraw fasadowych i sztucznego kamienia. Po wielokroć usiłowała przekonać Jakuba, że wszystko to dałoby się zorganizować bez większego trudu, a nawet bez znacznego kapitału, którym przecież nie dysponowali. Zamiast od warsztatu mógłby zacząć od magazynu do przechowywania papy dachowej albo wstawić doń maszynę do obróbki kamienia i zatrudnić paru robotników, a samemu zająć się pozyskiwaniem klientów. Jakub jednak nie chciał nawet o tym słyszeć. Wiedział, że urodził się po to, by wytwarzać wyjątkowe zabawki.

Gdy syn oznajmił jej, że podjął decyzję i udaje się na nauki rzemiosła, pani Modrzycka najpierw przepłakała tydzień, roniąc łzy nad zmarnowanym na zabawki życiem i talentem swego jedynaka, po czym zajęła się przygotowaniem syna do wyjazdu.

Podczas gdy Jakub odbywał swoje podróże po wielkich fabrykach zabawkarskich i małych rodzinnych manufakturach, Jan, zniecierpliwiony przedłużającą się nieobecnością syna, być może z tęsknoty za nim albo z innych, nikomu nieznanym względów, postanowił poszukać mu żony. Katarzyna zaś, słysząc, jakie wyobrażenie o przyszłej małżonce syna ma jej mąż, chcąc nie chcąc, musiała wziąć sprawy w swoje ręce.

Wiedziała, jak wielkim nieszczęściem jest związać się z kimś, kogo jedyną wartością jest nazwisko. Sama padła ofiarą takiego mariażu i choć w końcu nauczyła się kochać męża, nie zamierzała pozwolić, by i syn został wplątany w te pajęczne sidła.

W czasie, kiedy Jan wywiadywał się o panny z dobrych domów, zupełnie nie bacząc na ich posag, a jedynie na ustosunkowanie, ona szukała kandydatki w zgoła odmiennym gronie.

Najważniejsze było to, by przyszła synowa dysponowała nie tylko wdziękiem i urodą, lecz także pieniędzmi, które pomogą Jakubowi rozwinąć skrzydła w produkcji zabawek. Skoro właśnie to było jego pragnieniem, matka zamierzała mu jakoś dopomóc. Poza tym Katarzyna była pewna, że to właśnie tego elementu brakowało jej samej, by skutecznie wpłynąć na męża i dzięki temu wieść życie całkiem odmienne od tego, które ostatecznie stało się jej udziałem. Za nic miała opowieści Jana o wielkim nazwisku rodowym, wspaniałych koneksjach, bezcennych honorze i szacunku, które miały być ważniejsze od spraw materialnych. Ona jedna wiedziała, że to wszystko, owszem, stanowi wielką wartość, ale tylko dla tego, kto przy okazji dysponuje okazałym majątkiem. Zmiana świata na lepsze samymi tylko wzniosłymi hasłami nie przyniosła jeszcze sukcesu żadnej ideologii.

Matka Jakuba pochodziła ze zubożałej szlachty ziemiańskiej. W posagu dostała jedynie komplet płóciennej pościeli i dwie porcelanowe zastawy pamiętające odległe czasy świetności rodziny. Jan nie musiał się więc nigdy liczyć z jej zdaniem, a nie kochał jej na tyle, by brać je pod uwagę tak po prostu, z samego tylko szacunku dla rozsądku, którego Katarzynie nie brakowało. W tym względzie również był doskonałym tworem swojej sfery, w której królował patriariat, a kobieta, by mieć wpływ na cokolwiek, musiała być albo wyjątkowo piękna, albo wyjątkowo majątna. Tylko te dwie kwestie zapewniały płci niewieściej niezależność.

Żony dla Jakuba szukała więc matka wśród panien z bogatych domów. Było to nie lada wyzwanie, ponieważ dziewczęta te zwykle zwracały się ku wyższym sferom, a ich rodzice sami mieli wybujałe ambicje i bacznie analizowali sytuację majątkową kolejnych absztyfikantów. Katarzyna nieraz zastanawiała się, czy główną przeszkodę dla korzystnego mariażu Jakuba stanowić będzie brak majątku, czy może jego dziwaczna pasja zabawkar-ska, o której, czego była pewna, wiedzieli wszyscy.

Tym większym zaskoczeniem było dla niej pojawienie się na zorganizowanym przez nią podwieczorku panny Joanny Tymienieckiej. Przyszła w towarzystwie dwóch kuzynek, również młodych i powabnych, o których

pani Modrzycka wiedziała jednak, że są już przyobiecane lepszym partiom niż jej syn.

Joanna była niezwykle wysoka i szczupła, Katarzynie przywodziła na myśl źdźbło trawy. Wydawała się jednak zdrowa, cerę miała gładką, zęby białe, a ciemne, lśniące włosy zebrała skromnie nad karkiem. Była raczej milcząca, lecz zapytana o coś odpowiadała rozsądnie i na temat. Nie chichotała, nie wzdychała nadmiernie, głos jej nie był ani piskliwy, ani zbyt niski.

Modrzycka usiłowała znaleźć jakiś defekt w pannie Tymienieckiej, ale nie udało jej się to. Uznała więc, że oto opatrność wysłuchała jej modłów zanoszonych za wstawiennictwem Świętego Antoniego i przysłała idealną towarzyszkę życia dla jej jedynaka.

Jan także zdawał się przychylny pannie, choć kilka razy zdarzyło mu się westchnąć, że pragnął dla syna kogoś ze znakomitszym nazwiskiem.

– Nasze będzie musiało im wystarczyć – ucinała te utyskiwania Katarzyna, drżąc z trwogi, by wielkopańskie zapędy męża nie zniweczyły jej planów.

Kilka dni później ojciec Joanny zajechał powozem przed kamienicę, w której mieszkali Modrzyccy, i jeszcze tego samego popołudnia przy domowym winie z czerwonych pomarańczy, doskonałej herbacie i pachnących kwiatem muszkatu ciastkach helgolandzkich zawarto umowę małżeńską.

Tymczasem niczego nieświadomy Jakub zaledwie tydzień przed otrzymaniem listu od matki bawił na weselu w podkaliskim Opatówku i po raz bodaj pierwszy w życiu zastanawiał się przy tej okazji, czy małżeństwo jest dla niego. Oparty o pień drzewa z rękoma założonymi na piersi obserwował, jak jego znajomy lakiernik prowadzi do powozu użyczonego nowożeńcom przez właścicieli fabryki zabawek młodziutką pannę młodą spowitą w materiałową biel i całą w pąsach. Jakub patrzył na nieprzytomnego ze szczęścia pana młodego i jakoś nie potrafił, mimo wyjątkowo bujnej wyobraźni, postawić się na jego miejscu.

– Może jestem na to po prostu zbyt młody – powiedział sam do siebie, wzruszając ramionami, a potem bawił się na weselu do białego rana.

Kilka dni później otrzymał wieści od matki. Przeczytawszy list, w którym Katarzyna zdała mu sprawę z ostatnich wypadków, jak się okazało, mających wielki wpływ na jego życie, długo siedział w fotelu, patrząc gdzieś w dal. Tak wiele myśli kłębiło mu się w głowie, że gdy na stacji zadzwoniono na kolację, nie był pewien, czy aby nie uciął sobie drzemki. Nie mógł bowiem przypomnieć sobie żadnych sensownych wniosków wynikających z tych wielogodzinnych rozważań.

Wreszcie uznał, że dobrze się stało. Matka wybawiła go z kłopotu, jakim od zawsze wydawała się Jakubowi konieczność zawarcia małżeństwa. Owszem, wiedział, że mężczyznom wolno więcej i że mógłby jeszcze przynajmniej przez dekadę udawać, że problem nie istnieje, ale należał do gatunku ludzi, którzy nieprzyjemne sytuacje wolą mieć czym prędzej za sobą, zamiast odsuwać w czasie coś, czego uniknąć i tak się nie dało.

Przez ostatni rok, przebywając z dala od domu rodzinnego, czujnego spojrzenia matki i wizji roztaczanych niestrudzenie przez ojca, Jakub zdołał wyrobić sobie zdanie na temat natury stosunków damsko-męskich. O ile od czasu do czasu uwielbiał całować malinowe usta, oddychać westchnieniami rozkoszy, karmić się pełnymi oddania spojrzeniami i zagłębiać się między miękkie uda kobiet, o tyle nie wyobrażał sobie, by miał spędzać codzienność w czyimś towarzystwie. Dopiero wyjechawszy z domu, pojął, jak męczącą była dlań obecność matki, gospodyń i niezliczonej liczby ciotek. Pomieszkując w małym, pozbawionym warszawskiego zgiełku Opatówku, odkrył, jak bardzo kocha ciszę i niezależność, wolność w dysponowaniu własnym czasem oraz pełną swobodę myśli i czynów. Przed wszystkim zaś ową nieskrępowaną możliwość tworzenia, której pragnął, bez konieczności podporządkowywania się jakimkolwiek rygorom.

Czuł, że w takim stanie przychodzą mu do głowy najlepsze pomysły i nic nie ogranicza jego zapału twórczego. Jeśli bowiem było coś, wobec czego Jakub Modrzycki odczuwał szczególną namiętność, było to właśnie wyrabianie zabawek.

Pomysły na nowe projekty zwykle przychodziły do niego niezapowiedzianie. Jakaś sprężynka, nietypowo wygięty drucik, kawałek kauczuku, duża, drewniana drzazga czy odłamek szkła nierzadko okazywały się cennym źródłem inspiracji.

Patrzył i już wiedział, pozostawało tylko wydobyć wizję z umysłu, przełać ją na papier, wykonać stosowne obliczenia, przygotować materiały, by powołać do życia kolejną zabawkę inną od wszystkich.

Ten moment wizji odurzał Jakuba Modrzyckiego. Jego oddech przyspieszał wówczas, serce biło mocniej, dając znać, że krew szybciej krąży w żyłach, policzki mu czerwieniały, a on sam czuł przyływ niezwyklej energii, której musiał czym prędzej dać ujście. Matka traktowała te napady inwencji twórczej jako rodzaj niegroźnej fanaberii, więc niekiedy pozwalała synowi jej ulegać. Nie było jednak mowy o tym, by coś podobnego stało się usprawiedliwieniem dla nieobecności na proszonym obiedzie, koncercie czy umówionej wizycie.

– Najpierw obowiązki, potem przyjemności – powtarzał ojciec, ignorując jęki i westchnienia syna dręczonego wizją konstrukcji, którą z założenia uznawał za genialną.

Dopiero tu, w Opatówku, młody Modrzycki spotkał się z pełnym zrozumieniem. Gdy po raz pierwszy poczuł natchnienie, pospiesznie udał się do pana Pinczewskiego i zasypał go gorączkowymi wyjaśnieniami. Stary mistrz przyglądał mu się w milczeniu, a gdy uznał, że młodzieniec zakończył już swoją tyradę, z kieszeni kamizelki wyjął złoty zegarek z dewizką, sprawdził godzinę i spytał krótko:

– Skoro tak, wyjaśnij mi, proszę, dlaczego tracisz czas na mówienie? Nie lepiej byłoby ostatnie sześć minut i czterdzieści sekund spędzić przy desce kreślarskiej? – A gdy Modrzycki wciąż milczał, dodał jeszcze: – Ktoś przyniesie ci kolację.

Oślupiały Jakub najpierw zamrugał, potem wydukał parę sylab, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nie bardzo wiedział co, następnie wykonał dziwny obrót i przez kolejnych kilka dni nie wychodził z pokoju. Co rano, w południe i wieczorem pod jego drzwiami czekała taca z jedzeniem, dzba-

nek ze świeżą wodą i czajniczek z kawą lub herbatą w zależności od pory dnia, a on oddawał się pracy.

Resztę swojego życia przeżywał całkiem rozsądnie. Jadł z umiarem, nie nadużywał alkoholu ani tabaki, spacerował na świeżym powietrzu, gimnastykował się rano i wieczorem, długo spał, unikał wzruszeń, wykonywał swoje obowiązki i nie stronił od zabaw. Jednak tylko w tych dniach, gdy spędzał kolejną bezsenłą noc pochylony nad kartką papieru z jednym ołówkiem w dłoni, a drugim zatkniętym za ucho, czuł, że żyje naprawdę.

Był przeto pewien, że nikt nigdy nie odmieni tego stanu rzeczy, a jeśli nawet, z pewnością nie będzie to kobieta.

Pobyt w Opatówku sprawił, że Jakub zapragnął się usamodzielnic, wyprowadzić z domu rodzinnego i wydostać spod nazbyt troskliwych skrzydeł matki. Gdy więc okres jego terminowania u Pinczewskich zaczął dobiegać końca, coraz częściej martwił się tym, w jaki sposób znów wpasuje się w ciasne ramy swego warszawskiego życia.

Po namyśle stwierdził, że ożenek jest nie najgorszym rozwiązaniem tego kłopotu. Będzie mógł się wyprowadzić i zorganizować małżeńską codzienność według własnych zasad, a dokładniej na wzór życia w domu Pinczewskich.

„Kto wie, może i mnie udałoby się zaszczepić w małżonce zabawkarską pasję?”, rozmyślał, obserwując Annę Pinczewską, która osobiście wymyślała kreacje dla lalek oraz pouczała szwaczki co do estetyki ich wykonania.

Gotowe lalki olśniewały nie tylko wbudowanym wewnątrz nich aparatem, dzięki któremu przy poruszaniu zabawką ta wydobywała z siebie dźwięki, lecz także wspaniałością ubioru, pięknem sukni, delikatnymi pończoszkami i zdobnymi kapeluszami. Anna Pinczewska miała niezwykle zmysł estetyczny, którym umiała przysłużyć się rodzinnym interesom.

„Nic nie stoi na przeszkodzie, by przyszła pani Modrzycka też tak potrafiła”, fantazjował Jakub.

Gdy tylko powziął ten zamiar, napisał do matki list, w którym z nieco przesadnym entuzjazmem przystał na jej propozycję i poprosił o fotografię

panny Tymienieckiej. Dziewczyna okazała się przyjemnej powierzchowności, co uspiło resztki obaw młodzieńca.

U progu lata roku następnego, po krótkim tournée po kontynencie, Modrzycki wrócił do Warszawy akurat na przymiarki ślubnego fraka. Z pewną ulgą przyjął fakt, że wszystkie koszty uroczystości miał pokryć ojciec panny młodej. Zarobione w czasie nauki pieniądze mógł wobec tego przeznaczyć na zorganizowanie swego pierwszego warsztatu, czym zajął się od razu, wynajmując sutereneę w kamienicy przy jednej z bocznych uliczek.

Przed ślubem kilka razy wybrał się z narzeczoną do teatru oraz opery, składali i oddawali też wizyty, zapraszając przy tym gości na własne zaślubiny, a im więcej czasu spędzali razem, tym bardziej cieszył się Jakub, któremu Joanna zdawała się idealną kandydatką na żonę. Przynajmniej nie była gadatliwa. W zasadzie niemal się nie odzywała. Gdy byli sami, przez większość czasu milczeli, ale Modrzyckiemu w ogóle to nie przeszkadzało, bo przy matce nigdy nie słyszał własnych myśli. W towarzystwie Joanna najczęściej uśmiechała się łagodnie, przekrzywiając głowę nieco w prawo, jakby z uwagą śledziła konwersację przy stole.

Ślub odbył się w trzecią niedzielę lipca. Po uroczystościach w kościele i wspaniałym obiedzie dla czterdziestu osób w jednej z warszawskich restauracji nowożeńcy odjechali do mieszkania w nowoczesnej kamienicy będącego prezentem ślubnym od ojca panny młodej. Lokum było jasne i przytulnie urządzone. We wnętrzach królowały pastelowe kolory idealnie współgrające z mahoniowymi meblami. Nie było tam jednak żadnego lustra, który to fakt Jakub odnotował natychmiast, jako że był wielkim miłośnikiem wszelkich odbić. Uznał to za niedopatrzenie, a nie celowe działanie. Postanowił też, że wkrótce podaruje swej małżonce wspaniałe zwierciadło.

W służbówce zamieszkała najęta przez pana Tymienieckiego kucharka oraz Wisia, osobista pokojowa Joanny. Rozsupłując muchę, Jakub delektował się panującą w mieszkaniu ciszą. Uśmiechał się mimowolnie na myśl, że odtąd jego życie będzie biegło dokładnie tak, jak sobie zamierzył. Joanna

nie budziła w nim wprawdzie żadnych gwałtowniejszych uczuć, darzył ją jednak szczerą sympatią i wierzył, że będzie dlań doskonałym mężem.

A zacząć realizować swoje powinności zamierzał bezzwłocznie, w alko-  
wie wykorzystując pełnię doświadczeń miłosnych, by dać Joannie dużo ra-  
dości z pożycia małżeńskiego.

Gdy przebrany w strój nocny wszedł do sypialni, zastał żonę leżącą na  
wznak w małżeńskim łóżu. Oczy miała zamknięte, a jej ciemne włosy roz-  
sypane na poduszce przywiodły mu na myśl ilustrację meduzy widzianą  
w jednej z książek. Zaraz jednak odsunął od siebie to skojarzenie. Zdjął  
szlafrok i pantofle, po czym w samej koszuli wślizgnął się pod kołdrę. Jo-  
anna ani drgnęła. Wokół wyraźnie dało się wyczuć intensywny zapach,  
w którym Jakub natychmiast rozpoznał woń kozłka lekarskiego. Zamierzał  
zagaić rozmowę, lecz zorientował się, że żona śpi, więc tylko pocałował ją  
w czoło i sam zasnął niemal natychmiast znużony wrażeniami dnia zaślū-  
bin. Gdy zbudził się rano, był w łóżu sam.

Kiedy następnego dnia sytuacja się powtórzyła, Modrzycki, nie mając  
odwagi zapytywać o coś podobnego żonę, postanowił wybadać jej pokojo-  
wą.

– Chciałbym kupić lustro – zaczął niewinnie. – Może kryształowe ze  
szkła ołowiowego? Zawsze lubiłem te ozdobne szlify na bokach, niemal  
niemożliwe do wykonania przy obróbce innych rodzajów szkła. Jak my-  
ślisz, Wisiu, czy pani spodobałby się taki podarunek?

Nie chciał wydać się wścibskim i od razu wypytywać o to, co w rzeczy-  
wistości interesowało go najbardziej. Uznał, że wzmianka o kosztownym  
prezencie dla pani ośmieli służącą i zachęci ją do zwierzeń. To pytanie jed-  
nak, w ocenie Jakuba tak niewinne, wzbudziło aż nazbyt żywą reakcję  
dziewczyny. Oczy Wisi rozszerzyły się, a policzki dziwnie poblady, jakby  
opadły ją naraz jakieś straszne wspomnienia.

– Proszę tego nie robić... – wymamrotała.

Jakub domyślił się, że chciała mu coś powiedzieć, ale jednocześnie cze-  
goś się obawiała. Walka we wnętrzu dziewczyny trwała chwilę, a potem



Wisła zacisnęła mocno usta i mężczyzna zrozumiał, że niczego więcej się nie dowie.

– Poradzę się chyba pani Tymienieckiej – odezwał się, gdy milczenie nabyło się przedłużało. Zrobił przy tym kilka kroków w stronę drzwi, jakby zamierzał wyjść. Nim jednak opuścił pomieszczenie, odwrócił się i raz jeszcze spojrzał na służącą. – Wisiu, a czemu w sypialni mojej żony tak mocno pachnie ziołami? – zapytał.

– Pan przecież kazał codziennie podawać panience walerianę – odpowiedziała Wisła.

– Pan? – zdziwił się Jakub.

– Pan Tymieniecki – odparła dziewczyna, a Modrzycki od razu zrozumiał, że on sam nie jest jeszcze traktowany jak gospodarz w tym domu. A jego żona jak pani. Dla Wisli wciąż była panienką, córką jej pracodawców. To musiało się zmienić.

– Teść mój nie wydaje tutaj poleceń – wyjaśnił służącej, starając się przy tym brzmieć możliwie stanowczo i zdecydowanie. – Proszę zapamiętać, że twoja panienka nie jest już panienką Tymieniecką, a panią Modrzycką, i to ona decyduje, kiedy i jakie będzie przyjmowała zioła.

– Ale pan kazał... – zaczęła pokojowa, lecz zaraz umilkła rażona spojrzeniem Jakuba. Wreszcie jednak zebrała się w sobie i dodała cicho: – Mówił, że to konieczność.

– To dlatego, że Joanna, jak każda panna młoda, miała ostatnio dużo nerwów – wyjaśnił cierpliwie Modrzycki. – Ale teraz już nie trzeba jej nic podawać.

Wisła nie wyglądała na przekonaną. Spuściła wzrok i zaczęła skubać skórki przy paznokciach.

– Czy Wisła mnie zrozumiała? – upewnił się Jakub, który zaczął przypuszczać, że pokojowa żony może być niezdrowa na umyśle.

Dziewczyna skinęła głową.

– Dobrze – pochwalił ją Modrzycki. – To teraz poproszę filizankę kawy, a na śniadanie trzy jaja sadzone.

Wisła znów się zawahała, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze, ale widocznie porzuciła ten zamiar, bo ponownie skinęła głową i odeszła w stronę kuchni. Tymczasem Jakub otworzył gazetę i zatopił się w lekturze.

Tego ranka nie widział żony, choć specjalnie przedłużał posiłek, licząc na to, że do niego dołączy. Wreszcie uznał, że jeszcze nieraz będą razem jadać, i wyszedł do warsztatu. Miał mnóstwo pracy, a ta pochłonęła go na tyle, że do wieczora zapomniał o całym zajściu.

Gdy wrócił do domu, Joanna czekała na niego z kolacją. Uprzejmie wypytała, jak mu minął dzień, i zdawała się szczerze zainteresowana rozmową o doskonałej jakości materiału na przytulanki, który udało mu się nabyć przypadkiem za grosze od wędrownego pluszownika.

Po posiłku, kiedy szli korytarzem, Modrzycki złapał żonę za rękę i pocałował, patrząc przy tym Joannie głęboko w oczy. Przeszedł go rozkoszny dreszcz i był pewien, że i ona zrozumiała jego niewypowiedzianą propozycję. Nagle to wszystko wydało mu się szalenie tajemnicze i pociągające zarazem, a konieczność oczekiwania na noc poślubną wyraźnie wzmogła jego pożądanie.

– Joanno... – szepnął ochryplym z podniecenia głosem, całując wnętrze jej dłoni.

– Daj mi chwilę – poprosiła, delikatnie wysuwając rękę z jego uścisku.

Jakuba przeszyło uczucie przykrości, że nie rzuciła mu się w ramiona, ale zaraz odpędził je od siebie. W przeciwieństwie do jego dotychczasowych towarzyszek Joanna była prawdziwą damą i od dziecka uczono ją panowania nad sobą. Odchrząknął i skinął głową, a ona uśmiechnęła się do niego tym swoim łagodnym uśmiechem i zniknęła za drzwiami sypialni.

Dołączył do niej kilka minut później, które jemu samemu zdawały się wiecznością. Gdy wszedł do środka i ujrzał Joannę w tej samej co zwykle pozycji, przestraszył się, że Wisła nie usłuchała jego polecenia i znów ukradkiem napiła swoją panią walerianą. Poczł zalewającą go falę rozpacz, lecz w tej samej chwili zobaczył, że tym razem oczy Joanny są szeroko otwarte. Rozebrał się więc czym prędzej, wsunął pod kołdrę i zaczął obsypywać ją pocałunkami. Jednak Joanna ani drgnęła. Człł się tak, jakby naru-

szał jakąś świętość, robił coś ohydneho albo dopuszczał się perwersji, toteż w końcu odsunął się od żony, położył obok niej i ciężko oddychając, wpa-trywał się w sufit.

– Joanno... – szepnął, ale nie potrafił zadać pytania, które kołatało się w jego głowie.

W tym momencie uświadomił sobie, że tak naprawdę nic nie wie o swojej żonie. Była mu całkiem obca. Czuł, że musi coś zrobić, by to zmienić, ocieplić jakoś ich wzajemne stosunki.

W kilka dni później zamówił u szklarza zwierciadło. Zadbał, by przywieziono je wówczas, gdy Joanna będzie na herbacie u swojej matki. Chciał zrobić żonie niespodziankę.

Lustro było wspaniałe. Pozbawione ramy, za jedyną ozdobę miało misterne polerowania i nacięcia. Pomocnicy szklarza zawiesili je w korytarzu na ścianie naprzeciwko wejścia do sypialni Joanny, tak by mogła się w nim przejrzeć częściowo skryta we wnętrzu pokoju. Jego pojawienie się sprawiło, że korytarz wydał się nagle większy i jakby bardziej świetlisty. Jakub był pewien, że żona będzie zachwycona prezentem. Tamtego dnia nie mógł znaleźć sobie miejsca, niecierpliwie wypatrując jej powrotu.

– Dzień dobry, Jakubie – odezwała się Joanna, jak zawsze nie patrząc mu w oczy, lecz z uwagą obserwując czubki własnych pantofli. – Nie powinie-neś być w warsztacie?

– Czekałem na ciebie – odparł zgodnie z prawdą, a podekscytowanie w jego głosie było tak wyraźnie słyszalne, że Joanna podniosła wzrok i spojrzała na niego uważnie.

Zaraz też dostrzegła lustro migoczące za plecami Jakuba. Jej oczy zwęziły się, a na policzkach i dekolcie pojawiły się szkarłatne plamy. Joanna oddychała ciężko.

– Mam dla ciebie niespodziankę. – Modrzycki starał się nie zwracać uwagi na dziwne zachowanie żony.

Joanna jednak zdawała się wcale go nie słyszeć. Przyskoczyła do lustra i zaczęła syczeć na własne odbicie. Jej twarz przybrała dziwny wyraz, a cia-

ło stężało, jakby szykowała się do walki.

Szczęśliwym trafem pani Tymieniecka postanowiła tego popołudnia odwiedzić córkę do domu. Gdy osłupiała z przerażenia Jakub przyglądał się owładniętej szaleństwem Joannie, niezdolny wykonać żadnego ruchu, jej matka szybkim krokiem przemierzyła korytarz i stanąwszy obok lustra, starała się zwrócić na siebie uwagę córki. Kiedy w końcu jej się udało, przyciągnęła dziewczynę do siebie i dbając, by ta nie odwróciła wzroku, poprowadziła ją do sypialni.

– Joanna śpi – oznajmiła po jakimś czasie, znów zjawiając się w korytarzu.

Jakub stał wciąż w tym samym miejscu, usiłując zrozumieć to, co zaszło.

– Lustro musi zniknąć. Przecież uprzedzaliśmy: żadnych lusterek – dodała pani Tymieniecka.

Modrzycki nie potrafił przypomnieć sobie, żeby ktokolwiek kiedykolwiek mówił mu o tym, ale wiedział już, że teściowa ma rację. Lustro nigdy nie powinno było zawisnąć w korytarzu.

Od tego incydentu zaprzestał jakichkolwiek prób ocieplenia stosunków z żoną czy nawiązania z nią intymnych relacji. Sam przed sobą nie chciał się przyznać, że jej reakcja na lustro przeraziła go, i nie potrafił poradzić sobie z tym lękiem. Kilka razy próbował zagadnąć o tę sytuację panią Tymieniecką, lecz ta albo go zbywała, albo reagowała oburzeniem, jakby zadając jej pytania, dopuszczał się jakiejś niegodziwości.

Oczywiście Jakub natychmiast nakazał zdjąć zwierciadło ze ściany, ale nienawistny syk Joanny i dzikość w jej spojrzeniu prześladowały go później w snach. Sam nie wiedział, czy bardziej bał się tej drugiej strony natury żony, czy odczuwał wobec niej wstręt.

Postanowił czekać. Pozwolić wydarzeniom toczyć się własnym biegiem. Z czasem przerażający obraz przybladł w jego wspomnieniach, a uroda Joanny znów zaczęła drażnić jego zmysły. Nie chciał zmuszać małżonki do niczego. Tłumaczył sobie, że może i ona potrzebuje czasu, by mu zaufać, zbliżyć się do niego. On przecież także był dla niej kimś nieznanym. Starał się więc okazywać jej serdeczność, ale nie dążył do zbliżeń.

Przynosił żonie kwiaty i pomadki z czekoladziarni, w niedziele zabierał ją na przejażdżki po mieście, nad Wisłę albo na spacer do parku, opowiadał o swojej pracy i postępach w treningach kajakarskich. Niemal cały pozostały czas Joanna spędzała z matką.

– Musimy porozmawiać – powiedziała po jednej z takich wizyt.

– O czym tylko zechcesz, najdroższa – odparł Jakub, choć przecucie podpowiadało mu, że coś jest nie w porządku. Żona nie patrzyła mu w oczy, tylko spoglądała przez okno ponad jego ramieniem.

– Nie zdołam począć dziecka sama – oświadczyła Joanna, nie siląc się na wstępy.

Jakub zamrugał szybko, niepewny, czy naprawdę usłyszał te słowa, czy może tylko mu się wydawało.

– Co noc czekam, aż spełnisz swoją małżeńską powinność – odezwała się znowu, gdy milczenie między nimi się przedłużało.

Modrzycki poczuł wypieki na policzkach. Cała ta rozmowa wprawiła go w głębokie zawstydzenie. Nie był niczemu winien, a jednak wobec chłodnej obojętności, z jaką Joanna przedstawiła mu swoje zarzuty, czuł się tak, jakby to nie ona go odpychała, lecz on zawiódł jako mężczyzna. Było to wyjątkowo nieprzyjemne wrażenie.

– Nie chciałem robić niczego wbrew tobie... – wykrztusił wreszcie, choć słowa z trudem przeciskały się przez jego zaciśnięte gardło.

– Tu nie chodzi o mnie! – zachnęła się Joanna i ściągnęła łopatki, prostując się jeszcze bardziej. – Tu idzie o obowiązek. Tymczasem wszystko inne zdaje się mieć dla ciebie pierwszeństwo przed zadaniem czekającym w sypialni – dodała surowo.

– Joanno... – jęknął wstrząśnięty głęboko tym, co słyszał. Zupełnie nie wiedział, jak ma się zachować.

– To musi się zmienić – rzuciła jeszcze.

Jakub przytaknął, bo nic mądrzejszego nie przyszło mu do głowy.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zaczniemy dziś wieczorem – dokończyła, wstając od stołu, przy którym rozmawiali. Ani razu na niego nie

spojrzała i nie czekając na odpowiedź, wyszła do swojej sypialni.

Modrzycki patrzył za odchodzącą żoną i nie mógł objąć umysłem tego, co właśnie zaszło. Czuł się głęboko upokorzony. Cała jego tkliwość dla nieśmiałej Joanny nagle wyparowała.

Tej nocy nie poszedł do jej sypialni, jednak gdy następnego ranka, idąc na śniadanie, usłyszał przypadkiem, jak jego małżonka prosi Wisię, by zapytała w aptece o specyfik na męską niemoc, coś w nim pękło.

Wieczorem, wypiwszy uprzednio kilka kieliszków wódki, przyszedł do żony i spełnił swój obowiązek. To wspomnienie przez resztę życia napawało go wstrętem.

Uprawianie miłości z Joanną w niczym nie przypominało jego wcześniejszych doświadczeń. Tamte były pełne radości, śmiechu, pieszczot zrazu nieśmiałych, a potem coraz odważniejszych, jęków i westchnień rozkoszy, niecierpliwego dotyku i pożądania, które na nowo wzbierało niemal natychmiast po ugaszeniu poprzedniego pożaru.

Mimo jego starań, namiętnych szeptów, delikatnych pieszczot i pocałunków, którymi będąc w stanie lekkiego upojenia, obsypywał żonę, Joanna leżała w łóżu małżeńskim płasko, jakby bez życia. Nie protestowała ani nie zachęcała go do niczego. Wpatrywała się w sufit szeroko otwartymi oczami w całkowitym milczeniu. Wreszcie nauczył się wyobrażać sobie inne kobiety, tak by nie widzieć tego wszystkiego. Echo słów o powinności i obowiązku dość skutecznie zagłuszał szum alkoholu we krwi.

Jakub był też bardzo młody, a młodym mężczyznom nie potrzeba wiele do spełnienia. Gdy tylko spocony i wyczerpany rozkoszą, oddychając szybko, opadał na pościel obok Joanny, ta natychmiast wstawała i szła do swojego buduaru.

Z początku Modrzycki zasypiał, zanim jeszcze zdążył się zastanowić nad tym nietypowym zachowaniem. Wkrótce jednak z coraz większym trudem przychodziło mu znoszenie jej obojętności. Robił przecież dokładnie to, czego od niego oczekiwała.

Kilkakrotnie upewniwszy się, że są sami, próbował porozmawiać z żoną na ten temat, lecz Joanna otwierała wówczas szeroko oczy i wyglądała, jak-

by właśnie dopuścił się jakiegoś haniebnego czynu. Jakby zapomniała o tym, że to ona sama zainicjowała tak bezpośrednie rozmowy.

W końcu musiał uznać, że jego młoda żona jest kobietą na wskroś oziębłą i niechętną czerpać radości z małżeńskiego pożycia. Na zewnątrz epatująca urodą i łagodnością, w środku była pusta i chłodna, jak wydrążona skała.

Wiadomość o ciąży oboje przyjęli z ulgą. Przez kilka kolejnych miesięcy ich bliskość fizyczna ograniczała się do uścisku dłoni w towarzystwie, wyjątkowo wtedy, gdy było to absolutnie konieczne.

Kiedy ciąża była już bardzo widoczna, Joanna przestała wychodzić z domu, a żeby nie doskwierała jej samotność, pani Tymieniecka z dnia na dzień stała się domownikiem młodych państwa Modrzyckich. W ten sposób, mieszkając pod jednym dachem, małżonkowie w zasadzie przestali się widywać.

W międzyczasie matka Jakuba zmarła na gripę, a pogrążony w żałobie ojciec wyjechał do dalekich krewnych. Modrzycki został zupełnie sam uwikłany w życie, które według planu miało wyglądać zupełnie inaczej. Godząc się na małżeństwo, miał nadzieję zyskać ognisko domowe, przy którym mógłby znaleźć chwilę wytchnienia i towarzyszkę życia, z którą dzieliłby radości i troski. Tymczasem czuł się samotny jak nigdy przedtem.

Jedynym pocieszeniem była dla niego praca. Całe dni spędzał w swoim warsztacie, a gdy udało mu się pozyskać pierwszych klientów, o jego zabawkach szybko zrobiło się głośno. Najpierw głównie naprawiał uszkodzone egzemplarze, lecz z czasem odważył się też wystawić w gablocie swoje własne prace. Wkrótce na wszystkich ścianach sklepu zawisły asymetrycznie ułożone półki, na których roilo się od przedstawionych w ruchu zwierzątek, ptaszków, bryczek zaprzęzonych w konie, a także mebelków, wózków i kołysek. Wszystko wykonane było z drewna lipowego lub wierzbowego, którego Jakub używał do pracy podczas długich wieczorów spędzanych w sklepie, gdy niespieszno było mu do powrotu na łono rodziny.

„Nie potrzebuję do szczęścia niczego oprócz pracy”, powtarzał sobie, ilekroć zmuszony był wrócić do domu.

Najchętniej bowiem unikałby tego miejsca, gdzie niepodzielnie rządziła teraz matka Joanny. Gdy tylko mógł, po skończonym dniu pracy szedł do mieszkania swoich rodziców w kamienicy, w której spędził szczęśliwe dzieciństwo i młodość. Tam, wśród wspomnień, szukał odpoczynienia.



## Rozdział 11

Po śmierci Joanny przyrzekł sobie, że już nigdy ponownie się nie ożeni. Potrzeby ciała zaspokajał w licznych warszawskich domach uciech, a te co wznioślejsze – od czasu do czasu zapraszając jakąś młodą pannę na kawę i ciastko do cukierni. Lubił błysk w oku kobiet wpatrzonych w niego jak w święty obraz. Łechtał on jego próżność i pobudzał zmysły. Raz czy drugi znalazł się pod tak wielkim wrażeniem nowo poznanej osóбки, że gotów był rozważyć ożenek, jednak zawsze przypominał sobie wtedy życie z Joanną i natychmiast urywał kontakt z niedoszłą narzeczoną, by nie narażać się na podobne niebezpieczeństwa.

Gdy na jedną z licznych chorób dziecięcych zmarł także jego syn, Jakub bez żalu wyprowadził się z mieszkania podarowanego młodemu przez państwa Tymienieckich i wrócił do rodzinnej kamienicy. Zatrudnił gospodynię, panią Helenkę, która odtąd zajmowała się swym pracodawcą troskliwiej niż najczulsza matka i najlepsza żona razem wzięte.

Nieoczekiwanie odziedziczywszy spory majątek, którego istnienia nawet nie był świadom, przepisany, jak się okazało, przez krewnych jego synowi, rzucił się w wir pracy, a ta szybko stała się całym jego życiem. Nareszcie dysponował środkami pozwalającymi mu rozwinąć skrzydła, co też czym prędzej uczynił.

Podnajął kolejne pomieszczenie, zakupił kilka maszyn, mnóstwo narzędzi i wszelkich materiałów potrzebnych do wytwarzania pobudzających wyobraźnię, a zarazem pięknych zabawek. Zatrudnił też pierwszego czeladnika, a potem następnego i jeszcze jednego.

Na początku sprzedawali głównie drewniane figurki, piszczałki, pistolety, pukawki, rowerki oraz wózki, wszystko to, czym chłopskie dzieci bawiły się na co dzień, a do czego maluchy z miasta zwykle nie miały dostępu.

Różnicą pomiędzy zabawkami wytwarzanymi u Modrzyckiego a tymi z wiejskich jarmarków były fantastyczne kształty tych pierwszych, zawsze nieco odbiegające od rzeczywistości, i wspaniałe zdobienia. Pistooleciki miały więc delikatnie pofalowane lufy, wózeczki finezyjnie powyginane rączki, figurki zwierząt nosiły szykowne batikowe stroje z rękawiczkami i kapeluszami włącznie, a z pukawek zamiast prostego korka wyskakiwały misternie przyozdobione maleńkimi cekinami truskawki.

W sklepie znajdowało się też całe mnóstwo zabawek wprawianych w ruch, choć początkowo były to raczej proste konstrukcje. Kowalami uderzającymi młotami poruszało się za pomocą przesuwanych równolegle listewek, maleńcy bokserzy wykonywali ciosy, gdy się nimi zakołysało, kawaleria na błękitnych koniach poruszała się ruchem nożycowym, a baletnicę z uniesioną nóżką czy karuzelę z siedzącymi na niej świnkami w falbaniastych sukienkach w groszki wprawiało się w ruch, kręcąc drewnianym kołem z korbką.

Przez kolejnych parę lat Jakub zyskał pewną sławę, rozwinął swój interes, dużo wiosłował na Wiśle, dzięki czemu utrzymywał niezmiennie dobrą formę fizyczną, zapałał również szczerą sympatią do inżyniera Adama Rychnłowskiego, poznanego podczas pracy nad projektem klocków, który szybko stał się jego przyjacielem.

Niedoścignionym ideałem w tym zakresie były rzecz jasna wspaniałe klocki wymyślane przez znamienitego architekta Stanisława Noakowskiego na zamówienie warszawskiej firmy Gnom, z których dało się zbudować gotycki kościół, świątynię podobną do tych ze starożytnej Grecji czy zakopiańskie chatki. Bronisław Mańkowski, dyrektor firmy Gnom, zamarzył sobie, żeby dzieci i młodzież miały możliwość układać z klocków nie tylko wymyślane konstrukcje, lecz także i takie, które później mogły zobaczyć na żywo w skali jeden do jeden. Zwrócił się z tym pomysłem do Noakowskiego, ale ten odmówił, tłumacząc, że nie przepada za dziećmi, nie rozumie ich psychiki i nie ma pojęcia, czym mogłyby chcieć się bawić, a co będzie budziło ich niechęć. Mańkowski był jednak człowiekiem nieustępliwym i nie

dał się tak łatwo zbyć architektowi. Wreszcie ten ustąpił i zgodził się zrealizować zlecenie na próbę.

– Pod jego palcami, podobnie jak na tablicy w czasie wykładu, powstawały coraz to nowsze wizje architektoniczne – opowiadał któregoś razu Mańkowski, czemu Jakub dyskretnie się przysłuchiwał, bo wszystko to miało miejsce na raucie, na którym byli obaj. – Ledwie nadążaliśmy je szkicować wraz z towarzyszącym mi wówczas technikiem.

Ostatecznym rezultatem tej współpracy było wyprodukowanie klocków w trzynastu różnych kształtach. W drewnianym pudełku można było znaleźć wykonane z drzewa bukowego kostki o różnych wymiarach. Były wśród nich trójkątne, blaszane daszki, kolumnienki oraz łuki. Do każdego zestawu dołączano też broszurę z instrukcją, a także opisem historycznego budynku, którego miniaturę można było własnoręcznie złożyć, oraz cech stylu w architekturze, który reprezentowała dana budowla.

Klocki okazały się wielkim przebojem. W latach dwudziestych wystawiano je w Zachęcie, na Pływającej Wystawie po Wiśle, na statku szkolnym Lwów, a nawet w pociągu osobowym, tak by umożliwić zapoznanie się z nimi jak najszerzej grupie odbiorców. Zabawka firmy Gnom prezentowana była we Włoszech, w Holandii, a także za oceanem, w Ameryce i Kanadzie. W 1925 otrzymała Złoty Medal na Wystawie Paryskiej.

Był to projekt niewątpliwie dobrze przemyślany i utrzymany we wzornictwie, które mimo dynamicznie zmieniających się mód pozostawało aktualne. Jakubowi brakowało jednak w nim szerszego pola dla wyobraźni. Marzyły mu się klocki, przy pomocy których można by nie tylko odtwarzać rzeczywistość lub budować coś na kształt tego, co widywało się na ulicach, lecz także stworzyć dzięki nim coś całkiem fantastycznego. Rozmyślał nad projektem klocków wykonanych z czegoś, co przypominałoby drut, co można by kształtować dowolnie w zależności od potrzeb, ale realizacja tej wizji ograniczona była przez dostępność materiałów.

Ostatecznie przy wsparciu Rychłowskiego udało mu się zaprojektować klocki, w których głównej roli nie odgrywały kwadraty, a wszelkiego rodzaju obłe elementy. Nie zyskały one wprawdzie zbyt wielkiego uznania

wśród dzieci, ale zadzierzgnięta podczas pracy nad nimi przyjaźń z Adamem okazała się trwała.

Wkrótce zaczęli co tydzień grywać w wista z mecenasem Korzeniowskim i Mamertem Lecykiem, który to zwyczaj bardzo przypadł Jakubowi do gustu. Latem, póki żył jeszcze jego ojciec, jeździł do niego w odwiedzin, a zimą tuż po zakończeniu sezonu świątecznych zakupów, gdy tylko mógł, starał się choć kilka dni spędzić, szusując na nartach w którymś z górskich kurortów. Słowem, wszystko zdawało się w jego życiu układać nader pomyślnie i gotów był przysiąc, że niczego więcej mu nie potrzeba.

Rychłowski tymczasem ożenił się, a jego żona, Klementynka, jak wiele innych młodych mężatek, które pragną uszczęśliwić świat tym, co uszczęśliwia je same, zapalała nagle wielką chęcią wyswatania serdecznego przyjaciela swego męża. Jakub przyjmował te próby z pobłażaniem i wyrozumiałością, bo darzył Klementynkę szczerą sympatią.

– Pomyśl tylko, Jakubie, jak by to było miło, gdybyśmy zamiast we trójkę mogli spotykać się we czwórkę. – W podobny sposób zagadywała go przy każdej nadarzającej się sposobności.

– A mnie się zdaje, że we trójkę bawimy się znakomicie – odpowiadał na to Modrzycki, po czym dodawał, markując zasmucenie: – Chyba że... Chyba że ja wam zawadzam?

Adam uśmiechał się wówczas pod wąsem, ale Klementynka, która miała serce nadzwyczaj wrażliwe na krzywdę innych, natychmiast zapewniała Jakuba o ogromnej przyjaźni.

Skończywszy trzydzieści pięć lat, Modrzycki był już pewien, że wie o życiu dość, by to niczym go nie zaskoczyło. Ta myśl z kolei napawała go spokojem i pozwalała cieszyć się drobnymi radościami trwającej chwili. Zabawkarz doceniał więc dobre jedzenie oraz trunki, przyjemne towarzystwo, grę w karty, spacer w słońcu i poranki spędzane w przystani Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego. Nade wszystko zaś lubił to, że całą swoją energię i wszystkie siły mógł przeznaczać na projektowanie zabawek.

Gdy pierwszy raz zobaczył Emilię, zrozumiał, że to, co dotąd sądził o miłości, było pełne błędnych założeń. Nagle pojął, iż to wyśmiewani przez niego poeci mają rację. W wieku trzydziestu pięciu lat zakochał się jak sztubak, od pierwszego wejrzenia, całkowicie nieracjonalnie.

Wtedy też po raz pierwszy w życiu zapomniał o zabawkach.

## Rozdział 12

To był grudzień. Mimo szalejącej po Europie wojny i niemieckiej okupacji polskiej stolicy Resursa Obywatelska zdecydowała się zorganizować świąteczny bal. Rok 1916 był dla miasta stołecznego dość łaskawy i zamierzano godnie uhonorować jego odejście. Po raz pierwszy odbyły się bowiem wybory do Rady Miejskiej, a na początku listopada na Zamku Królewskim proklamowano akt będący obietnicą cesarzy niemieckiego i austro-węgierskiego dotyczącą utworzenia w nieodległej przyszłości samodzielnego Królestwa Polskiego.

Stowarzyszenie, pierwotnie noszące nazwę Warszawska Resursa Kupiecka, powstało „w celach wspólnej, godziwej rozrywki i towarzyskich zebrań, na tle muzykalnych produkcji oraz rozmów o sprawach zawodowych i potocznych” i mimo rozłamu miało wkrótce obchodzić stulecie istnienia. Należało więc zawczasu poczynić stosowne przygotowania, z których najważniejszym było pozyskanie sponsorów uroczystych obchodów. Wojna uszczupliła majątki wielu, lecz byli i tacy, którzy potrafili się na niej wzbogacić. Uradzono zatem, że mimo wojny bal się odbędzie.

Ta wiadomość zelektryzowała warszawską inteligencję, kupców, bogatsze mieszczaństwo oraz przedstawicieli ziemiaństwa. Młodzi i starsi, zmęczeni trwającą już ponad dwa lata wojną, marzyli o chwili zapomnienia, a bal świąteczny był wymarzoną po temu okazją.

Gdy pierwszego grudnia do Warszawy wkroczyły Legiony Polskie i po raz pierwszy od powstania listopadowego ulicami miasta przeparadowało uzbrojone i umundurowane wojsko polskie, które witał uroczyście sam generalny gubernator Hans von Beseler, organizatorzy balu gratulowali sobie podjętej decyzji, a ostatnie bilety wyprzedały się w ciągu kilku godzin.

Jakub nie zamierzał brać udziału w zabawie, ale kilka dni wcześniej udało mu się naprawić wspaniałą, zabytkową lalkę pochodzącą ponoć jeszcze z czasów napoleońskich, będącą drogą pamiątką matki pewnej ważnej osobistości. W podziękę Modrzycki oprócz zapłaty otrzymał również dwa podwójne zaproszenia na bal w Resursie.

– Oczywiście, że się wybierzemy! – zawołała zachwycona Klementynka, gdy zapytał Rychłowskich, czy nie chcieliby skorzystać z rzeczonych zaproszeń. On sam nie miał zamiaru pokazywać się na balu. – A ty, Jakubie, pójdiesz z nami. Takiej okazji nie można przegapić! – dodała.

Adam z Jakubem wymienili porozumiewawcze, z lekka kpiące spojrzenia, lecz obaj wiedzieli, że będzie tak, jak postanowi Klementynka.

Bal trwał już od jakiegoś czasu. Niektórzy twierdzili, że zabawa nigdy wcześniej nie była tak udana, ale Jakub nie podzielał tej opinii. Jedzenie było jak na jego upodobania nazbyt wyszukane, kołnierzyk go uwierał, podobnie zresztą jak nowe pantofle, muzyka z trudem przebijała się przez gwar rozmów tłoczących się wszędzie ludzi. W dodatku był to jeden z tych dni, gdy wszystko go drażniło. Najchętniej wypiłby dwa kufle grzanego cydru z goździkami i poszedł wcześniej spać albo zaszył się w swoim warsztacie i przez resztę nocy heblował wysłużonym strugiem kolejną partię klocków o nietypowych kształtach, które nagle wróciły do łask i tamtego roku schodziły niemal na pniu. Po prawdzie wszystko wydawało mu się teraz lepsze niż udawanie, że dobrze się bawi, podczas gdy nie miał najmniejszej ochoty na zabawę.

– Powinienem był wyrzucić te zaproszenia i nie byłoby kłopotu – mamrotał, próbując jakoś rozluźnić kołnierzyk, nie rozpinając go.

Rychłowski z nieodłączną Klementynką, którzy towarzyszyli mu na balu, dwoili się i troili, by zapewnić mu rozrywkę, ale byli w tym tak gorliwi, że po kilku kwadransach Jakub modlił się, by czas przyspieszył i wieczór wreszcie dobiegł końca. Miał dość poznawania nowych osób, w szczególności kobiet przedstawianych mu na każdym kroku przez żonę Rychłowskiego, która najwyraźniej postawiła sobie za punkt honoru zeswatać go z kimś tego wieczoru.

– Pozwól, że ci przedstawię Jakuba Modrzyckiego, obiecującego warszawskiego zabawkarza – powtarzała Klementynka, a on za każdym razem podziwiał entuzjazm, z jakim wypowiadała wciąż na nowo te same słowa.

Jakub doceniał jej starania, ale nic nie mógł poradzić na to, że żadna z obecnych na balu niewiast nie wzbudziła jego zainteresowania. Przeciwnie, drażniły go ich wysokie głosy, chichotanie, trzepotanie rzęs, nadmiar ozdób i zbytnia strojność kreacji, które sprawiały, że wyglądały na przebrane, a bal przecież nie był kostiumowy. W dodatku wydawały mu się wszystkie jednakowe, jakby ulepione z tej samej gliny, według jednego szablonu. Choć literatura miała w tym temacie odmienne zdanie, w połowie wieczoru mężczyzna był już pewien, że poznanie kogokolwiek na zabawie jest rzeczą niemożliwą.

– Co z tobą? – zapytał w końcu Adam, który dostrzegł jego zniecierpliwienie i korzystając z chwili nieuwagi żony, zaprowadził przyjaciela na balkon.

Modrzycki wzruszył ramionami.

Mroźne nocne powietrze kłuło go w piersiach, lecz jednocześnie przynosiło przyjemne odświeżenie. Jakub odruchowo podniósł wzrok i przez chwilę trwał w bezruchu, chłonąc piękno rozgwieżdżonego zimowego nieba. To, co widział w górze, wydawało mu się nieskończenie doskonalsze i godne uwagi niż to, co zostawili za sobą wewnątrz pałacu.

– Wciąż myślisz o Joannie? – zapytał Rychłowski nieco ciszej.

Jakub patrzył w gwiazdy i dłuższą chwilę milczał, zastanawiając się nad odpowiedzią. Najprościej byłoby przytaknąć. To na pewno powstrzymałoby kolejne pytania. Od przeszło dwóch lat tak właśnie robił, ilekroć chciał, by zostawiono go w spokoju. Z drugiej jednak strony pytanie zadane zostało przez osobę, która szczerze się o niego troszczyła, i gdyby potwierdził, zapewne przysporzyłby przyjacielowi zmartwienia.

Okres żałoby po żonie i małym Joachimie już dawno minął. Jakub niemal nigdy ich nie wspominał, co niekiedy powodowało u niego wyrzuty sumienia. Nie mógł jednak okłamywać samego siebie i udawać przywiązania do zmarłej żony, z którą już za życia nic go nie łączyło, oraz tęsknoty za



dzieckiem, którego nawet nie zdążył poznać. Niedawno odkrył, że ta druga strata była dlań dotkliwsza. Kilkakrotnie przyłapał się na tym, że przygląda się dzieciom klientów odwiedzających jego sklep lub tym zjeżdżającym z górki na sankach w parku czy ścigającym się na zamarzniętym stawie i zastanawia się, jak wyglądałby jego syn, gdyby za kilka lat osiągnął podobny wiek. Czy byłby równie szybki jak ten urwis w czerwonej czapeczce? Czy potrafiłby wejść pod górę, ciągnąc za sobą sanki, a potem miałby dość odwagi, by na nich zjechać? Czy biegłby do niego z zaczerwienionymi od mrozu policzkami, wyciągając ręce, by Jakub mógł porwać go w ramiona? A może podczas jazdy płakałby i krzyczał wniebogłosy, wzywając ojca na pomoc? W takich chwilach czuł, że coś chwyta go za gardło, a pod powiekami szczypały go łzy. Nie potrafił nazwać tego uczucia, które go wówczas ogarniało. Nie wiedział, czy był to żal, tęsknota, czy może dziwny wyrzut sumienia, jakby to on sam jakoś przyczynił się do śmierci dziecka, nie dopilnował czegoś lub coś zaniedbał. Odchrząkiwał wówczas lekko i zabierał się do jakiejś pracy, byle czym prędzej zająć myśli innymi sprawami i nie dać się pochłonąć nadmiarowi emocji.

Te chwile jednak zdarzały się niezwykle rzadko. Zazwyczaj po prostu żył i cieszył się tym, co ma. Należał bowiem do owego rzadkiego gatunku ludzi potrafiących docenić swoją codzienność. Wstawał wcześnie, dużo pracował, przez kilka godzin dziennie przyjmował klientów, a potem do późna siedział na tyłach sklepu w urządzonym tam warsztacie i własnoręcznie wykonywał zabawki, by dowlókłszy się wieczorem do domu, paść na łóżko i zasnąć mocnym snem człowieka, który uczciwie przepracował dzień. Był zbyt zajęty, by dostrzec w swoim życiu jakikolwiek brak. Gdyby wciąż na nowo ktoś nie przypominał mu o tym, co stracił, niechybnie byłby o tym zapomniawszy.

– Tęsknisz za nią? – pytał dalej Adam.

Jakub pokręcił głową. Nie, nie tęsknił za Joanną. Aż do teraz przez cały wieczór nie poświęcił jej nawet jednej myśli.

– Co więc? – Rychłowski nie ustępował.

– Napiłbym się wódki – odparł Modrzycki całkiem szczerze, bo dość już miał owocowych ponczów i win.

– Jak pić, to razem! – Adam roześmiał się nieco sztucznie, wciąż bacznie mu się przyglądając, po czym poklepał przyjaciela po ramieniu, jakby nie dowierzał zapewnieniom Jakuba i mimo wszystko próbował dodać mu otuchy.

„Pewnie jest przekonany, że nie chcę podzielić się z nim swoimi troskami”, pomyślał Jakub, ale nic nie mógł poradzić na to, że przyjaciel błędnie odczytał jego intencje. Nie miał najmniejszej ochoty tłumaczyć mu wszystkiego i rozkładać na czynniki pierwsze swojego położenia, które wszystkim poza nim samym wydawało się naznaczone tragedią. Cenił sobie przyjaźń Rychłowskiego także i dlatego, że kolega potrafił uszanować jego niechęć do zwierzeń.

– Chodźmy do szatni po okrycia, abyśmy w drodze nie zamarзли, i ruszajmy na jednego – zaordynował Adam.

– A Klementynka? – zainteresował się Modrzycki. – Nie możemy zostawić jej przecież bez asysty na świątecznym balu.

– Klementynka to najwspanialsza kobieta, jaka chodzi po tej ziemi – powiedział Rychłowski, który od lat pozostawał niezmiennie zakochany w swojej żonie. – Ale na zabawach takich jak ta jest ostatnią osobą, której trzeba dotrzymywać towarzystwa. Poza tym wyjdziemy tylko na chwilę. Idę o zakład, że gdybyśmy nic jej nie powiedzieli, nawet by się nie zorientowała, że gdzieś się wymknęliśmy.

Rozmawiając tak, spoglądali na migoczący od śniegu trotuar Krakowskiego Przedmieścia, które wobec panującego wewnątrz budynku zgiełku sprawiało wrażenie zupełnie wymarłego.

Brzegiem świadomości obaj odnotowali fakt, że pod resursę podjechał właśnie elegancki powóz, ale żaden z nich nie zwrócił uwagi na wysiadającą z niego towarzystwo.

Jakub wiele razy zastanawiał się potem, jak mało brakowało, by on i Emilia się nie poznali. Wystarczyło zaledwie kilka sekund. Minęliby się i kto wie, czy kiedykolwiek jeszcze udałoby się im spotkać. Ilekroć nawie-

działa go ta myśl, zimny dreszcz przebiegał mu po plecach. Nie potrafił bowiem wyobrazić sobie własnego życia bez światła, jakim była dla niego żona.

A jednak spotkali się tak, jak od zawsze było zapisane w gwiazdach, na które patrzył tamtego wieczoru.

Chwilę później przyjaciele wrócili na główną salę, gdzie tańczący właśnie ustawiali się w pary do kadryla. Rychłowski odszukał żonę, która stała w pierwszej parze, czekając na swojego partnera, którym był nie kto inny, jak hrabia Antoni Przeworski, honorowy członek stowarzyszenia, który na wszystkich balach wcielał się w rolę wodzireja, co, trzeba przyznać, wychodziło mu doskonale. Hrabia biegał teraz po sali, łącząc coraz to nowsze pary i ustawiając je we właściwym szyku.

Adam zostawił Jakuba nieopodal wejścia i poszedł rozmówić się z żoną.

– Uwierz mi, w pojedynkę pójdzie mi łatwiej – zapewnił, gdy Modrzycki upierał się, by pójść z nim.

– Nie sądzisz, że i ja powinienem się z nią pożegnać? – wahał się Jakub. – Nie chciałbym okazać się niegrzeczny i uchybić w czymś twojej żonie.

– Nie uchybisz, nie uchybisz, zaufaj mi – uspokoił go Rychłowski, jednocześnie nerwowo zerkając w stronę Przeworskiego, który w każdej chwili mógł dać orkiestrze znak, by zaczęła grać. – Dobrze ci jednak radzę, jeśli ci życie miłe, usuń się prędko w cień, bo hrabia może chcieć włączyć cię do grona tancerzy – rzucił na odchodne.

Jakub skinął głową i szybkim krokiem wyszedł z głównej sali, szczerze lękając się, że scenariusz nakreślony przez Adama mógłby się ziścić i zostałby zmuszony do tańczenia kadryla. Przeszedł korytarzem i stanął tuż przy schodach, skąd miał dobry widok na wszystko, co się działo, ale sam pozostawał w cieniu.

– Tak jest dobrze. Wystarczy. Chodźmy już, bo ominą nas tańce – usłyszał nagle przyjemnie niski kobiecy głos, którego barwa zaraz przyciągnęła jego uwagę. Dalsze słowa zagłuszyła muzyka, która popłynęła z sali balowej.

Spojrzał w stronę, skąd, jak mu się zdawało, dobiegały dźwięki rozmowy. Zobaczył młodziutką dziewczynę w prostej, jasnej sukience, której nieco staroświecki krój tylko dodawał powabu całej postaci. Dziewczyna stała przed lustrem ustawionym nieopodal wejścia na główną salę i delikatnie odsuwała dłoń starszej kobiety, która najwyraźniej usiłowała poprawić coś w jej uczesaniu. Modrzycki domyślił się od razu, że jest to matka tamtej. Sam miał ochotę zawołać, by zaprzestała swoich prób, gdyż jego zdaniem to, co widział, było doskonałe.

Patrzył na odbijającą się w lustrze twarz dziewczyny, regularne rysy, mocno zarysowane kości policzkowe, ładnie wykrojone usta i mały, nieznacznie zadarty nosek. Skórę miała gładką i lekko zaróżowioną.

„To pewnie od mrozu”, pomyślał z tkliwością.

Włosy dziewczyny upięte nad karkiem w misterny kok barwy gryczanego miodu lśniły w świetle rzucanym przez ciężkie kryształowe żyrandole. Całość postaci tchnęła świeżością i wdziękiem, ale z wyprostowanej dumnie sylwetki biła jednocześnie jakaś siła i zdecydowanie.

Zachwycony urodą dziewczyny Jakub zapomniał o istnieniu dobrego wychowania czy jakichkolwiek zasadach przyzwoitości i wpatrywał się w nią jak zaczarowany, z niemądrze rozchylonymi ustami. Zdawało mu się, że w całym swoim życiu nie spotkał kobiety choć w połowie tak pięknej. Chłonał ten widok zachłannie, chcąc na zawsze zatrzymać go pod powiekami.

– Za późno! – usłyszał tuż nad uchem głos Adama i aż podskoczył, jakby ktoś wyrwał go ze snu. – Zaczęli kadryla.

Jakub wymamrotał coś, nie odrywając wzroku od dziewczyny.

– Co gorsza, teraz nie możemy się nawet wymknąć niepostrzeżenie, jak zakładałem pierwotnie, bo Klementynka zauważyła, że chciałem z nią mówić – tłumaczył Rychłowski, w pierwszej chwili zbyt zaaferowany, by dostrzec zmianę w zachowaniu przyjaciela. – Jestem pewien, że zaraz po kadrylu będzie próbowała mnie odnaleźć, by dowiedzieć się, w czym rzecz. Gdybyśmy teraz zniknęli, z pewnością bardzo by się zaniepokoiła.

Gdy odpowiedziało mu milczenie, spojrzął na Jakuba pytająco i dopiero wówczas dostrzegł, że ten wpatruje się w młodą dziewczynę, która szła właśnie w ich kierunku krokiem tak szybkim, że idąca obok niej starsza kobieta z trudem za nią nadążała.

Adam natychmiast zrozumiał, w czym rzecz, i gwizdnął cicho, lecz z uznaniem. Panna, której przyglądał się Modrzycki, rzeczywiście była wyjątkowo urodziwa, choć jak na gusta Rychłowskiego zdecydowanie zbyt młoda.

– Znasz je? – zapytał go Jakub. Starał się przy tym brzmieć możliwie obojętnie, ale nie zdołał zapanować nad drżeniem głosu.

Rychłowski pokręcił głową.

– Musimy poczekać na Klementynkę – odparł.

Jakub nic na to nie odpowiedział, bo w tej samej chwili damy zajęte spieraniem się o coś minęły obu panów, nie obrzuciwszy ich nawet najkrótszym spojrzeniem. Modrzyckiego owionęła delikatna woń perfum dziewczyny. Zaraz też zaczął wyobrażać sobie, jak skrapia wonnościami nadgarstki, a potem przykłada je do szyi tuż za płatkami uszu. Ta wizja wzbudziła w nim nagłą falę pożądania, a wyobraźnia pognęła jeszcze dalej, każąc mu zastanawiać się nad tym, jak też mogą wyglądać jej piersi wyzwolone spod jarzma fiszbinów wszytych w gorset sukienki. Nagle zabrakło mu powietrza. Podniósł dłoń do kołnierzyka i z nową determinacją usiłował go rozluźnić.

– Poobrywasz guziki – upomniał go Adam, który przyglądał się przyjacielowi z wyraźnym rozbawieniem.

Jakub poczuł się zmieszany faktem, że poddał się zdrożnym myślom, lecz nic nie mógł poradzić na to, że tak na niego działała młoda nieznajoma.

Był tym równie zdziwiony, co uradowany, albowiem od śmierci Joanny całkiem stracił zainteresowanie kobietami. Właściwie stało się to już wcześniej, gdy okazało się, że pożycie małżeńskie nie przyniosło mu owych opiewanych przez kolegów niebiańskich rozkoszy. Owszem, od czasu do czasu, by ulżyć lędźwiom, odwiedzał przeznaczone do tego celu przybytki, w których za określoną sumę mógł przez chwilę zaznać kobiecego ciepła,

jednak po każdej wizycie oprócz ulgi czuł coś na kształt wstydu i jakby wstrętu do samego siebie, więc starał się jak najrzadziej wykorzystywać tę możliwość.

Widok dziewczyny sprawił, że poczuł pragnienie, jakiego nie doznał od wczesnej młodości, gdy dopiero wkraczał w świat uciech cielesnych, a najłżejszy dotyk kobiecej dłoni wystarczył, by wprawić go w zakłopotanie.

Nagle muzyka ucichła i rozległy się brawa przerywane gromkimi okrzykami hrabiego Przeworskiego.

– Skończyli kadryla – powiedział Rychłowski, a nie doczekawszy się reakcji ze strony przyjaciela, wymierzył mu lekkiego kuksańca. – Obudź się, Jakubie! Nie zamierzasz chyba stać jak słup soli przez resztę wieczoru? Jeśli dobrze rozpoznaję objawy, powinniśmy zaniechać naszych planów i zadowolić się ponczem, by móc przez całą noc nie opuszczać tych pomieszczeń, mam rację?

– O czym ty mówisz? – nie zrozumiał Modrzycki, który wciąż wpatrywał się w drzwi, za którymi zniknęła przed chwilą dziewczyna.

– A o tym, żeś się właśnie zakochał! – odparł Adam i poprowadził nieco zdezorientowanego tą konkluzją przyjaciela z powrotem do sali balowej. – Jako mąż kobiety, której uwadze nigdy nic nie umyka, potrafię bezbłędnie rozpoznać symptomy tej przypadłości, skądinąd wielce przyjemnej.

Przez kolejne trzy kwadransy nic się jednak nie wydarzyło. Adam dołączył do żony i dyskretnym szeptem poprosił, by Klementynka wywiedziała się, kim jest tajemnicza nieznajoma. Jakub tymczasem stanął przy jednej z kolumn i wodził wzrokiem za uroczą panną, wokół której natychmiast zebrał się wianuszek adoratorów w znakomitej większości pozbawionych zarostu.

„Jestem stanowczo zbyt stary na to towarzystwo”, stwierdził Modrzycki z goryczą.

Miał zaledwie trzydzieści pięć lat i nigdy wcześniej nie przyszłoby mu do głowy pomyśleć o sobie inaczej niż jak o człowieku wciąż jeszcze młodym. Teraz jednak dostrzegł z całą jasnością, jak bardzo się mylił.

„Niektórzy z nich mogliby być moimi synami”, zadreślał się z pewną przesadą właściwą ludziom znajdującym się w chwilach wielkiego wzburzenia. „A ona... Ona przecież jest jeszcze dzieckiem. Niepokojąco pięknym i pobudzającym zmysły, lecz wciąż raczej podlotkiem, a nie kobietą”.

Poczuł się nagle tak zmęczony intensywnością własnych przeżyć, że znów nabrał ochoty do ucieczki. Nie mógł się jednak zdobyć na to, by choć na chwilę oderwać wzrok od dziewczyny, która tak go zauroczyła.

– To Emilia Szubert – usłyszał obok głos Klementynki. – Z tych Szubertów – dodała z naciskiem.

Jakub pokiwał głową, choć po prawdzie nic mu to nie mówiło.

– Towarzysząca jej kobieta to Alfreda Szubert, z domu Czerkawska, jej matka – tłumaczyła dalej pani Rychłowska. – Jej mąż, a ojciec panny Emilii, dorobił się niemałego majątku na handlu tkaninami.

Modrzycki słuchał, choć nie rozumiał, po co mu było wiedzieć to wszystko. Przecież nie miał żadnych szans na zdobycie względów tej ślicznej dziewczyny.

– Przedstawię was sobie – oświadczyła Klementynka i nim Jakub zdążył zaprotestować, ujęła go pod ramię i delikatnie, acz stanowczo poprowadziła do miejsca, gdzie siedziała pani Szubert.

Jej córka została chwilę wcześniej poproszona do walca przez przysadziatego młokosa o jasnych, starannie zaczesanych do tyłu włosach.

„Za dużo brylantyny”, ocenił z niechęcią Jakub i skrzywił się, patrząc, jak młodzieniec prowadzi na parkiet pannę Emilię. „Wygląda jak bulwa ziemniaczana obok najwspanialszej orchidei”. Dziewczyna położyła delikatnie dłoń na ramieniu młodzieńca i już po chwili sunęli po parkiecie. Ona płynnie niczym liść unoszący się na wietrze, on jak tocząca się do taktu kula.

„Żeby jej tylko nie podeptał”, pomyślał Modrzycki, przenosząc wzrok na drobne stópki obute w jasne trzewiczki na niskim obcasie rytmicznie mknące wśród dziesiątek innych.

Jakub zaklął w duchu, gdy zdołał w końcu zebrać rozproszone widokiem tańczącej Emilii myśli i gdy dotarło do niego, dokąd prowadzi go Klementynka. Nie miał jednak śmiałości wyrwać się z jej uścisku. Byli zbyt blisko celu.

Został doprowadzony do kręgu, w którym siedziała pani Szubert, i przedstawiony wszystkim damom. Stał odwrócony tyłem do parkietu i wymieniał grzeczności, podczas gdy jego dusza rwała się ku dziewczynie w białej sukience. Każda chwila, gdy nie mógł na nią patrzeć, zdawała mu się męką. Miał wrażenie, jakby jego serce oplotła ciasno jakaś nić, która tym boleśniej się zaciskała, im dłużej nie widział Emilii.

„Co się ze mną dzieje?“, zapytywał sam siebie, kłaniając się kolejnym damom. „Czyżby Rychłowski miał rację? Czy możliwe jest zakochać się w kimś, z kim nie porozmawiało się nawet przez chwilę? A co, jeśli panna Emilia okaże się jedną z tych efektownych panienek, które przy bliższym poznaniu albo tuż po tym, jak tylko wypowiedzą kilka zdań, zaraz tracą cały swój urok? Nie, to niemożliwe“, zapewniał drugi głos w jego głowie. „Z nią będzie inaczej“.

Modrzycki wysłuchiwał właśnie szczególnie nudnego wywodu jednej ze znajomych pani Szubert na temat sytuacji politycznej w Niemczech pod rządami „tego okropnego Hitlera“. By powstrzymać ziewnięcie, skupił uwagę na doczepach ze sztucznych włosów wyraźnie odcinających się na tle fryzury kobiety, gdy młokos przyprowadził pannę Emilię.

Serce zadudniło w piersi Jakuba tak mocno, jakby chciało z niej wyskoczyć. Emilia skłoniła się wdzięcznie, dziękując mężczyźnie za taniec, ale nie zaprosiła go, by do nich dołączył. Wyraźnie zawiedziony młodzieniec pozostał jeszcze chwilę w pobliżu, przestępując z nogi na nogę, po czym odszedł.

– Jużes zmęczona? – zdziwiła się pani Szubert, przyglądając się bacznie córce.

– Skądże znowu, matuś, wcale nie jestem zmęczona – odparła Emilia, po czym ścisząc głos i przechylając się nieznacznie ku matce, dodała: – Oba-



wiam się jednak, że po kolejnym tańcu z tym jegomościem moje pantofelki byłyby całkiem do niczego.

To powiedziawszy, zaśmiała się perliście, a śmiech ten na zawsze wyrył się głęboko w sercu Modrzyckiego.

Prostując się, spojrzała na niego i ich oczy spotkały się po raz pierwszy. Jakub miał wrażenie, że oddech zatrzymał mu się w głębi płuc, a rzeczywistość wokół umilkła, jakby ktoś szybkim cięciem przerwał bieg czasu. Wydawało mu się, że w tej jednej chwili wszystko na świecie ułożyło się w doskonałą całość, nabrało sensu i znaczenia. Nagle ujrzał swoje życie w całkiem innym świetle, rozpromienione obecnością Emilii.

– Pan nie tańczy? – Dziewczyna odezwała się do niego pierwsza.

Jakub wpatrywał się w nią i nie mógł zdobyć się na odpowiedź, więc zmieszał się i zaczerwienił. Spostrzegłszy to, Klementynka pospieszyła mu z pomocą.

– Pani pozwoli, że się przedstawię, inżynierowa Klementyna Rychłowska – wyrzuciła na jednym oddechu, ściągając na siebie uwagę dziewczyny.

Emilia oderwała wzrok od zakłopotanego Jakuba, który w myślach wyrzucał sobie od najgorszych. Był dorosłym mężczyzną, a w chwili, od której, jak sądził, mogła zależeć reszta jego życia, zachował się jak gimnazjalista.

– Emilia Szubert, bardzo mi przyjemnie – odparła dziewczyna, po czym znów zerknęła w jego stronę.

– A to serdeczny przyjaciel mojego męża, obiecujący warszawski zabawkarz Jakub Modrzycki – dopełniła prezentacji Klementynka.

– Naprawdę jest pan zabawkarzem? – zaciekała się dziewczyna i przechyliła delikatnie główkę, patrząc na niego uważnie. Wydawała się tak uroczą, że panowanie nad sobą przychodziło Modrzyckiemu z wielkim trudem.

– Owszem – odparł poważnie, a wypowiedzenie tego jednego słowa kosztowało go więcej niż wszystkie poprzednie uprzejmości wymieniane ze starszymi damami.

– Praca musi sprawiać panu mnóstwo przykrości, skoro mówi pan o niej takim tonem – stwierdziła dziewczyna równie poważnie. – Szkoda, bo samo słowo „zabawkarz” brzmi tak miło.

– Przykrości? – zdziwił się. – Dlaczego przykrości?

Dopiero gdy wypowiedział te słowa, dostrzegł w jej spojrzeniu żartobliwe błyski. „Kpi sobie ze mnie”, pomyślał i zaraz zrobiło mu się nieswojo. „Czyżbym jednak źle ją ocenił?”, pytał sam siebie. „Czyżby była jedną z tych złośliwych, przewrotnych piękności, jakich wiele na tym świecie?”

Coś w wyrazie jego twarzy musiało zastanowić dziewczynę, bo błyski zniknęły, a w ich miejscu pojawiło się coś na kształt współczucia.

– Proszę mi wybaczyć te niezręczne słowa, czasem powiem coś, zanim zdążę się choć chwilę nad tym zastanowić – wytłumaczyła się.

Każde wypowiedziane przez nią zdanie znajdowało bezpośredni oddźwięk na jej twarzy. Gdy mówiła coś zabawnego, cała aż promieniała, gdy treść wypowiedzi była poważniejsza, jej rysy tężały, a spojrzenie stawało się uważniejsze.

– Nie chcę być niegrzeczna, ale nie odpowiedział pan na moje pytanie – rzuciła jeszcze, patrząc mu prosto w oczy.

– Nie może być... – odparł, gorączkowo próbując sobie przypomnieć, co też mogła chcieć wiedzieć jego rozmówczyni.

– Pytałam, czy pan dziś nie tańczy.

– Nie jestem pewien... – odpowiedział.

– Nie jest pan pewien? – powtórzyła, unosząc brwi.

Tym razem był przekonany, że znów widzi w jej oczach isierki humoru. Uśmiechnął się więc tajemniczo.

– Zależy to bowiem od tego, czy uda mi się znaleźć dobrą parę – powiedział szybko, bo obawiał się, że odwaga wnet go opuści. – Widzi pani, moje pantofle są wyjątkowo wygodne i żal by mi było je stracić.

Znów usłyszał jej śmiech. Był głośny i szczery, a on poprzysiągł sobie, że zrobi wszystko, żeby całe życie się tak śmiała. I żeby on mógł tego słuchać.

– W takim razie nie śmiem nawet oczekiwać zaproszenia do tańca – rzekła, a w jej głosie wciąż drgały nutki wesołości. – Szkoda byłoby takich pantofli.

To powiedziawszy, okręciła się wokół własnej osi i szybko oddaliła się w stronę stolika, przy którym kelner rozlewał poncz do szklanek.

Całkiem zbity z pantofli Jakub powiódł za nią wzrokiem. Musiała to wyczuć, bo wcale nie patrzyła w jego stronę. Obserwowała tańczących, poszczególne grupki, w które pozbijało się pozostałe towarzystwo, dłuższą chwilę przyglądała się nawet zdobieniom na suficie, ale ani przez moment nie zerknęła na Modrzyckiego.

„Droczy się ze mną”, pomyślał Jakub, czując się jednocześnie rozbawiony i zniecierpliwiony.

Był tak skupiony na Emilii, że zupełnie zignorował resztę pań. Gdy Klementynka dotknęła jego ramienia, wzdrygnął się i spojrzał na nią nieprzytomnie.

– Jakubie, czy dobrze pamiętam, że tak jak mój małżonek pasjami lubisz się ślizgać?

Zupełnie nie wiedział, o czym mowa, ale na wszelki wypadek przytaknął.

– Wolę wiosłować – dodał jeszcze całkiem bez związku.

Starsze panie obrzuciły go podejrzliwymi spojrzeniami.

– Oczywiście nie zimą – uspokoił je zaraz. – Od wiosny do jesieni na Wiśle.

Kobiety wciąż przyglądały mu się badawczo, z wyraźną nieufnością.

– Znakomicie, zatem i my dołączymy jutro – powiedziała prędko Klementynka. – I Jakub także. Tak się cieszę! Ogromnie lubię łyżwy, a wieki całe nie byłam w Dolince Szwajcarskiej.

– Po ślizgawce zapraszamy państwa na gorącą czekoladę – dodała pani Szubert.

W tym momencie Jakub zrozumiał, że Klementynka zaaranżowała dlań kolejne spotkanie z Emilią. Posłał jej pełne wdzięczności spojrzenie, a ona,

choć udała, że go nie dostrzegła, uśmiechnęła się lekko, nie przerywając rozmowy z panią Szubert.

„Adam miał rację, jego żona to w istocie najwspanialsza kobieta, jaka chodzi po tej ziemi”, pomyślał Modrzycki. „Oprócz mojej Emilii oczywiście”.

A gdy ten pierwszy raz nazwał ją w duszy „swoją”, poczuł ciepło rozlewające się po jego wnętrzu.

„Emilia, moja Emilia”, te słowa szumiały mu w głowie przez resztę wieczoru.

Ani razu z nią nie zatańczył, a mimo to wciąż czuł jej obecność i miał pewność, że i ona, choć sunęła po parkiecie z kolejnymi tancerzami, widziała tylko jego.

## Rozdział 13

Tej pamiętnej zimy spędzali razem każdą wolną chwilę. Nigdy jednak sami, zawsze w towarzystwie. Matka Emilii, pani Szubert, była w tym względzie wyjątkowo nieprzejednana, a ponieważ wyraźnie było widać, że Emilia i Jakub mają się ku sobie, nawet nie chciała słyszeć o tym, by gdziekolwiek wybrali się bez przyzwoitki, w której to roli najchętniej występowała osobiście.

Jakub cierpiał katusze, nie mogąc choćby przez chwilę porozmawiać z Emilią na osobności, zamiast tego będąc zmuszonym do przekazywania jej różnych rzeczy, zwracając się do jej matki. Rychłowski, chcąc wesprzeć przyjaciela, poprosił żonę, by zaczęła częściej odwiedzać Szubertów. Wkrótce pani Szubert dała się przekonać, że bywanie Emilii w towarzystwie Klementynki, Adama i najlepiej jednej z licznych kuzynek pani Rychłowskiej, gdy był tam obecny również Jakub, w niczym nie uchybia przyzwoitości.

Zakochani zawsze konwersowali więc w większym gronie i być może właśnie dlatego wymyślili coś w rodzaju własnego języka. Szybko odkryli, że doskonale wyłapują sens rzucanych przez siebie nawzajem aluzji, które dla innych pozostawały niejasne. Lekko żartobliwy ton ich wypowiedzi sprawiał zwykle, że nikt nie próbował włączać się do ich rozmów.

Życie Jakuba wywróciło się nagle do góry nogami. Jego jedynym celem zdawało się teraz widywanie Emilii. Kiedy zmuszony był oddalić się od niej, stawał się niecierpliwy i marudny, nie potrafił skupić się nawet na pracy, choć okres przedświąteczny był czasem największych żniw i gromadzenia kapitału na kolejne miesiące. To wszystko straciło dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Budził się i zasypiał z jej imieniem na ustach, a powabna postać dziewczyny wypełniała każdy jego sen.

Modrzycki zrobił się też niespodziewanie szalenie religijny i przez całą resztę adwentu roku Pańskiego 1916 codziennie bywał na mszach o wschodzie słońca. Podczas jednej z wizyt pani Szubert wspomniała przypadkiem, że do ich rodzinnych tradycji przekazywanych z pokolenia na pokolenie należy chodzenie na roraty do kościoła Świętego Marcina.

– Dla uczczenia tego zwyczaju mojej prababce dano na chrzcie imię Eufemia – oznajmiła z wielkim zaangażowaniem.

– Eufemia? – powtórzył Jakub, byle powiedzieć cokolwiek. Nie chciał okazać się niegrzeczny, lecz choć przeszukał w pamięci wszystkie zakamarki swojej wiedzy na temat chrześcijaństwa, nijak nie mógł zrozumieć, jaki związek miało to oryginalne imię z adwentowymi mszami ku czci Najświętszej Maryi Panny.

– To imię nosiła żona księcia mazowieckiego Ziemowita – wyjaśniła łaskawie pani Szubert.

– Księcia Ziemowita? – powtórzył znów niezbyt mądrze Jakub, jeszcze bardziej skonfundowany.

Kątem oka dostrzegł, że siedząca za plecami matki Emilia aż zgięła się wpół, próbując stłumić śmiech.

– Fundatora kościoła Świętego Marcina – spuentowała pani Szubert.

Jakub zamrugał szybko oniemiały, a Emilia zanosła się kaszlem. Wyszedł na głupca, lecz nie żałował, bo przy okazji dowiedział się, dokąd panie chadzają na przedświąteczne msze. Od tamtej pory co rano przed udaniem się do warsztatu skryty w cieniu w bocznej kaplicy Świętego Franciszka oddawał się przez całą mszę adoracji cudownego profilu pogrążonej w modlitwie Emilii oświetlonego pełgającym światłem świec i czuł się bezgranicznie szczęśliwy.

Jeszcze przed świętami wybrali się też kilka razy na jarmarki organizowane przez liczne towarzystwa dobroczynne. Oglądali ozdoby choinkowe, a te, choć w znakomitej większości były tandetne i źle wykonane, Jakubowi jawiły się jako najpiękniejsze przedmioty świata. Wszystko, na czym spoczął wzrok Emilii, każda rzecz, którą wzięła do ręki, każda bombka, w której odbiła się jej twarz, wydawało mu się doskonałe.

Chadzali też na ślizgawki, zarówno te z orkiestrami, gdzie gromadziło się eleganckie towarzystwo, jak i na te całkiem dzikie urządzone na zamarzniętych zakolach Wisły. Emilia ruszała się wdzięcznie, lecz nie brakowało jej także sportowej zaciętości i zamiłowania dla rywalizacji. Ilekroć ktoś zarządzał wyścigi, natychmiast się zgłaszała, za nic mając rzucane w jej kierunku oburzone spojrzenia koleżanek i obcych pań.

Dokładnie na tydzień przed Bożym Narodzeniem państwo Szubert organizowali w swoim domu coroczne spotkanie opłatkowe dla dalszych znajomych, z którymi nie planowali widzieć się aż do Nowego Roku, kiedy to grafik ich wizyt był wypełniony.

Na wyraźną prośbę Emilii Jakub oraz Rychłowscy także zostali zaproszeni. Niestety, na wieczór przed wyznaczonym terminem Klementynka dostała gorączki, a Adam nie wyobrażał sobie, że mógłby bawić gdzieś podczas choroby żony.

Jakub obawiał się, że znajdzie się w gronie całkiem obcych ludzi, lecz nie mógł odmówić sobie przyjemności przebywania w pobliżu Emilii i gotów był zapłacić za tę możliwość każdą cenę. Na szczęście okazało się, że na wieczorze u Szubertów bawił także drugi z jego kompanów od wista, Stanisław Korzeniowski, oraz pewien bardzo już wiekowy antykwariusz, z którym Jakub utrzymywał serdeczne stosunki, odkąd przed laty z właściwą sobie pasją staruszek zaczął zgłębiać historię domków dla lalek.

W tamtym czasie Jakub Modrzycki zatrudniał już kilkunastu czeladników. Każdy z nich miał ściśle określone zadanie do wykonania, a poszczególne zabawki, nawet najprostsze drewniane kółko czy bączek, które wychodziły spod ich ręki, musiały najpierw zostać dokładnie obejrzone przez Jakuba. Dopiero później wolno było opatrzyć je dyskretnym, acz kunsztownym emblematem firmy stanowiącym płataninę liter J i M, czyli gwarancją jakości.

Sam Jakub od dawna już wykonywał osobiście tylko jeden rodzaj zabawek, a były to właśnie domki dla lalek. Przygotowując je, czuł się niemal jak bóg kreujący kompletny, całkiem nowy świat.

Domki dla lalek od Modrzyckiego można było kupić tylko na specjalne zamówienie. Każdy tworzony był po przeprowadzeniu szczegółowego wywiadu na temat obdarowywanego dziecka, którego zamawiający musiał udzielić Jakubowi. Zabawkarz wypytywał w nim o wszystko, co jego zdaniem było ważne. Musiał poznać kolory, wzory, faktury, a nawet kwiaty, zwierzęta czy potrawy, które najbardziej lubił jego mały klient. Wszyscy nieco się temu dziwili, ale traktowali owe przygotowania jako rodzaj nieszkodliwego dziwactwa w sklepie pełnym osobliwości i grzecznie odpowiadali na wszystkie pytania.

– A nie można by tak po prostu? – spytał Jakuba pewien mężczyzna o wyjątkowo mięsistych wargach, które przypominały Modrzyckiemu dwa tłuste, tulące się do siebie ślimaki pozbawione skorup. – Da mi pan ten domek z wystawy i będzie po sprawie.

Jakub uwielbiał wystawę swojego sklepu, którą zwykle aranżował tak, aby przypominała miasto zabawek, więc siłą rzeczy stały tam też domki dla lalek i inne bajkowe stworzenia. Wszystkie nowe zabawki Modrzycki wkomponowywał w przestrzeń tego miasteczka. W wolnych chwilach dbał, by zachodziły tam pewne zmiany, które dostrzec mogli tylko klienci często oglądający witrynę jego sklepu. Doszukiwanie się tych nowości stało się rytuałem i wyzwaniem dla dzieci chadzających ulicą, przy której mieścił się sklep.

Po dokonaniu kolejnej zmiany Jakub zwykle przez kilka dni wychodził z warsztatu do wnętrza sklepu w czasie, gdy dzieci wracały ze szkoły. Z pozoru pochylony nad ladą sprawdzał przedstawiane przez subiektów księgi rachunkowe. W rzeczywistości zaś bacznie obserwował miny maluchów, pilnie śledząc ich reakcje na nowości.

Nie rozważał sprzedaży wystawowego domku dla lalek, a już z pewnością nie oddałby go komuś takiemu.

Modrzycki nie silił się na wyjaśnienia. Podeszedł do lady, wyjął spod niej gruby brulion, z poważną miną przejechał ołówkiem wzdłuż kolumn, po czym rzekł:



– Tak mi przykro! Doszło do straszliwej pomyłki, mamy tak wiele zamówień, że nie uda nam się zrealizować pańskiego.

Mężczyzna zacisnął grube wargi jeszcze mocniej i aż poczerwieniał z oburzenia, zrozumiał bowiem, że w ten oto kulturalny sposób został odprawiony.

Jakub uśmiechnął się do wspomnienia miny butnego jegomościa, które powróciło do niego, gdy witał się z antykwariuszem na balu u Szubertów. Wiedział, że staruszek postąpiłby tak samo.

– Dawno pan do mnie nie zaglądał, a tymczasem mam dla pana coś ciekawego, panie Jakubie – zagadnął go wyraźnie zadowolony z siebie antykwariusz, gdy służący Szubertów zebrali talerze po doskonałym pieczonym okoniem podawanym z siekanymi jajkami na twardo, gdyż podczas tego wieczoru serwowano dania z menu wigilijnego.

Jakub jadł w milczeniu, ponieważ całą jego uwagę pochłaniała dziewczyna siedząca tuż przy gospodarzach na drugim końcu długiego stołu.

Tego wieczoru Emilia miała na sobie skromną granatową sukienkę z szerokim kołnierzem, w której wyglądała jak uczennica. Jej widok zdawał się Jakubowi niemal bolesny, bo młodość dziewczyny aż go onieśmiała.

– A cóż takiego, szanowny panie Edmundzie? – spytał mimo to uprzejmie.

– Pytasz pan przez grzeczność, więc szkoda strzepić języka – odparł antykwariusz i upił nieco piwa dubeltowego, które podano przed kolejnym danem.

Jakub poczuł się niezręcznie. Z wielkim trudem oderwał wzrok od Emilii i odwrócił się w stronę staruszka.

– Proszę nie trzymać mnie w niepewności – rzekł, a widząc błysk w oczach starca, mimowolnie zaciekawiał się, co też mogło wzbudzić w nim aż tak wielki entuzjizm. Antykwariusz bowiem należał do ludzi raczej powściągliwych, choć niewątpliwie obdarzonych niezwykłym darem do odnajdywania skarbów w oceanie miernoty, co w jego fachu było nad wyraz cenną umiejętnością.

– Znalazłem fascynujący opis – odparł pan Edmund, z przyjemnością przyglądając się narastającemu napięciu na twarzy swojego rozmówcy. – Powtarzam: fascynujący!

– Dowiem się, cóż to takiego? – pytał dalej Modrzycki. – Skoro to taki skarb, nie wolno go trzymać pod korcem, nieprawdaż?

Antykwariusz pokiwał głową i założył ręce na piersi.

– Dobrze pan mówisz – pochwalił Jakuba. – Wpadł mi w ręce pewien starodruk holenderski z pierwszej połowy siedemnastego wieku, w którym znajduje się opis domku dla lalek stanowiącego własność pewnej mieszczki z Norymbergi...

– Mieszczki? – zdziwił się Jakub. – Musiała to być wyjątkowo bogata mieszczka.

– Proszę pamiętać, że mówimy o Niderlandach – zripostował antykwariusz, jednocześnie wyjmując ości z kawałka sandacza w śmietanie. Wsunął sobie kęs ryby do ust i z wyraźną przyjemnością popił jedzenie resztką piwa.

„Całkiem jak Rychłowski”, pomyślał Jakub i nie zdołał powstrzymać uśmiechu na wspomnienie przyjaciela, który podczas najbardziej płomiennej dysputy i tak zawsze stawiał ponad argumentami rozkosze podniebienia. Każda racja czy jej brak traciły na znaczeniu, gdy tylko na stole pojawiały się nowe potrawy.

– Domki dla lalek produkowano przecież głównie tam – odezwał się znowu antykwariusz.

– I w Niemczech, i w Brytanii – uściślił Jakub.

– Tak, tak, oczywiście – przyznał mu rację staruszek. – Rzecz w tym, że im powszechniejsza produkcja, tym niższe ceny, co z kolei implikuje łatwiejszy dostęp.

Modrzycki pokiwał głową.

– Opis pochodzi z tysiąc sześćset trzydziestego pierwszego roku, a mieszczka nazywała się Anna Köferlin – opowiadał antykwariusz. – Udo-

stępniała domek dla lalek we własnym domu, aby pokazywać dzieciom, jak urządzone winno być idealne gospodarstwo domowe.

Jakub skrzywił się lekko. Miał ochotę wszcząć z antykwariuszem dyskusję o zasadności podobnych nauk.

Ten jeden aspekt związany z domkami dla lalek zawsze budził jego niechęć. Owszem, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że zabawki nie służą wyłącznie przyjemności, lecz także nauce. Tak było od zawsze i prawdopodobnie miało tak zostać i w przyszłości. Sam zresztą był wielkim popularyzatorem zabawek edukacyjnych. Ot, choćby klocków. Te jednak, mimo swojej niewątpliwej celowości, rozwijały również wyobraźnię i pomysłowość oraz dawały wielkie pole do fantazjowania.

Domki dla lalek służyły zaś niemal w pełni odtwarzaniu prawdziwego życia. Lalki można było kupić zarówno w wersji dziecięcej, niemowlęcej, jak i dorosłej. Dzieci bawiły się więc w domkach dla lalek w dom, odtwarzając własne życie rodzinne. Nie było w tym nic złego, ale Jakub czasem zastanawiał się, czy właśnie nie tu rozpoczyna się proces włączania ludzi w różne role. Mały chłopiec w zabawie zawsze był tatusiem inżynierem albo tatusiem kupcem. Wychodził więc głównie do pracy lub z niej wracał, a dziewczynka kołysała w maleńkiej kołysce jeszcze mniejsze dzieci lub przyjmowała wizyty koleżanek przy stole zastawionym mikroskopijnymi filiżankami. Sam Jakub był zwolennikiem bardziej postępowej myśli traktującej kobiety i mężczyzn na równi, tak by każde z nich mogło wybrać sobie ścieżkę życia, która najbardziej mu odpowiadała. Być może wpływ na te poglądy miały jego własne doświadczenia z przeszłości. Jego wybór drogi zawodowej początkowo nie spotkał się ze zrozumieniem, a przecież on sam wiedział, że tylko robiąc zabawki, będzie naprawdę szczęśliwy. Wierzył też, że w tej niezbyt popularnej gałęzi przemysłu uda mu się zarobić majątek, i tak też się stało. Miał jednak dużo szczęścia i potrafił to docenić. Wiedział, że są i tacy, którym zabraknie wiary we własne talenty czy możliwości, przez co porzucą to, o czym marzą, by realizować ściśle narzucone im przy pomocy domków dla lalek schematy funkcjonowania.

Pewnego razu spróbował porozmawiać na ten temat z Lecykiem, ale ap-tekarz zbagatelizował jego wątpliwości.

– Przecież to tylko zabawka, Jakubie – rzekł kolega, śmiejąc się. – A zabawki ze swej definicji służą przecież rozrywce, a nie zmianie świata. Pamiętaj, mój drogi przyjacielu, że nie dla każdego te przedmioty są sensem życia.

Modrzycki wspomniał teraz słowa Mamerta Lecyka i nie zainicjował polemiki. Zamiast tego dyskretnie przywołał lokaja i poprosił o dokładkę sosu do sandacza.

– Zachował się też dрук będący, jak byśmy to dziś powiedzieli, reklamą wizyt w domu pani Köferlin – dodał antykwariusz. – Co ciekawe, panie Jakubie, mieszczka ta zapraszała do siebie zarówno dziewczęta, jak i chłopców, co było przejawem myśli wyjątkowo jak na tamte czasy postępowej, nie sądzi pan?

Jakub przytaknął, a jego zainteresowanie znaleziskiem antykwariusza jeszcze się wzmogło.

– Proszę zajrzeć do mnie przy okazji, wszystko panu pokażę – obiecał staruszek.

Choć Modrzycki starał się nad tym zapanować, jego spojrzenia wciąż i wciąż mimowolnie wymykały się ku Emilii, która pogrążona była w rozmowie z jedną z licznych kuzynek. Dziewczyna ani razu nie odwzajemniła jego spojrzenia, ale Jakubowi wystarczyło to, że sam mógł na nią patrzeć. Jego usta opowiadały o konstrukcji i rozkładzie pomieszczeń w domku w stylu angielskim, nad którym właśnie pracował, bo miał to być świąteczny podarek dla pewnej hrabiny, ale serce rwało się do tej ślicznej dziewczyny o kpiącym uśmiechu i miodowych włosach.

Nie śmiał jednak zdradzać się ani przed nią, ani przed nikim innym ze swoim zainteresowaniem jej osobą. Uważał całe to szczenięce zadurzenie za coś karygodnego. Nie był przecież jej godny. Emilia Szubert jawiła się w jego oczach jako istota nieskalana i ze wszech miar cudowna, zasługiwała więc na kogoś przynajmniej w połowie tak wspaniałego jak ona. Tymcza-

sem on sam był dużo starszym od niej wdowcem, któremu daleko było do nieskazitelności, choć uważał się za człowieka prawego i godnego zaufania.

Cały wieczór nie dane było mu zamienić z nią ani słowa. Co gorsza, gdy Korzeniowski zaczął się żegnać i nalegać, by Jakub wyszedł razem z nim, Emilia akurat gdzieś zniknęła. Zrozpaczony Jakub włożył płaszcz i kapelusz, pożegnał gospodarzy i stanął w progu. W tym momencie drzwi się otworzyły i naprzeciwko niego stanęła panna Szubert otulona srebrnym futrem. Chciał wiedzieć, gdzie była o tej porze i dlaczego tak nagle opuściła przyjęcie swoich rodziców, ale nie miał prawa wypytywać jej o nic.

Gdy mijali się w drzwiach, Emilia nagle się zatrzymała. Jakub wstrzymał oddech, bo nigdy wcześniej nie był tak blisko niej i ta bliskość go oszołomiła. Czuł delikatną woń jej perfum, a jej policzek był tak blisko jego ramienia, że gdyby tylko się poruszył, musnąłby go bez wątpienia.

– A wie pan, że nigdy nie miałam domku dla lalek? – zagadnęła szeptem, wciąż patrząc przed siebie, jakby tak naprawdę wcale nie mówiła do niego. – Może zrobiłby pan kiedyś taki i dla mnie?

Jakub otworzył usta, lecz nim zdążył odpowiedzieć cokolwiek, Emilia przepłynęła obok niego i dołączyła do czekających na nią domowników.

Skąd wiedziała, o czym rozmawiał z antykwariuszem, miało pozostać dla niego zagadką. Tych kilka słów pozwoliło mu jednak mieć nadzieję, że to, co dotąd było jego najdroższym snem, mogło się ziścić.

Jeszcze tego samego wieczoru Jakub usiadł przy desce kreślarskiej i zaczął rysować domek, który byłby jej godny, ale wszystko, co przychodziło mu do głowy, wydawało się zbyt banalne, pozbawione dobrego smaku, wyuczucia proporcji, słowem – całkiem do niczego.

## Rozdział 14

Święta tamtego roku wspominał jako czas największej udręki w całym swoim życiu. Wszyscy siedzieli w domach, przyjmowali lub oddawali wizyty najbliższej rodzinie, a to odbierało Jakubowi wszelkie szanse ujrzenia ukochanej. W drugi dzień świąt w akcie desperacji stanął w cieniu latarni i wpatrywał się w okna jej domu, licząc, że zobaczy ją choć przez chwilę. Długo stał na mrozie, lecz nie udało mu się ni razu dostrzec Emilii.

Zaraz po świątach Szubertowie wyjechali do Szwajcarii do uzdrowiska i zupełnie stracił ukochaną z oczu. Pozbawiony jej słodkiej obecności stracił zainteresowanie życiem. Gdyby nie opieka Helenki, która zmuszała go do jedzenia, kazała się golić i szykowała mu co dzień czyste ubranie, z pewnością postradałby zmysły.

Wreszcie jednak z początkiem lutego Szubertowie wrócili do Warszawy, a w kilka dni później Jakub otrzymał bilecik wizytowy z zaproszeniem na herbatę. Gdy po czasie rozłąki znów ujrzał Emilię, czuł łzy pod powiekami, bo dziewczyna okazała się jeszcze piękniejsza, niż ją zapamiętał. Kiedy podała mu rękę na powitanie, ich oczy spotkały się, a ona nie odwróciła wzroku.

– Tak dobrze znów pana widzieć – szepnęła i mocniej zacisnęła palce w jego dłoni.

Ponownie zaczęli chadzać wspólnie na koncerty, do teatru, jeździli też na przejażdżki saniami po mieście. Raz nawet Emilia w towarzystwie matki zajrzała do sklepu Jakuba. Wszystko zdawało się ją tam zachwycać: maleńkie cynowe naczynia i szczotki do czesania lalek z masy perłowej, nade wszystko zaś wystawa.

– Jakież to cudowne miejsce! – zawołała rozentuzjasmowana. – Mogłabym nigdy stąd nie wychodzić!

„Zostań! Zostań na zawsze”, chciał powiedzieć Jakub, ale nie ośmielił się. Jednak od tego dnia, gdy pojawiła się w sklepie z zabawkami, który był całym jego światem, Modrzycki nie mógł przestać myśleć o tych zatrzymanych w głębi ust słowach. Wiedział, co powinien zrobić, ale wciąż brakowało mu odwagi. Nie był w stanie wydobyć z siebie głosu, tymczasem bał się, że gdy minie właściwy moment, utraci Emilię na zawsze.

Podczas jednego ze spacerów zaproponował, żeby zawiesili na drzewie karmnik, który sam zrobił.

– Ale niedługo przecież wiosna – zdziwiła się Klementynka.

– Tym bardziej trzeba to zrobić właśnie teraz – poparła pomysł Emilia, która w lot zrozumiała zamysł Jakuba, a nie dostrzegłszy zrozumienia na twarzy Rychłowskiej, pospieszyła z wyjaśnieniami. – Na przednówku wszystkim bardziej doskwiera głód, i ludziom, i zwierzętom.

Jakub pokiwał głową. Jak dotąd wszystko było dokładnie tak, jak sobie zamyślił. Nikomu, nawet Adamowi, nie zwierzył się ze swoich planów. Uważał je za szaleństwo, ale po raz drugi w życiu był absolutnie pewien słuszności powziętych zamiarów. Czuł spokój. Ten sam głęboki spokój, który towarzyszył mu po podjęciu decyzji o zostaniu zabawkarzem.

To, co zamierzał zrobić, teraz wydawało mu się o wiele bardziej ryzykowne, zapewne dlatego, że nie mógł przewidzieć ostatecznego rezultatu swoich działań. Intuicja podpowiadała mu, że jego uczucia są odwzajemnione. Nie miał jednak pewności, za to czuł, że postrada zmysły, jeśli będzie zwlekał choć jeden dzień dłużej.

– Jaki dziwaczny! – wykrzyknęła Klementynka, która najwyraźniej spodziewała się tradycyjnego domku dla ptaków.

Tymczasem ten zbudowany przez Jakuba był ociosaną kulą wydrążoną w środku. Całość pokryta była grubą warstwą słoniny z zatopionymi w środku ziarenkami. Wnętrze zaś wyścielone zostało słomą.

– A ja myślę, że ptaszkom będzie tak o wiele wygodniej – stwierdziła Emilia.

– Mam dla pani niespodziankę – szepnął Jakub, gdy Klementynka z Adamem odwrócili się od nich na chwilę.

Emilia przekrzywiła główkę.

– Wygląda pani jak sikorka – nie zdołał powstrzymać komplementu.

Kobieta uśmiechnęła się do niego ciepło.

– Proszę znaleźć małą czerwoną dźwignię – dokończył.

– I co się wtedy stanie?

Uśmiechnął się i teatralnie wzruszył ramionami, jakby sam nie wiedział, co się wydarzy, po czym odwrócił się i podszedł do pozostałych.

Serce waliło mu w piersi mocniej niż kiedykolwiek przedtem, mimo to zdołał powstrzymać się przed obejrzeniem się za siebie.

Gdy Emilia dołączyła do nich chwilę później, nie miał odwagi podnieść na nią wzroku. Nie był nawet pewien, czy udało jej się odnaleźć i przesunąć mikroskopijną dźwignię.

– Wyjdę za pana – oświadczyła nagle w samym środku błahej konwersacji, którą prowadzili w powozie w drodze powrotnej.

Jakub szarpnął głową i wpatrywał się w nią jak zakłęty, nie mogąc uwierzyć we własne szczęście.

Klementynka z Adamem wymienili zszokowane spojrzenia, a potem wyraźnie skonsternowani popatrywali to na Jakuba, to na Emilię.

– Czy to jakiś kolejny dowcip? – nie wytrzymała Klementynka.

– Z tak poważnych spraw jak małżeństwo nie zwykłam żartować – odparła Emilia, nie odrywając wzroku od Jakuba.

– Ani ja – zapewnił gorąco Modrzycki.

– Kiedy... Jak... – Klementynka usiłowała odnaleźć się w sytuacji. – Adamie, powiedzże coś wreszcie! Bo ja już nie wiem, czy oni mówią poważnie, czy otwarcie sobie z nas kpią?

Emilia zdjęła rękawiczkę i wyciągnęła dłoń w stronę przyjaciółki. Na jej palcu lśnił prosty złoty pierścionek z granatowym oczkiem.



– Och! – Klementynka głośno wciągnęła powietrze, jakby dopiero teraz dotarło do niej, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Zaraz też posypały się gratulacje dla narzeczonych. Oświadczyńy i ich przyjęcie musiały oczywiście na razie pozostać tajemnicą ich czworga, bo pani Szubert nigdy nie wybaczyłaby córce, gdyby wszystko nie odbyło się zgodnie z nakazami tradycji.

– Jesteś pan dziwakiem – wyszeptała przy pożegnaniu Emilia.

– Być może – odparł Jakub.

– Zawsze będziesz się pan ze mną zgadzał?

– Być może – odpowiedział ponownie.

– W takim razie odwołuję dane panu słowo i zwracam pierścionek – rzekła, zsuwając z dłoni rękawiczkę. Przed domem i tak musiała zdjąć błyskotkę i oddać ją Jakubowi, by mógł znów wręczyć jej pierścionek jutro, uprzednio poprosiwszy przyszłych teściów o zgodę. Cała ta sytuacja zdała się jednak prowokować ją do kolejnych drobnych żarcików. – Nie zamierzam umrzeć młodo.

– A kto tu mówi o umieraniu?

– Pan – odpowiedziała. – Straszac mnie zbytnią zgodnością między nami. W takim małżeństwie z pewnością umarłabym z nudów.

– Skoro tak stawia pani sprawę, przysięgam kłócić się z nią od rana do nocy – odparł Jakub, po czym ujął dłoń ukochanej, ostrożnie naciągnął na nią z powrotem rękawiczkę i zapiął guziczek na nadgarstku. – Byle tylko...

– Tak? – Emilia uniosła brew. Wciąż uśmiechała się kpiąco, ale jej oczy lśniły wzruszeniem.

– Bylebyś tylko pozwoliła mi pani kochać cię – zakończył cicho.

Kobieta nic nie odpowiedziała. Rumieniąc się, podniosła twarz ku Jakubowi i spojrzała na niego roziskrzonymi od uczuć oczyma, oczekując pocałunku.

Modrzycki ujął twarz Emilii w obie dłonie i pocałował ją w usta.

## Rozdział 15

Wspomnienie tamtego pocałunku sprzed osiemnastu lat powróciło teraz do Jakuba i zapiekło go żywym ogniem, jakby ktoś posypał solą świeżą, wyjątkowo bolesną ranę.

„Czy i tamtego cudaka tak całowała?”, mimowolnie zaczął się zastanawiać Modrzycki. Wciąż słyszał w uszach śmiech Emilii, odgłosy rozmowy toczonej ową rzadko spotykaną barwą głosu przeznaczoną tylko dla jednej osoby, tej, którą niegdyś był on sam. Kochankowie od zarania dziejów rozmawiają ze sobą inaczej niż z resztą świata, choć każda para jest niezbitcie przekonana o tym, że jest pierwszą i jedyną w historii, a jej uczucie to coś, czego nikt przed nią nigdy nie odkrył.

– A potem przychodzi życie – westchnął gorzko.

Pobrali się wiosną 1917 roku i zamieszkali w tej samej kamienicy, w której Jakub spędził szczęśliwe dzieciństwo. Czasem jednak Modrzycki miał wrażenie, że to, co zdarzyło się dawniej, wcale się nie liczyło, jakby przed nimi nic nie było.

Ich życie przypominało najpiękniejszy sen. Każdy dzień zdawał się doskonały, jasny i świetlisty, bo ona była przy nim. Mógł trzymać ją w ramionach, słuchać jej głosu, gładzić miękkie włosy, pieścić zachwycające ciało. Wkrótce skończyła się wojna, a Polska po stu dwudziestu trzech latach niewoli odzyskała niepodległość. Dla warszawskich interesów Jakuba nastał złoty czas. Wreszcie prawo nie faworyzowało rosyjskich czy niemieckich firm, a polscy rzemieślnicy mogli korzystać z rozmaitych przywilejów.

Jakub nigdy wcześniej nie miał tak wielu pomysłów. Jego głowa zdawała się parować nowymi koncepcjami, a spod ołówka wychodziły wyłącznie udane rysunki, które w mgnieniu oka urzeczywistniały dłonie.

– Małżeństwo ci służy – stwierdził pewnego razu Adam Rychłowski, gdy Jakub przybiegł pokazać mu nowy projekt kolejki elektrycznej z przestrzennymi torami wiodącymi w górę i w dół zbieżnymi.

Cieniem na małżeńskim szczęściu kładł się jedynie brak dziecka. Jakub wiedział, że Emilia kilka razy była w ciąży, lecz żadnej nie udało się jej utrzymać. Nie chciała rozmawiać z nim na ten temat, a on nie naciskał, nie pytał, uznając, że kobiety mają prawo do swoich sekretów.

Modrzycki uważał, że powinni pozostawić wydarzenia ich własnemu biegowi. Z nim było wszystko w porządku, już wcześniej miał przecież syna. Emilia zaś była młoda i zdrowa, więc w tym wszystkim z pewnością był jakiś zamysł natury i należało tylko cierpliwie poczekać na upragnione przez żonę potomstwo. Jakub nie miał żadnego problemu z przedłużającym się czasem oczekiwania, bo choć był pewien, że pokocha dzieci, jak wszystko inne związane z Emilią, nie spieszo mu było do tego, by dzielić się nią z absorbującym niemowlęciem. Podobało mu się to, że miał żonę tylko dla siebie i że Emilia cała była tylko jego.

– Nie od razu Rzym zbudowano – mawiał i całował ukochaną w czubek głowy, wychodząc do pracy.

Liczył, że natura sama wykona resztę pracy, jeśli tylko on będzie pilnie spełniał małżeńskie powinności, co czynił z wielkim zapałem, bo uwielbiał swoją żonę zarówno za niezłomność ducha i niezwykle poczucie humoru, jak i niewątpliwą urodę ciała. Nigdy żadna kobieta nie działała na jego ciało w ten sposób. Czuł się przy niej młody, jurny i nieustraszony.

Wreszcie, niespełna dziesięć lat po ślubie, doczekali się upragnionego potomstwa. Najpierw w 1926 urodziła się Krysia, a niedługo potem Juluś. Byli tacy szczęśliwi, zatopieni w swojej wymarzonej codzienności.

„Czego zabrakło?”, pytał teraz głośno samego siebie, próbując zagłuszyć echo śmiechu żony umizgującej się do innego mężczyzny. „Czego brakowało ci do szczęścia, Emilio?”

Jakub nie mógł sobie znaleźć miejsca. Był późny wieczór. Płatki śniegu wirowały w smugach światła rzucanych przez dawno już zapalone uliczne latarnie. Świat wokół przysypany miękką, lśniąco białą otuliną tchnął spo-

kojem. Modrzycki patrzył przez okno warsztatu i nie potrafił zrozumieć, jak jeden dzień, parę chwil zaledwie, mógł tak odmienić jego patrzenie na świat.

Jeszcze rankiem wydawał się sobie tak szczęśliwy z powodu zorzy polarnej. W tamtym minionym zapewne bezpowrotnie życiu siedziałby w tej chwili w fotelu i jak teraz wyglądał przez okno, ale znajdowałby się we własnym mieszkaniu, na sofie, z przytuloną do jego boku Emilią. Obejmowałby przy tym palcami delikatne uszko filiżanki, w której Helenka podałaby mu doskonale zaparzoną herbatę, słuchał dobiegających z głębi mieszkania odgłosów bawiących się dzieci, kuchennej krzątaniny, całego tego szumu świadczącego o tym, że gdzieś płynie potok codziennych spraw. Ten szmer koił go, przywracał mu równowagę i spokój po najgorszym nawet dniu. A co ważniejsze, nadawał sens wszystkiemu.

Teraz został odcięty od tego strumienia. Musiał odnaleźć się w świecie bez jego kojącej melodii. Uporządkować myśli, wyciszyć emocje, spróbować podjąć jakieś decyzje. Miał nadzieję, że w nocnej ciszy warsztatu przyjdzie mu to łatwiej, ale wyglądało na to, że się mylił. W tej ciszy głośniejszy słychać było wszystkie tęsknoty i żale.

Modrzycki zapragnął nagle cofnąć czas. Rozpaczliwie chciał znów być dzieckiem, zacząć wszystko od nowa, zmienić swoje życie.

– Gdybym nie został zabawkarzem, nie dostałbym tamtego zaproszenia na bal i prawdopodobnie nigdy bym jej nie spotkał – mamrotał.

Być może dzięki temu oszczędzone zostałyby mu to wszystko, co teraz przeżywał.

Sięgnął po stojącą na półce figurkę ulicznego grajka i cisnął nią o podłogę. Z roztrzaskanego przedmiotu popłynęło kilka taktów wygrywanych przez ukrytą w jego wnętrzu pozytywkę. Jakub padł na kolana i zaszlochał nad zniszczoną zabawką i samym sobą.

W jakiś tajemniczy sposób tworzenie zabawek czyniło go lepszym człowiekiem. Emilia zaś, nie mogąc znieść tego wszystkiego, postanowiła znaleźć inną drogę do szczęścia. Taką, która omija jego szlaki.

Wzdrygnął się na samo wspomnienie jej śmiechu dźwięczącego w powo-  
zie tamtego mężczyzny. Na tle panujących za oknem ciemności ujrzał jej  
śliczną twarz, skrzące się humorem oczy, śmiejące się usta wygięte w uro-  
czy łuk. Tak bardzo kochał jej śmiech.

Ukłucie żalości odebrało mu oddech. Odwrócił twarz od okna. Musiał się  
czymś zająć. Czymkolwiek, byleby tylko dać jakieś zajęcie dłoniom i spró-  
bować odnaleźć namiastkę spokoju, dzięki której będzie mógł zastanowić  
się nad tym, jak odtąd miałyby wyglądać jego życie.

Wolnym krokiem przeszedł wzdłuż uprzątniętych starannie stołów. Nie-  
dokończone zabawki leżały po lewej stronie blatów, środek był pusty, jeśli  
nie liczyć biegnącego między stanowiskami pracy rzędu pojemników ze  
szpilkami, pinezkami, śrubkami, gwoździami i tym podobnymi oraz kub-  
ków z ołówkami. Po prawej stronie zaś w idealnym szyku ułożone były na-  
rzędzia. Pilniki, śrubokręty, dłuta, młotki, po kilka sztuk w różnych rozmia-  
rach, wyglądały jak wojsko na apelu w równym szeregu czekające na roz-  
kazy.

Jakub brał kolejne przyrządy do ręki i zaraz je odkładał. Nie miał pomy-  
słu, czym mógłby się zająć, a dotykanie narzędzi zamiast jak zwykle przy-  
nosić ulgę, tylko bardziej go rozdrażniało.

Przeszedł przez składzik, w którym trzymali materiały, i po kilku scho-  
dach zszedł do sutereny. To tu mieściła się najstarsza część jego zabawkar-  
ni. Na samym początku wszystko tworzył właśnie w tym małym poko-  
iku z jednym wąskim oknem umieszczonym tuż pod sufitem i wnęką, która  
służyła za prowizoryczny magazyn. Pomiedzy dwiema ścianami zaklinował  
kilka desek i przez kolejne miesiące odkładał tam gotowe zabawki. W dni  
targowe jeszcze przed świtem pakował je, każdą z wielką ostrożnością za-  
winąwszy uprzednio w kawałek szmatki, do wielkiego kosza na drewno.  
Brał rozkładany stołeczek, skrzynkę, która miała posłużyć za ladę wystawo-  
wą, i szedł handlować. Tylko na tyle było go stać na początku. Nie mógł  
wówczas przypuszczać, że kiedyś jego interes zajmie cały parter kamienicy,  
gdzie urządzi pełen słońca i powietrza warsztat do pracy dla kilkunastu  
osób oraz wspaniały sklep z zabawkami dorównujący tym, jakie widywał

za granicą w Paryżu, Wiedniu czy Pradze. Nigdy nie zrezygnował jednak z wynajmu sutereny, a wreszcie odkupił to pomieszczenie od właściciela domu. Nie było mu potrzebne. O wiele praktyczniej, a co ważniejsze bezpieczniej, było mieć magazyn na tym samym poziomie co warsztat, mimo to nie potrafił wyobrazić sobie, że to miejsce, gdzie wszystko się zaczęło, mogłoby nie należeć do niego.

Modrzycki pociągnął za wiszący po prawej stronie od wejścia długi łańcuszek. Rozległo się pstryknięcie i tkwiąca pod sufitem żarówka zaalała całe pomieszczenie żółtawym światłem, bzyząc przy tym nieznacznie.

Na środku wciąż stał ten sam stół o blacie poznaczonym śladami jego pierwszych wprawek w robieniu zabawek z drewna. Popatrzył na swoje dłonie, na których widniały podobne rysy. Światło zaśniło na obrączce. Jakub ostrożnie zsunął ją z palca, włożył złoty krążek do kieszeni kamizelki i znów popatrzył na własne ręce. Z dłoni dało się odczytać całą historię jego życia. Proces nauki, próby i błędy w posługiwaniu się narzędziami, kilka ciemniejszych plamek i zmarszczki odzwierciedlające upływ czasu, blizna na palcu wskazującym – pozostałość po przygodzie na wsi, kiedy to ratował małą Krysię przed wyjątkowo natrętnym kogutem. Uśmiechnął się do tego wspomnienia, lecz zaraz zobaczył jeszcze jeden ślad. Biały krążek wokół serdecznego palca znaczący miejsce, w którym od tylu lat znajdowała się obrączka.

Natychmiast opuścił dłonie. Zabębnił palcami w blat. Na stole nie było narzędzi. Zamiast nich stał tu koszyk z jabłkami i duży drewniany chlebak, w którym zawsze znajdowało się coś do jedzenia.

Od początku Jakub dokładał wszelkich starań, by osobom, które zatrudniał, dobrze się wiodło. Wzorem Pinczewskich, których chciał naśladować w sposobie prowadzenia interesu, on też opłacał swoim czeladnikom i majstrom tak zwaną kasę chorych, by mogli korzystać z pomocy lekarskiej, bo o wypadki przy ich pracy nie było przecież trudno. Nigdy również nie odmówił nikomu doraźnego wsparcia finansowego, choć o to proszono go o wiele rzadziej, niżby sobie życzył. Problem polegał na tym, że mężczyźni, których zatrudniał, zwykle nie przyznawali się do swoich kłopotów. Byli na

to zbyt dumni. Niejednokrotnie zdarzało się więc, że Jakub wiedział o czyjejś biedzie, ale nie mógł pomóc, bo nie chciał upokarzać człowieka, niszczyć jego wiary we własne możliwości. Wiedział, jak wielką wagę miała dla tych ludzi godność. Sam przecież, choć tak wiele razy był głodny, nigdy nie ośmielił się powiedzieć o tym majstrowi czy nawet zwierzyć się rodzicom. Doskonale pamiętał tamten stan. Wolał ścisk w żołądku niż przyznanie się do porażki na drodze, którą uparcie kroczył.

– Nigdy nie dorównam Pinczewskim. – Pewnego dnia podzielił się swoją troską z Emilią. – Nie potrafię odczytywać potrzeb innych tak jak oni.

– Możesz zadbać przynajmniej o to, by nikt w twoim warsztacie nie był głodny – zasugerowała wówczas. – Ludzie nie lubią przyznawać się do biedy, a tym sposobem to nie będzie konieczne. Ktoś zje pozostawiony przez ciebie posiłek dla przyjemności, ktoś, żeby zaoszczędzić, ale ktoś inny być może także dlatego, że swój kawałek chleba i cebulę zostawił dzieciom, bo nie starcza mu do wypłaty. Nie pytaj, po prostu zaoferuj pracownikom jedzenie i niech każdy z niego skorzysta, jak potrzebuje.

To było tak proste rozwiązanie, że aż zachłysnął się z zachwytu.

„Dlaczego nic jej wówczas nie powiedziałem?”, pytał samego siebie, stając teraz w pustej kuchni i wpatrując się w pojemnik, do którego co rano wkładany był świeży chleb.

Pamiętał dobrze, jak pocałował Emilię i wybiegł z domu natychmiast zrealizować ów plan. „Dlaczego jej nie podziękowałem?”, zastanawiał się, choć przecież znał odpowiedź. Wierzył, że Emilia sama domyśliła się wszystkiego i zrozumiała jego zachowanie.

Jak zawsze...

„A może Korzeniowski miał rację?”, nieoczekiwanie Jakub przypomniał sobie rozmowę z przyjaciółmi podczas niedawnej partyjki wista. „Może gdyby nie ślub z Joanną, a po jej śmierci wżenienie się w rodzinę Emilii, niczego bym nie osiągnął? Może sam talent to jednak za mało, żeby jakoś zaznaczyć swoją obecność w świecie?”

Spróbował sobie przypomnieć, czy zna jakiegoś artystę pochodzącego z biednej rodziny, który zasłynął na cały świat mimo braku mecenasa. Po

chwili jednak porzucił te rozważania, bo nikt nie przychodził mu do głowy, a to wprowadziło go w jeszcze większe przygnębienie.

Aż dotąd bowiem wierzył, że pieniądze jego żon były tylko czymś w rodzaju oliwy, która dolana do ognia sprawia, że płomienie wznoszą się ku niebu, zachwycając swym blaskiem. Jednak w roli stosu drzewa stanowiącego główne źródło światła i ciepła widział swoją pracę i talent. Przywykł więc do myśli, że wszystko zawdzięcza samemu sobie.

„Myliłem się”, pomyślał teraz, opadając na stołek. „Tak bardzo się myliłem”.

To, czego jeszcze wczoraj był tak pewny, wydało mu się naraz iluzją i kłamstwem. Najwyraźniej jednak było to tylko złudzenie, którym karmił się przez lata. Nosił w sobie zafałszowany obraz samego siebie i własnych zasług.



## Rozdział 16

Następnego dnia po pracy Jakub wrócił do domu.

– Tatusiu! – krzyknął Juluś, wpadając mu w objęcia. – Ach, jak to dobrze, że już jesteś, tatusiu!

Modrzycki wziął chłopca na ręce i wtulił twarz w miękką, pachnącą mlekiem szyjkę. Z trudem udało mu się powstrzymać łzy.

– Dzień dobry, tatusiu – przywitała się Krysia i uśmiechnęła się do ojca.

Miała uśmiech swojej matki i jej błyszczące żywotnością oczy.

– Czy tatuś wiedział, że Henryk Sienkiewicz naprawdę polował na lwy w Afryce? – spytała dziewczynka i nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej: – Pani nauczycielka twierdzi wprawdzie, że nie wie, czy jakiegoś trafił, bo czym innym jest przecież polować, a czym innym upolować, ale ja myślę, że musiał trafić. Na zdjęciach, które nam pokazywała, pan Sienkiewicz ma strasznie długą strzelbę, więc chyba nie chybił, jak tatuś myśli?

– Lwy są groźne – szepnął ojcu do ucha Juluś.

– Zastanawiałam się też nad tym, co stało się potem z tym upolowanym lwem, o ile go trafili, rzecz jasna. Bo to przecież strasznie ciężkie zwierzę...

Krysia mówiła coś dalej w zapamiętaniu, ale Jakub nie słyszał już ani jednego słowa córki. Do salonu weszła bowiem Emilia. Wyglądała kwitnąco i radośnie. Serce zamarło w piersi Modrzyckiego. Sam nie wiedział, czego tak się bał. Oczekiwał ciosu. Tymczasem żona podeszła do niego i przywitała się z nim, markując cmoknięcie w policzek, choć jej wargi nie dotknęły jego skóry.

„Czy od dawna już całuje mnie tak, jakby uleciało z niej całe życie?”, pomyślał Jakub. „Może od dawna, tylko ja niczego nie zauważyłem”.

– Dzieci, myjcie prędko ręce – poleciała Emilia. – Zaraz siadamy do stołu.

Przepłynęła przez pokój i ani razu nie spojrzawszy na męża, zniknęła w drzwiach kuchni.

Z pozoru jego stosunki z żoną były takie same jak zawsze. A jednak teraz Modrzycki przyglądał się ich wspólnemu życiu jak człowiek niedowidzący, który po raz pierwszy wsunął na nos okulary. Wszystko stało się nagle ostre i wyraźne. Dopiero teraz Jakub dostrzegł, że nie przypominają już zakochaanej jak dawniej pary, a jedynie zębatki poruszające się w sprawnie działającej maszynie.

Pod koniec listopada był jeszcze bardziej zajęty niż zwykle. Niemal nie bywał w domu, nie widywał żony ani dzieci, posiłki jadał Pod Bażantem. Wolał unikać spotkania z Emilią, dopóki nie okiełzna emocji i nie będzie w stanie myśleć racjonalnie. Wtedy przyjdzie czas na podjęcie jakichś decyzji. Odkładał jednak ten moment, by nie musieć stanąć w prawdzie o niewesołej sytuacji, w której obecnie się znalazł. Dryfował więc przez kolejne godziny zlewające się w noc i dni pogrążony w dziwnym letargu.

W czwartek przedostatniego dnia listopada Jakub siedział w swoim kantorku w warsztacie, lecz zamiast tworzyć cokolwiek, beczynn timer patrzył w ścianę i wsłuchiwał się w odgłosy pracy innych, jakby nigdy wcześniej ich nie słyszał, gdy nagle ktoś zapukał do jego drzwi.

– Wejść – rzucił, prostując się na krześle, co przyszło mu z ogromnym wysiłkiem.

Odkąd dowiedział się o romansie żony, siły całkiem go opuściły, zniedołężniał duchowo i nijak nie mógł otrząsnąć się z tego stanu. Do warsztatu przychodził tylko dlatego, że tu łatwiej było mu się schować przed światem niż w domu, w którym dzieci, znalazłszy się w pobliżu ojca, natychmiast zasypywały go swoimi troskami i niestworzonymi opowieściami. Zwykle uwielbiał ich niewinną paplaninę, ale teraz i na to brakowało mu cierpliwości. Wolał więc unikać pociech niż zranić je nieopatrzonym słowem czy gestem jakimś okazując niechęć.

– Dzień dobry, panie kolego! – W drzwiach ukazała się senna twarz Rychłowskiego. – Nie przeszkadzam?

Modrzycki całą siłą woli zmusił się do uśmiechu, po czym wstał, aby przywitać się z przyjacielem.

– Co cię do mnie sprowadza? – zapytał po krótkiej wymianie grzeczności, która tak go zmęczyła, że ciężko opadł na fotel.

– Pomyślałem, że moglibyśmy wybrać się razem na obiad – rzekł Rychłowski, unikając wzroku Jakuba.

Modrzycki od razu odgadł, że nie jest to przypadkowa wizyta. Znali się wystarczająco długo, by Adam miał rozeznanie w zwyczajach przyjaciela i wiedział, że ten zwykł obiady jadać w samotności.

– Wybacz, mój drogi, ale jestem dziś wyjątkowo zajęty – odparł. – Mogę ci jednak zaproponować kawę, gdyż właśnie przyniesiono mi świeży dzbanek.

To rzekłszy, wskazał Rychłowskiemu fotel po przeciwległej stronie biurka.

– Nie przyszedłeś wczoraj na wista – wypalił Adam.

Jakub całkiem zapomniał o tym, by uprzedzić kolegów o swojej nieobecności. Od blisko dwudziestu lat ściśle przestrzegali tej zasady, bo nieobecność jednego uniemożliwiała grę wszystkim pozostałym. Gdy któryś z nich planował podróż lub zaniemógł, zaraz posyłał wiadomość reszcie, by mogli doprosić kogoś na partyjkę.

– Nie przyszedłem – potwierdził Jakub, gorączkowo szukając w głowie jakiegoś wytłumaczenia. – Zbliżają się święta... – zaczął, ale w oczach Adama natychmiast dostrzegł, że ta wymówka na nic się nie zda. Święta wypadały co roku o tej samej porze i niezmiennie od dwóch dekad Jakub miał w tym czasie mnóstwo pracy, a jednak pojawiał się na wiście. – Nie chciałem zepsuć wam wieczoru – dodał nieco ciszej.

– Co się dzieje, Jakubie? – spytał Rychłowski.

Modrzycki zapragnął nagle zwierzyć się ze wszystkiego przyjacielowi, ale nie wiedział, jakich ma użyć słów. Zalała go fala wstydu, a mimo to czuł, że potrzebuje tej rozmowy. Wstał więc, podszedł do kredensu i wyciągnął zeń butelkę portera i dwa niskie kieliszki. Odkorkował, nalał Adamo-

wi i sobie. Wychylił swoją porcję jednym haustem, dolał jeszcze i dopiero wtedy znów usiadł. Rychłowski czekał, przyglądając mu się w zamyśleniu.

– Co byś zrobił, gdyby... – rzekł Jakub, uważnie dobierając słowa. – Gdybyś wiedział, że Klementynka przestała cię kochać?

Adam, który w międzyczasie także sięgnął po kieliszek, dostał ataku kaszlu. Zrobił się czerwony na twarzy i dłuższą chwilę nie mógł złapać tchu.

– O czym ty mówisz, Jakubie? Skąd to przypuszczenie? – spytał wreszcie, a w jego głosie był taki lęk, że Jakub odgadł natychmiast, iż został źle zrozumiany. – Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

– Nie, nie, nie! – Modrzycki zamachał rękoma. – Chodziło mi o hipotetyczną sytuację – uspokoił czym prędzej przyjaciela.

– W której Klementynka przestałaby mnie kochać? – upewnił się Adam, jednocześnie wyciągając z kieszeni złożoną na czworo chustkę i ocierając nią kropelki potu z czoła.

Jakub skinął głową.

– Pytanie, czy kochała kiedyś? – zapytał po dłuższej chwili milczenia Rychłowski i pociągnął łyk wina z kielicha.

Przełknąwszy je, uśmiechnął się mimowolnie, choć omawiana sytuacja do zabawnych w żadnym razie nie należała. Wino było jednak znakomite, a jako wielki smakosz nie zdołał powstrzymać uśmiechu ani westchnienia zadowolenia, które nastąpiło zaraz potem. Nie mógł też ukrywać przed sobą, że ulga, jakiej doznał, dowiedziawszy się, że jego małżeństwu z Klementynką nic nie grozi, wprawiła go w błogostan. Jeśli bowiem Rychłowski miałby wymienić jedną jedyną osobę lub rzecz, bez której nie wyobrażał sobie życia, byłaby to bez wątpienia jego żona. W przeciwieństwie do Jakuba Adam cenił swoją pracę, ale nigdy, przenigdy nie była ona dlań ważniejsza od żony. Na myśl o Klementynce znów się uśmiechnął i zaraz rzucił Jakubowi spłoszone spojrzenie, chcąc sprawdzić, czy aby nie uraził go swoim zachowaniem, ale tamten pogrążony był w zadumie tak głębokiej, że niczego nie zauważył.

– Kochała – rzekł w końcu Modrzycki, wciąż wpatrując się w światło świecy odbite w szkarłatnej tafli wewnątrz kieliszka.

Ton jego głosu był stanowczy, bo jeśli czegoś na tym świecie był pewny, to właśnie tej miłości, która przed laty połączyła go z Emilią. Cokolwiek wydarzyło się w ostatnim czasie, cokolwiek jeszcze miało się zdarzyć, nie było w stanie odebrać im tego absolutnego szczęścia z przeszłości.

– A to się znakomicie składa, mój drogi! – ucieszył się szczerze Rychłowski, którego wyśmienite wino zawsze wprawiało w dobry nastrój. – Znakomicie!

– O czym ty mówisz? – Jakub niewiele rozumiał z zagadkowych słów przyjaciela i po prawdzie poczuł się nagle nieco zniecierpliwiony. Znalazł się w kłopotcie i potrzebował rady, konkretnej, precyzyjnej, a nie jakichś zawołowanych sugestii.

– Gdyby nie kochała nigdy, to byłby prawdziwy problem – pośpieszył z wyjaśnieniami Rychłowski, który był dobrym obserwatorem, a i Modrzyckiego znał nie od dziś. Wiedział więc, że mars nieco ponad brwiami przecinający czoło przyjaciela jest oznaką początku utraty cierpliwości, a co za tym idzie – znakiem sugerującym zakończenie pogawędek i przejście do konkretów. – Z pustego i Salomon nie należy, nieprawdaż?

– Prawdaż, prawdaż – potwierdził Jakub nagłym tonem. – I co z tego?

– Jeśliś pewny, że kiedyś kochała, sprawa jest całkiem prosta – stwierdził Rychłowski.

– Prosta?! – wykrzyknął Modrzycki, szeroko otwierając oczy ze zdumienia.

Adam skinął głową i upiwszy kolejny łyk wina, cmoknął z zadowoleniem.

– A dokładnie w jakim aspekcie? – spróbował dowiedzieć się Jakub, który w perypetiach małżeńskich nie dostrzegał obecnie żadnej prostoty.

– Niekiedy w pędzie życia ludzie zapominają o różnych sprawach, ale wystarczy przypomnieć im o tym, co mieli do załatwienia, i po problemie.

– Adamie... – jęknął Modrzycki. – Przypomnieć można o zaległej dostawie, sprawunkach, konieczności oddania surduta do krawca.

– I o uczuciu też – upierał się Rychłowski. – Nieraz Klementynka opowiadała mi o ludziach, którzy pojęli, jak drogie były im ich żony czy matki, dopiero wtedy, gdy te leżały już na marach.

Jakub wspomniał mimowolnie swego ojca klęczącego przy trumnie matki i musiał przyznać, że w słowach Adama kryło się dużo prawdy.

– O miłości też czasem trzeba sobie czy innym przypomnieć.

– Tylko jak? – spytał bezbronnym tonem Jakub. – Jak mam to zrobić?

Adam umilkł zdjęty współczuciem dla przyjaciela. Od początku podejrzewał, że chodzi o Emilię. Od dawna już obserwowali z Klementynką, jak tych dwoje niegdyś tak sobie bliskich ludzi oddala się od siebie, wcale tego nie zauważając. Nie sprzeczekali się, nie obrażali się na siebie, nie kłócili o drobnostki, pozornie nie działo się nic złego, ale Rychłowscy, będący przy nich od początku, od chwili, gdy się poznali, widzieli kolejne drobne kroki, które wiodły Emilię i Jakuba w różnych kierunkach. Adam już kilka razy miał ochotę rozmówić się w tym temacie z Jakubem, ale Klementynka surowo mu tego zabraniała.

– Do cudzego małżeństwa nie wolno się wtrącać, o ile oczywiście nie dzieje się coś złego – mówiła, a Adam w duchu przyznawał jej rację.

Odchrząknął zmieszany.

– Zrób to, co umiesz najlepiej – odparł, zaglądając do opróżnionego już kieliszka. Z chęcią poprosiłby o jeszcze jedną butelkę wina, ale ów irytujący głos rozsądku, który potrafił zepsuć najlepszą nawet zabawę, podpowiadał mu, że Klementynka nie byłaby zadowolona, gdyby na koncert do filharmonii przybył bez fraka, za to chwiejnym krokiem.

– Czyli? – dopytywał dalej Modrzycki, który czuł wyraźnie, że zdradził się ze swoją tajemnicą, i teraz usiłował przykryć jakoś to złe wrażenie, siłąc się na żartobliwy ton. – Za dużo tych zagadek jak na jedno popołudnie, mój drogi Adamie.

– Pomyśl o tym, co wychodzi ci zawsze, niekiedy nawet zaskakująco dobrze dla ciebie samego... – mówił Rychłowski, nic sobie nie robiąc z ponaglen przyjaciele.

– Zabawki to jedyne... – zaczął Jakub, ale Adam natychmiast wszedł mu w słowo, a dokładniej najprzód klasnął w dłoń.

– *Voilà!* Masz pan odpowiedź!

– Uważasz, że zabawką można odzyskać czyjąś miłość? – powtórzył Modrzycki, któremu ta myśl wypowiedziana na głos wydała się jeszcze bardziej niedorzeczną.

Rychłowski przytaknął.

– Wino pomieszało ci w głowie – burknął Jakub i jednym haustem wypił zawartość wciąż pełnego kieliszka. – Dobrze, żeś inżynier, a nie prorok czy inny sztukmistrz, bo za takie wróżby nikt nie dałby ci ani grosza.

Rychłowski uśmiechnął się chytrze.

– Zwykle szaleńcami nazywają tych, którzy widzą szerszą perspektywę. Uszy do góry, jeszcze nie wszystko stracone.

Modrzycki oparł łokcie na stole i podparł czoło dłońmi. Zaczął podejrzewać, że Adam domyślił się wszystkiego i teraz naigrawa się z niego, czemu po prawdzie nie bardzo się dziwił. W końcu on sam także nieraz dworował sobie z kolegów, którym małżonki przyprawiły rogi. Nie przypuszczał tylko wówczas, że pewnego dnia i jego może to spotkać. Z tego wszystkiego całkiem stracił humor.

Rychłowski chciał mówić z nim jeszcze, ale Jakub nie miał już na to ochoty. Pożegnał się prędko, tłumacząc się koniecznością odebrania przesyłki z poczty, a gdy wyszli na ulicę, czym prędzej ruszył w przeciwnym kierunku niż ten, w którym zamierzał udać się Adam.

Na zewnątrz wiało. Tak silny wiatr o tej porze roku bez wątplenia zapowiadał srogą zimą, surowe chłody, a także śnieg i lód topniejące za dnia, by nocą ścisnąć w dwójnasób. Jeszcze kilka dni wcześniej wszyscy cieszyli się z pierwszego śniegu, lecz zaraz będą narzekali na śliskie chodniki, dziwne odgłosy wydawane przez pędzące ulicami ogumione sanie, niedostatek jaj

czy węgla, nade wszystko zaś na panujące wokół niskie temperatury. Fakt, słoneczne dni, podczas których śnieg skrzył się złościście, zdarzały się nader rzadko. Modrzycki postawił kołnierz. Zerknął przy tym w górę na szare płatki śniegu miotane wiatrem i poczuł się tak, jakby sam był jednym z nich.



## Rozdział 17

Wracając do domu późną nocą (nabrał takiego zwyczaju, chcąc mieć pewność, że gdy się zjawi, wszyscy będą już spali), mimowolnie począł rozważać słowa przyjaciela. Powinien je zignorować, tymczasem wciąż tłukły mu się po głowie niczym drobna śrubka czy opiłek, które wpadły do wnętrza gotowego już pudełka lub klocka. Nie uniemożliwiały korzystania z zabawki, a jednak przy każdym poruszeniu przypominały o swojej obecności.

Jakub leżał w łóżku i wpatrując się w tańczące na suficie cienie, rozważał to, co powiedział mu Rychłowski. Jeśli nie chciał stracić Emilii i miał pewność, że kiedyś go kochała, powinien schować dumę do kieszeni, zatrzaskać zranione uczucia gdzieś na dnie serca i za wszelką cenę spróbować odzyskać żonę.

Nie wątpił, że ją kocha. Ani przez chwilę nie stracił wiary we własne uczucia. Dlatego tak cierpiał, dlatego nie mógł żyć jak dawniej, dlatego to wszystko tyle go kosztowało i odbierało sens codzienności. Kochał Emilię. Wiedział, że byłby gotów jej wybaczyć, gdyby ona tego chciała. Odnależłby znów wspólną ścieżkę, jednak najpierw żona musiałaby uwierzyć w to równie mocno jak on.

„Tylko jak to zrobić?”, zapytywał sam siebie.

Pomysł z niezwykłym prezentem nie wydawał mu się dobry, ale innego nie miał. Uchwycił się więc tej myśli, licząc, że dokąds go doprowadzi. Nie wiedział, w jaki sposób choćby najpiękniejszy nawet podarek miałby przekonać Emilię, by do niego wróciła. Czy nie powinien najpierw rozmówić się z nią? Spróbować odkryć, co zaszło pomiędzy nimi i jak to się stało, że on sam niczego nie zauważył?

Myśli znów zaczęły kłębić mu się w głowie, zbijając się w gradową chmurę. Jakub odsunął kołdrę i postanowił sprzątnąć biurko. Porządkowa-

nie swoich rzeczy zwykle pozwalało mu uspokoić nerwy, zupełnie jakby odkładanie przedmiotów na miejsce w tajemniczy sposób układało we właściwym szyku jego własne myśli. Poza tym przed rozpoczęciem każdego nowego projektu umieszczał na blacie duży arkusz czystego papieru i ostrzył ołówki, robiąc w ten sposób przestrzeń do wylania lęgnących się w jego umyśle pomysłów.

Przy okazji znalazł wytartą od wielokrotnego składania rozpiskę ćwiczeń wioślarskich sprzed kilku sezonów. Już miał ją wyrzucić, gdy nagle w jego głowie zakiełkowała pewna myśl. Skoro do osiągnięcia zamierzonych efektów gimnastycznych potrzebne są ćwiczenia, może podobną regułę da się przyłożyć i do stosunków międzyludzkich.

„Być może to właśnie zaniedbałem”, pomyślał.

Zaraz też zaczął zastanawiać się, co mógłby zrobić, żeby poprawić relacje z żoną.

Za chwilę zaczynał się adwent. Nieuchronnie zbliżały się święta, a Jakub nie potrafił wyobrazić sobie, jak miałyby stanąć naprzeciwko Emilii i przełamać się z nią opłatkiem, wiedząc, że ta go zdradza. Kłamstwo postawiło pomiędzy nimi barierę nie do ominięcia. Naderwane zaufanie sprawiało mu niemal fizyczny ból, a mimo to nie potrafił znienawidzić żony, porzucić jej. Nie potrafił nawet wyobrazić sobie dalszego życia bez niej. Na samą myśl o tym ogarniał go trudny do zniesienia smutek. Wciąż ją kochał, tak bardzo ją kochał... Popatrzył na jej fotografię, którą trzymał na biurku w srebrnej ramce, na skrzące się humorem oczy i uśmiech czający się w kącikach ust, i mimo wszystkich straszliwych obrazów zdrady, które podsuwała mu wyobraźnia, nie potrafił przestać myśleć czule o żonie. Nie umiał jej potępić. Czuł, że powinien najpierw spróbować zrozumieć to, co się wydarzyło, zanim podejmie jakiegokolwiek ostateczne decyzje.

Najprościej byłoby porozmawiać z Emilią, ale zupełnie nie wiedział, jak miałyby to zrobić. Zagajanie rozmów na ważne tematy zawsze przychodziło mu z trudem. Od dziecka szukał dróg wyrażenia swoich uczuć i myśli w jakiś inny sposób, tak by jego intencje były wiadome, a wymiana zdań została mu oszczędzona. Być może nauczył się tego od ojca, który każdą próbę

rozmowy, szczególnie na niewygodne dla niego tematy, zbywał żartem lub udawanym niezrozumieniem.

Rychłowski mówił o wspaniałym prezencie, który przypomniałby Emilii o uczuciu niegdyś łączącym ją z mężem... Nagle w głowie Jakuba pojawił się pomysł.

– Kalendarz adwentowy! – wykrzyknął i aż zakrył sobie dłonią usta.

Nasłuchiwał przez chwilę, czy dzieci się nie zbudzą, Helenka nie wyskoczy ze swojej służbówki, Emilia...

Nie, Emilia nie zareagowała. Wciąż przecież nie było jej w domu. Jeszcze nie wróciła od tamtego. Ponure myśli znów zaczęły się przeciskać w głąb jego duszy, ale Jakub odegnał je całą siłą woli, chwytając się pomysłu, który właśnie zakiełkował w jego głowie. Musiał skupić się na tym, by nie dać ponieść się emocjom, a zwłaszcza tej najgłośniejszej, rozpierającej go wściekłości zaprawionej rozpaczą.

– Kalendarz adwentowy – rzekł raz jeszcze o wiele ciszej.

Zerwał się z fotela i podszedł do biblioteczki. Na jednej z półek leżały teczki, w których przechowywał starannie posegregowane katalogi różnych firm zabawkarskich i domów towarowych przysyłane mu z wielu zakątków świata. W innej znajdowały się ulotki reklamujące różne zabawki i maszyny. Czasem przeglądał to wszystko, szukając źródła inspiracji albo po prostu dla przyjemności, bo po latach pracy zabawki nadal stanowiły jego pasję i lubił mieć rozeznanie na rynku.

Po chwili szukania odnalazł właściwą broszurę i zasiadłszy w fotelu, oddał się lekturze. Było to niewielkie opracowanie pewnego niemieckiego fabrykanta wyrobów celulozowych, od którego Jakub zamawiał przed laty korpusy dla lalek z *papier mâché*. Na okładce nieco w tle widniała pięknie przystrojona choinka. Bliżej dwoje dzieci spoglądało z zachwytem na stojący pomiędzy nimi domek z dwudziestoma trzema okienkami, z których każde opatrzone było liczbą wypisaną elegancką czcionką. Numerem dwudziestym czwartym na samym środku budynekczku oznaczono duże, wąskie drzwi z zawieszonym na nich wieńcem z jedliny z czerwoną kokardą.

„Traditionelle Adventskalender” – głosił tytuł. Wewnątrz opisano historię protestanckiego zwyczaju ułatwiającego wypełnianie nakazu, by w grudniu czuwać i modlić się każdego dnia, oczekując świąt Bożego Narodzenia. Dawniej, podobnie jak Żydzi w czasie Chanuki, protestanci codziennie zapalali kolejną z dwudziestu czterech świeczek albo rysowali na drzwiach domu dwadzieścia cztery kreski i co dzień skreślali jedną. W niektórych rodzinach na świecy robiono dwadzieścia cztery nacięcia i co wieczór palono ją dokładnie tyle czasu, by stopił się воск pomiędzy kolejnymi kreskami. To pozwalało podtrzymać atmosferę oczekiwania i przypominać sobie przy każdej okazji o nakazie jeszcze większej gorliwości w modlitwie.

W domach polskich katolickich chłopów niekiedy na początku adwentu ustawiano w izbach mały żłóbek i przez cały przedświąteczny okres codziennie wkładano doń po jednym źdźble słomy dla mającego się urodzić Jezuska.

Pierwszy drukowany kalendarz adwentowy powstał w 1902 roku w Hamburgu, choć w zasadzie nie był on kalendarzem, tylko cyferblatem z liczbami od 13 do 24. Rok później w Monachium stworzono plakat do powieszenia na ścianie i arkusz z dwudziestoma czterema świętymi obrazkami, które należało codziennie wyciąć i nakleić na plakat.

Kalendarz z drzwiczkami skrywającymi niespodzianki zaprojektował niemiecki drukarz Gerhard Lang. Legenda głosi, że pomysł ten wzięł od swojej mamy, która, gdy był dzieckiem i wyjątkowo niecierpliwie czekał na święta, przyczepiała mu do kartonu dwadzieścia cztery herbatniki i w grudniu codziennie aż do Wigilii po modlitwie mógł zjeść jeden. Gdy dorósł, zaprojektował specjalne pudełko z okienkami, w których można było schować słodycze, by osłodzić najmłodszym oczekiwanie na pierwszą gwiazdkę.

Całość „Traditionelle Adventskalender” opatrzona była stosownymi grafikami, a na końcowych stronach broszury znajdowały się specyfikacje do zamówień drukowanych kalendarzy adwentowych. Była tam też oferta dla producentów pomadek, cukierków i czekolad dająca im możliwość zamó-

wienia papierowego pudełka z dwudziestoma czterema okienkami, które można było dowolnie wypełnić zawartością.

Modrzycki czytał tak dobrze znane sobie treści, a w jego głowie klarował się pewien zamysł. Już jakiś czas temu rozważał wprowadzenie do sprzedaży kalendarza adwentowego wypełnionego małymi zabawkami. Kilka lat wcześniej zrobił nawet prototyp takiego projektu. Inspirowany był ilustracją na okładce owej niemieckiej broszurki, a poza tym Jakub uwielbiał domki dla lalek, dlatego też jego kalendarz przybrał kształt domu. Jediną zmianą było to, że wigilijny upominek, jako ten największy i najważniejszy, miał zajmować cały trójkąt poddasza, a w podłużnych drzwiach znajdowało się miejsce na odrobinę tylko mniejszy od niego podarek mikołajkowy.

Co roku Modrzycki obiecywał sobie, że dokończy ten domek, lecz jak dotąd mu się to nie udało. Szkielet drewnianej konstrukcji z małutkimi drzwiami leżał w kącie magazynu i czekał na lepszy czas.

Teraz wystarczyło tylko nieco go odkurzyć, pomalować i co najważniejsze wymyślić, czym go zapełnić, jeśli ta szalona koncepcja miała mieć najmniejsze choćby szanse na powodzenie. Wszystko to wydawało się niedorzeczne i dziecinne, a jednocześnie było wszystkim, co miał.

Jakub sięgnął po notes i powoli zaczął zapisywać pomysły.

Miał dwadzieścia cztery dni, by przypomnieć Emilii o tym, co kiedyś ich łączyło.

Dwadzieścia cztery dni, by odbudować dom, który chwiał się w posadach, bo oboje pozwolili podgnić fundamentom.

Dwadzieścia cztery dni, by zrozumieć, czego tak naprawdę sam pragnie.

Wreszcie zmęczony zasnął w fotelu, przyciskając broszurę do piersi, jakby zawierała magiczną recepturę lub zaklęcie pozwalające odmienić bieg zdarzeń, pomóc mu uratować to, co miał najcenniejszego i czego, jak mu się do niedawna zdawało, nigdy nie utraci.

GRUDZIEŃ  
1934 ROK

# Rozdział 1

Pierwszego grudnia Jakub usłyszał najpierw dudnienie w korytarzu. Od dawna już nie spał. Został dziś w domu wbrew swoim ostatnim zwyczajom, zgodnie z którymi zwykł wstawać wcześnie, wypijać w szlafroku filiżankę kawy, czytając gazetę, po czym ubierać się i zaglądać na śniadanie do jednej z licznych kawiarni znajdujących się na jego drodze do pracy.

Tego ranka leżał w łóżku o wiele dłużej niż zwykle. W nocy już w sypialni sprawdził raz jeszcze, czy wszystko działa, naoliwił miniaturowe zawiasy w zabawce i trybiki ukrytego w środku mechanizmu zegarowego. Na pomysł umieszczenia go wewnątrz kalendarza wpadł dosłownie w ostatniej chwili i był niemal pewien, że nie uda mu się tak prędko połączyć wszystkich okienek, poza tym wigilijnym, w całość, lecz jego ręce znów dokonały niemożliwego.

Ostrożnie zaniósł gotowy kalendarz adwentowy do salonu. Ustawił go na przykrytym koronkową serwetą niskim kredensie, gdzie trzymano srebra oraz świąteczną zastawę, tuż obok lampy, którą w grudniu Helena zapalała zaraz po przebudzeniu, jeszcze przed udaniem się do piwnicy po węgiel. Jakub był pewien, że ciepłe migotliwe światło doda jeszcze uroku jego dziełu. Planował z ukrycia prześledzić reakcje rodziny, nim zażądają od niego szczegółowych wyjaśnień.

Wrażenie musiało być spore, skoro Krysia natychmiast zawróciła biegiem do dziecięcej sypialni.

– Juluś! Juluś, chodź prędko! – Po chwili do jego uszu dobiegł cieniutki szczebiot córki.

Krysia starała się zachowywać cicho. Skończyła niedawno osiem lat i Emilia coraz częściej przypominała jej, że nie jest już dzieckiem, a młodą panią, i że powinna zacząć nieco bardziej troszczyć się o swoje manieri.

Jakub z trudem ukrył uśmiech, gdy po pierwszej takiej rozmowie następnego ranka Krysia wkroczyła do jadalni z poważną miną, wyprostowana jak struna, wdzięcznie skłoniła się rodzicom na powitanie, po czym zajęła wyznaczone jej miejsce.

– A tobie co się stało? – spytał zaraz Julek, przyglądając się siostrze podejrzliwie.

Jakub prychnął i niechybnie zakrztusiłby się bułką, gdyby nie karcący wzrok Emilii. Od tamtej pory Krysia na zmianę to pamiętała o tym, że ma zachowywać się jak młoda dama, to znów jej dziecięca natura brała górę. Te ostatnie chwile najczęściej zdarzały się w obecności młodszego brata, który był jej ulubionym kompanem zabaw. Krysia bowiem uwielbiała wydawać polecenia i dyrygować innymi, a z natury łagodny Juluś w przeciwieństwie do koleżanek, które miały podobne do Krysi upodobania, chętnie nagiął swą wolę wedle jej życzenia.

Teraz także starała się pogodzić w sobie dziką dziecięcą pasję i powoli wtłaczane jej do głowy zasady wychowania młodych panienek. Najwyraźniej jednak nieokiełznana część jej natury zwyciężyła.

– Juluś! – krzyknęła, a przeciągłe skrzypnięcie sprężyn odpowiedziało Modrzyckiemu, że dziewczynka zapewne wskoczyła na łóżko brata, postanawiając siłą go obudzić. W pewnych kwestiach była wyjątkowo zasadnicza, całkiem jak jej matka. – Juluś, wstawajże wreszcie!

– Co się stało, Krysiu? – Zza ściany dało się słyszeć zaspany głos Juliana.

– Musisz natychmiast pójść ze mną! – zawyrokowała dziewczynka.

– Idę, idę, nie ciągnij – jęknął Julek, najwyraźniej potraktowany przez siostrę nieco zbyt bezceremonialnie.

– Przyspiesz kroku, to przestanę – poradziła mu bez cienia współczucia.

Dwie pary małych bamboszy zatupotały pod drzwiami sypialni ojca.

– Ojej! – Po chwili z salonu dobiegło głośne westchnienie zachwytu.

– Widzisz – powiedziała Krysia. – Mówiłam ci, że warto wstać.



– Wcale nie mówiłaś – uściślił prostoduszny Juluś, którego czujności nie mógł uśpić nawet szczerzy zachwyt.

Jakub gotów był przysiąc, że w tej chwili Krysia przewróciła oczami i założyła ręce na piersi.

– Głupiś i tyle – warknęła, ale zaraz dodała pojednawczo: – Piękne, prawda?

– Mhm – przytaknął chłopczyk. – Ale... co to właściwie jest?

– Nie mam pojęcia – odparła szczerze Krysia. – Pewnie jakiś nowy wynalazek papy.

– Czyli to zabawka? – dopytywał brat.

– Oczywiście.

– A jak się tym bawi, Kysiu? Pokaż mi zaraz.

– Przecież mówię, że nie wiem – burknęła zniecierpliwiona dziewczynka. – Trzeba czekać, aż papa się obudzi.

– Ale da nam się pobawić, prawda? – chciał mieć pewność chłopiec.

– A bo ja wiem? Może to jakieś specjalne zamówienie dla kogoś bardzo, bardzo bogatego – snuła domysły jego siostra.

– Dla carewicza?

– E, tam. Dla Moskali papa by się tak nie starał – odpowiedziała z mocą Krysia, a przysłuchujący się rozmowie Jakub zachichotał, bo nagle przyszło mu do głowy, że w przyszłości jakiś mężczyzna nie będzie miał z jego córką łatwego życia.

„Chyba że Krysia pokocha go ponad wszystko”, stwierdził zaraz.

– Prędzej dla jakiegoś małego hrabiego, ordynackiego wnuka albo baronówny – zgadywała mała.

– Ile okienek! – zachwycił się Julek. – A każde inne.

Jakub uśmiechnął się szerzej na wspomnienie godzin spędzonych na malowaniu widoków w małych okienkach. Ponieważ było to bodaj najważniejsze zadanie jego życia, postarał się jak nigdy. W każdej malutkiej ra-

mie okiennej opowiedziana była jakaś historia. Teraz wiedział już, że jego wysiłki się opłaciły.

– Tylko nie waż się niczego dotknąć! – upomniała go siostra. – Jeszcze coś zniszczysz albo pobrudzisz.

– Niczego nie będę ruszał – obiecał chłopiec.

– Dużo tych okienek. A na każdym inny rysunek – westchnęła zadowolona Krysia. – Można by oglądać i oglądać bez końca.

– Jeden, dwa, trzy... – liczył w skupieniu chłopczyk. – Dwadzieścia cztery! Są dwadzieścia cztery okienka!

– Tyle samo dni zostało do Wigilii – zauważyła rezolutnie dziewczynka. – O, wszystko się zgadza. Popatrz, Julusiu, okienko wigilijne jest szczególne, jak cały ten dzień.

Pierwszy punkt planu Jakuba udał się znakomicie. Był pewien, że dzieci zdążyły się już zachwycić tajemniczym przedmiotem i teraz dosłownie umierają z ciekawości, którą ich ojciec umiejętnie podsycił.

– A cóż to się tutaj wyprawia? – nagle usłyszał głos Emilii.

Modrzycki poczuł ucisk w żołądku i całe zadowolenie wyparowało zeń w jednej chwili. A jeśli ten plan jest jedną wielką nedorzecznnością? Jeśli wszystko już jest stracone, a jedyne, co może zyskać, to utratę resztek godności? Strach podsuwał mu coraz to nowsze wątpliwości, tak że Jakub z trudem opanował chęć zerwania się z łóżka, pognania do salonu i wrzucenia kalendarza adwentowego do kominka.

Byłby to zrobił, gdyby nie fakt, że nic innego nie przyszło mu do głowy, a beczynne czekanie, aż Emilia go opuści, nie wchodziło w rachubę. Musiał przynajmniej spróbować stanąć w szranki z posiadaczem wspaniałego powozu, lubiącym słodczy z cukierni, a że nigdy się nie pojedynkował, wykorzystał do tej nierównej walki jedyną dostępną sobie broń: potęgę wyobraźni.

– Ona musi mi wystarczyć – szepnął do siebie przez zaciśnięte zęby, wzuł ranne pantofle i sięgnął po szlafrok.

Słyszał głosy rozentuzjasmowanych dzieci, jedno przez drugie dzielących się z matką wrażeniami i zachwytem nad niezwykłą zabawką. Jakub wiedział, że maluchy są mocno zaintrygowane, liczył więc, że ich przejęcie udzieli się też Emilii, jemu samemu dając pewną pulę punktów początkowych.

– Papa! – wykrzyknęła Krysia, gdy tylko stanął w progu pokoju. Zaraz też przypadła do ojca i pociągnęła go za rękę w stronę komody, na której stał kalendarz. – Czekaliśmy na ciebie! Ach, ileż można spać! Co to za чудо? Niech nam papa wszystko zaraz opowie, tak ładnie prosimy.

– Prosimy! – zawtórował jej Julek, ani na moment nie odrywając wzroku od zabawki.

Jakub dał się prowadzić córce. Kątem oka dostrzegł, że na ustach Emilii, ostatnio zawsze tak poważnej i spiętej w jego obecności, zagościł teraz łagodny uśmiech. Postanowił wziąć to za dobry omen.

– To, moi mili, jest kalendarz adwentowy – oznajmił wesoło, z trudem powstrzymując odruch nakazujący mu raz po raz zerkać na żonę. Jeśli jego plan miał mieć jakiegokolwiek szanse powodzenia, powinien skupić się teraz na dzieciach. Był pewien, że Emilia nie zdoła znaleźć wymówki, jeśli Juluś z Krysią podchwycą jego zamiar.

– Kalendarz adwentowy? – spytała dziewczynka, popatrując to na zabawkę, to na ojca. – A co to takiego?

– Coś jakby liczydło, tyle że pomaga odliczać dni pozostałe do świąt Bożego Narodzenia – pospieszył z wyjaśnieniami. – Od dawien dawna ludzie szukali sposobu, by jakoś szczególnie celebrować ten czas oczekiwania. Niegdyś w protestanckich rodzinach zapalano codziennie po jednej świecy lub znaczone drzwi kredą, po jednej kresce na każdy kolejny dzień adwentu.

– Stąd dwadzieścia cztery okienka! – wykrzyknęła natychmiast Krysia. – Od razu zgadłam! Dwudziestego czwartego grudnia jest przecież Wigilia, ostatni dzień przed Bożym Narodzeniem!

Jakub położył dłoń na jasnej główce córki i pogładził jej cieniutkie i delikatne jak ptasi puch włosy.

– Wszystko zgadłaś! – pochwalił dziewczynkę i podjął opowieść, którą wyczytał w niemieckiej broszurce. – W Polsce podczas adwentu niekiedy wkładano po jednym źdźble słomy do szopki.

– To ja już wolę świece – stwierdziła Krysia. – Są bardziej uroczyste.

– Z czasem, zamiast ustawiać świece, zaczęto rozwieszać w domu sznurki i przyczepiano doń dwadzieścia cztery woreczki z małymi niespodziankami – ciągnął Modrzycki.

– Tutaj też są jakieś niespodzianki? – zainteresował się Julek, ale Jakub uśmiechnął się, że nie usłyszał jego pytania.

– Wreszcie, nie tak znowu dawno, pewien drukarz zaprojektował specjalne pudełko ze słodyczami. Za każdym z dwudziestu czterech okienek kryła się czekoladka w sreberku.

Z piersi dzieci jednocześnie wydobyło się pełne tęsknoty westchnienie.

– Pewnie z migdałami... – rozmarzył się Juluś. – Albo z marcepanem.

– To prawie to samo – przypomniała mu Krysia.

– Ja po raz pierwszy widziałem coś podobnego, gdy terminowałem w Bielawie u samego...

– Hansa Gibnera – dopowiedziały chórem dzieci, które po wielokroć słuchały opowieści o tym, jak ich ojciec był przed laty czeladnikiem u słynnego niemieckiego zabawkarza.

– Jak wy dobrze wszystko wiecie! – zaśmiał się Jakub. – Skoro tak, nic tu po mnie.

– Ależ papo! – krzyknęła Krysia. – Przecież my nadal nie wiemy, jak to działa!

Modrzycki sięgnął po kalendarz. Słyszał, jak dzieci wstrzymują oddech, gdy podniósł go do góry i przeniósł na zastawiony do śniadania stół. Zawahał się przez chwilę, nie wiedząc, czy Emilia nie złaje go za stawianie zabawki na czystym obrusie, ale nic takiego się nie wydarzyło.

– Spójrzcie. – Pokazał maluchom tył zabawki. – Poznajecie?

– To takie... – zacukał się Juluś. – Takie jak w zegarze.

– Dokładnie – rzekł Modrzycki i popatrzył na syna z uznaniem, tak że chłopiec pokraśniał aż do nasady włosów. – I działa podobnie jak zegar. O odpowiedniej godzinie trzeba nakręcić mechanizm, a wtedy... – zawiesił teatralnie głos.

– Tak? – jęknęła Krysia.

– Otworzą się kolejne skrywające tajemnice okienka.

– Pokaż nam, papo! – zaczęli błagać jedno przez drugie. – Choć raz!

Jakub pokręcił głową.

– Nie mogę – rzekł stanowczo, starając się nie uśmiechnąć, kiedy spoglądał na rozżalone miny dzieci. – Każde okienko otwiera się tylko jeden jedyny raz, gdy przyjdzie na nie kolej.

– A dla kogo ta zabawka? – spytała Krysia po chwili ciężkiego, przesączonego dziecięcym rozczarowaniem milczenia.

– Dla kogoś bardzo ważnego – zapewnił Jakub.

– A nie mówiłam? – bąknęła Krysia.

– Szczęściarz z niego – westchnął Julek, popatrując tęsknie na kolorowe okienka.

Tymczasem Modrzycki dyskretnie odwrócił wzrok w stronę stojącego w rogu pokoju zegara. Dłuższa wskazówka drgnęła i rozległo się pierwsze dźwięczne uderzenie, na które nikt poza nim nie zwrócił uwagi. Gdy zegar wybił dziewiątą, z wnętrza drewnianej konstrukcji dało się słyszeć kliknięcie i nagle jedno z okienek otworzyło się.

– O! – wykrzyknęły dzieci, przestraszone, zaskoczone i zachwycone jednocześnie.

– Tam coś jest! – zawołała Krysia, patrząc na lśniące małe pudełeczko skryte za miniaturowymi okiennicami. – Papo, papo, co to?

– A skąd ja miałbym wiedzieć? – Jakub wzruszył ramionami i przybrał zaskoczony wyraz twarzy. – Chyba musicie się sami przekonać.

Julek natychmiast wyciągnął rączkę, żeby sięgnąć po paczuszkę, lecz kilka milimetrów przed okienkiem zatrzymał dłoń w powietrzu.

– Ale powiedział papa, że to prezent dla kogoś ważnego... – zawahał się. – Może lepiej nie ruszać?

– A czy jest na tym świecie ktoś ważniejszy od moich dzieci? – odpowiedział pytaniem na pytanie Jakub, a spojrzawszy na Emilię, dodał ciszej: – Od naszych wspaniałych dzieci?

Po raz pierwszy od wielu tygodni małżonkowie popatrzyli sobie w oczy. Trwało to zaledwie ułamek sekundy, ale Modrzycki był pewien, że dostrzegł w spojrzeniu żony ogromne wzruszenie.

– Droga do serca matki prowadzi przez jej dzieci – powiedział mu kiedyś Korzeniowski.

Jakub dobrze zapamiętał tę myśl, bo nijak nie mógł sobie wyobrazić, jak za pomocą upiornych dzieci mecenasa można zająć dokądkolwiek. Teraz jednak przyznał mu rację.

„Ostatnio stanowczo zbyt często to robię”, pomyślał. „Oby Korzeniowski nigdy się o tym nie dowiedział”.

Po chwili małe pudełeczko owinięte w pozłacany papier i przewiązane cienką srebrną wstążką leżało już na stole, a dzieci przyglądały mu się z nabożną czcią. Nie spieszyły się z otwieraniem, jakby chciały przedłużyć moment oczekiwania i tej cudownej niepewności, która sprawiała, że czuły motyle w brzuchach.

– Pralinka orzechowa!

– Konik z marcepanu – zgadywały maluchy.

– Możemy już rozpakować? – zapytała wreszcie Krysia, rzucając ojcu błagalne spojrzenie.

– Oczywiście – zachęcił dzieci Modrzycki.

– Ja to zrobię, Julusiu. – Nie czekając na zgodę brata, Krysia wzięła do ręki zawiniątko, po czym najwyraźniej tknięta wyrzutami sumienia dodała gwoli usprawiedliwienia: – Ty mógłbyś coś zepsuć, przecież wiesz.

– Wiem, wiem – zgodził się Julek, który aż ukląkł na krześle i przechylił się nad ramieniem siostry, żeby lepiej widzieć.

Krysia ostrożnie odwinęła wstążeczkę, odłożyła ją na bok i delikatnie rozłożyła papier, który skrywał kwadratowy kartonik. Dziewczynka podniosła go do nosa, a potem podetknęła bratu.

– Czekolada! – zgadli jednocześnie.

Po chwili pudełko było już otwarte, a cztery czekoladki z wnętrza rozdały członkom rodziny.

– Tu jest coś jeszcze! – zauważył chłopiec, który pochłonawszy słodycz, zajrzał do środka, by upewnić się, że Krysia niczego nie przeoczyła. Pulchną, małą łapką sięgnął po miniaturową kopertę.

– A to co takiego? – zagadnęła nieoczekiwanie milcząca dotąd Emilia, której najwyraźniej także udzieliło się dziecięce podekscytowanie.

– Zadanie – odpowiedział Jakub.

– Zadanie? – Krysia skrzywiła się. – Z algebry?

Jakub wybuchnął śmiechem.

– Czy zadania z algebry umiliłyby ci czas oczekiwania na święta? – zapytał po chwili, wycierając łzę rozbawienia z kącika oka.

– Na pewno nie – odpowiedziała stanowczo dziewczynka, która szczerze nie znosiła rachunków.

– Zatem żadnej matematyki – zapewnił Modrzycki. – To raczej rodzaj gry.

– Gry? – powtórzyła Emilia, podnosząc do góry brwi.

Wyglądała na rozbawioną i zaintrygowaną jednocześnie.

– Grudniowej gry towarzyskiej dla całej rodziny – rzekł z udawaną pewnością zabawkarz, choć po prawdzie wróciły doń wszystkie wcześniejsze obawy i cały pomysł wydał mu się nagle niedorzeczny. Było już jednak za późno, żeby się wycofać. Trzy pary oczu wpatrywały się w niego w napięciu. – Każdego dnia adwentu oprócz niespodzianki w kalendarzu znajduje się też zadanie do wspólnego wykonania. Rodzina zwycięża, gdy uda jej się wspólnie zrealizować wszystkie dwadzieścia cztery misje.

– Nie słyszałam nigdy o podobnych rozrywkach... – powiedziała Emilia, przypatrując mu się uważnie.

– Doprawdy? – udał zdziwienie, a potem pozwolił sobie na drobne kłamstwo. – W Niemczech jest to dość popularna zabawa...

Emilia nadal przyglądała się Jakubowi bez słowa, a ten czuł, że pod wpływem jej spojrzenia zaczyna się zdradziecko czerwienić. Był pewien, że żona rozszyfrowała jego oszustwo. Gorączkowo szukał więc czegoś, co mógłby jeszcze powiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

– Sprawdźmy zatem, jakie zadanie przeznaczone jest na dziś – odezwała się Emilia, siadając na krześle obok syna.

Juliusz natychmiast wdrapał się matce na kolana, a Krysia stanęła za nimi, by wszystko dobrze widzieć. Emilia wyciągnęła z koperty bilecik zapisany eleganckim powłóczyстым charakterem pisma.

– Wszystkie grudniowe wieczory spędźcie razem – przeczytała powoli Krysia. – Zróbcie planszę, powieście ją na ścianie i każdy dzień zaznaczcie w inny sposób.

– Hura! – pisnął Julek i aż klasnął w dłonie.

Nikt oczywiście nie pytał go nigdy o zdanie, ale najmłodszy z Modrzyckich szczerze nie znosił dni, w których rodzice wychodzili wieczorami, a zamiast mamy do snu układała go Helena, co w ostatnim czasie zdarzało się nadzwyczaj często. Stara gospodyni nigdy nie czytała mu bajek na dobranoc.

Krysia także uśmiechała się szeroko.

Tylko Emilia wyraźnie pobladła i zapadła się w sobie. Jakubowi serce ścisnęło się z żalu. Poczł mieszanię rozpacz i wzbierającej w nim złości. Wiedział przecież, dlaczego jego żona posmutniała. Na pewno miała wiele planów. Z nim. Modrzycki odwrócił się do okna i odetchnął głęboko, próbując zapanować nad emocjami.

– Nie musimy być nazbyt skrupulatni, to tylko zabawa... – odezwał się po chwili, gdy Emilia wciąż milczała. – Nie trzeba podchodzić do tych zadań aż tak poważnie – spróbował zbagatelizować cały plan, który teraz wydał mu się żallosny.



– Co to za pomysł! – oburzyła się natychmiast Krysia. – Przecież sam papa mówił, że aby zwyciężyć, trzeba wypełnić wszystkie polecenia. Nie możemy tak od razu przegrać już przy pierwszym zadaniu!

– Właśnie! – gorąco poparł siostrę Julek.

– Ale czemu zaraz mówić o przegranej... – plątał się Jakub. – Nie musimy jednak przestrzegać zasad tej gry aż tak ściśle...

– Nie wierzę w to, co słyszę! – wykrzyknęła Krysia i osunęła się na krzesło zrezygnowana.

Jakubowi przemknęło przez myśl, że jego córka ma niezwykły talent aktorski. Naśladowanie dorosłych w każdym razie przychodziło jej z łatwością. Modrzycki natychmiast rozpoznał w pełnych egzaltacji gestach, westchnieniach i słowach kuzynkę Emilię, Łucję Sobolewską, która, choć była wielką piękną, nadal pozostawała panną.

– Zasad się przestrzega albo nie, nie ma nic pomiędzy. Sam papa tak powtarza – dodała dziewczynka.

– Właśnie. – Juluś kilkakrotnie skinął głową.

Jakub popatrywał to na córkę, to znów na syna i kompletnie nie wiedział już, co ma mówić, którądy wybrnąć z całej tej kabały.

– Dzieci mają rację, mój drogi – odezwała się niespodziewanie Emilia, a w jej głosie pobrzmiwała rzadko spotykana u niej stanowczość. – Zasad gry należy przestrzegać, inaczej zabawa nie może się udać.

Modrzycki nie ośmielił się spojrzeć na żonę, ale po raz pierwszy od wielu dni odnalazł w sercu jasny okruszek nadziei.

## Rozdział 2

Kolejne dni wydawały się Jakubowi pięknym snem i za nic nie chciał się z niego budzić. Po raz pierwszy od dawna znów naprawdę czuł tę trudną do opisania więź, która łączyła członków jego rodziny.

Co roku jeździli razem na letnisko, a jednak nawet tam zawsze było mnóstwo obowiązków, zobowiązań do wypełnienia, wizyt do oddania, gości do przyjęcia. Niekiedy Jakubowi zdawało się, że oprócz okresu bożonarodzeniowego, który z racji wykonywanej przez niego profesji zawsze był intensywny, drugim najbardziej wyczerpującym czasem w roku były właśnie wakacje. Niby byli wówczas ciągle razem, chodzili po lasach, jeździli konno, urządzali piesze wędrówki po górach, zbierali jagody i grzyby oraz palili ogniska, a jednak z rzadka tylko bywali zupełnie sami.

Tegoroczny grudzień był pod tym względem wyjątkowy. By nie wyjść na dziwaków, już pierwszego wieczoru zdecydowali się na drobne kłamstwo i powiadomili bliskich, że u ich dzieci pojawiła się dziwna wysypka.

– Nie lepiej wymyślić jakąś konkretną chorobę? – spytał Jakub, ale Emilia pokręciła przecząco głową.

– A co, jeśli najdzie nas ochota na ulepienie bałwana? – zapytała, uśmiechając się odrobinę niepewnie.

Jakub poczuł ucisk przykrości na myśl, że Emilia nie zachowuje się przy nim już tak swobodnie jak kiedyś, a przecież jeszcze niedawno dzielili się ze sobą każdą myślą, żartowali wspólnie, jedno w lot chwyciło aluzje drugiego, obsypywali się nawzajem czułościami i oddychali w jednym rytmie, długo kochając się w nocy.

Tak bardzo tęsknił za jej ciałem, pragnął wdychać zapach jej skóry, czuć miękkość piersi w dłoniach, zanurzać palce w jej wspaniałe włosy, wnikać w jej wilgotne wnętrze. Śnił o tym wszystkim, a tymczasem nie był w sta-

nie nawet pokonać niewidocznego dystansu słów, swobodnie powiedzieć jej czegoś miłego, skomplementować urodę, wyznać, jak bardzo jest dla niego ważna.

„Cierpliwości”, powtarzał sobie. „Cierpliwości. Jeszcze wszystko uda się naprawić”.

– Wtedy chyba zmuszeni będziemy wyjść i go ulepić? – odparł, doskonale wiedząc, że w jednym z okienek ukryte były cztery wspaniałe, błyszczące guziki dla śniegowej postaci.

– A jeśli ktoś nas zobaczy? – pytała dalej Emilia, a Jakubowi zdawało się, że bawi ją ta rozmowa.

„Jak za dawnych dni”, pomyślał. „Zupełnie jak kiedyś”.

– Wtedy... – Zamyślił się, teatralnie przykładając palce do podbródka i gładząc nieistniejącą brodę. – Wtedy schowamy się do igloo!

Emilia uśmiechnęła się. Widać było, że z trudem powstrzymuje musujący w niej śmiech.

– A jeśli nie zdążymy go wcześniej wybudować albo w porę do niego wskoczyć?

– Wtedy faktycznie będziemy w kłopotcie – odparł Jakub, bezradnie rozkładając ręce.

– W takim razie lepiej powiedzieć, że dzieci mają dziwną wysypkę. – W głosie Emilii dało się słyszeć delikatne nutki triumfu. – W to, że tak prędko wyzdrowiały, nikt by nie uwierzył, ale w uczulenie na mydło do prania albo pogryzienie przez wszy...

– Nasze dzieci nie mają chyba wszy? – Jakub udał przerażonego, a Emilia nie zdołała dłużej zachować powagi.

– Oczywiście, że nie mają! – zapewniła, śmiejąc się. – Ale przecież nikt nie musi o tym wiedzieć.

– To ma sens – zawyrokował Jakub.

– Możesz sobie kpić do woli, ale chyba wolisz plotki o wysypce albo dzieciach pogryzionych przez wszy niż kolację u ciotki Teodory.

Jakub wzdrygnął się. Ciotka Teodora była siostrą ojca Emilii, której towarzystwa Modrzycki szczerze nie znosił. Kobieta miała przykry zwyczaj zapraszania do siebie bratanicy z rodziną na obiad co roku w drugą niedzielę adwentu.

– Ciotka śni mi się w koszmarach – wyznał.

– Śniesz o innych kobietach? – wyrwało się Emilii, zanim wśród całej tej wesołości zdążyła zastanowić się nad swoimi słowami.

Dobry nastrój przysł. Jakub spuścił wzrok. Emilia zaś, gdy pierwszy szok minął, zaczęła pleść coś bez opamiętania, po czym szybko wyszła z pokoju sprawdzić, czy legumina na podwieczorek dla dzieci już ostygła.

Poza tym przykrym incydentem Modrzycki dawno nie spędził jednak tak wspaniałego grudnia. Codziennie przeżywali jakąś przygodę tylko we czworo. Jednego wieczoru siedzieli na dywanie przy kominku i każdy czytał wybrany fragment ulubionej książki. Juluś rzecz jasna wybrał opowieść, lecz starsza siostra wyręczyła go w lekturze. Innym razem kazali spędzić Helence całe popołudnie w fotelu. Julek ułożył jej nogi na miękkim podnóżku i okrył je pledem, a Krysia wręczyła staruszce jedną z książek o tajemniczym tytule: „Złota księga, czyli zbiór sekretów, przepisów handlowych, formuł i recept oraz wskazówek, jak się wzbogacić prędko, a z małym kapitałem”. Książka ta, wydana w 1910 roku, pochodziła z czasów wczesnej Jakubowej młodości i nosiła na sobie ślady wielokrotnego czytania.

– Dziękuję ci, moje dziecko – odparła nieco speszona gospodyni, po czym otworzywszy książkę, ułożyła ją sobie na kolanach i wbiła spojrzenie w ciasno zadrukowane kartki.

Gdy jakiś czas potem Krysia przechodziła przez jadalnię, zauważyła mimochodem, że Helenka wciąż trzyma książkę otwartą na tej samej stronie. Była jednak dziewczynką względnie dobrze wychowaną, więc skomentowała ten fakt dopiero w kuchni, gdzie jej matka smażyła skórkę pomarańczową do słodkich placuszków, które miały zostać tego wieczoru podane do kolacji na specjalne zamówienie dzieci.

– Helenka czyta wolniej od Julusia – szepnęła, gdy Emilia pochyliła się ku niej. – Odkąd dałam jej książkę, ani razu nie przewróciła strony.

Modrzycka z trudem powstrzymała pełen rodzicielskiego rozczulenia uśmiech.

– A może musimy zadbać, by kupiła sobie okulary? – odpowiedziała córce.

Wiedziała, że Helenka widzi doskonale, lecz nie dane było jej chodzić do szkoły i nigdy nie nauczyła się czytać, co wciąż, nawet w podeszłym wieku, nieco ją krępowało.

Ignorując głośne protesty starej gospodyni, Modrzyccy samodzielnie przygotowali kolację, podczas której Helenka była honorowym gościem. Dzieci, które z rzadka widywały matkę w kuchni, a ojca nie widziały w niej ani razu, nie posiadały się z zachwytu.

Pewnego wieczoru przy wtórze muzyki płynącej z radia robili wspólnie zabawki z przyniesionych przez Jakuba słomek. O poranku bowiem znaleźli w kalendarzu zadanie, by tego dnia zadbać o ozdoby choinkowe.

– Tatuś powinien robić dekoracje z ziemniaka – bąknął obrażony Julek, który z wielkim wysiłkiem usiłował wykonać słomkowy łańcuch, nanizując kawałeczki słomki na kolorowy sznurek. Zdołał przygotować zaledwie małeńki kawałek, a w tym czasie Jakub upłócił już słomianego konika.

– Dyskwalifikacja – orzekła Krysia, a dostrzegłszy zszokowane spojrzenia rodziców, wyjaśniła czym prędzej: – Próbuję uczyć się jak najdłuższych słów.

Jakub podjął rzuconą mu przez syna rękawicę. Przyniósł ze spiżarni do-rodnego ziemniaka, starannie go wyczyścił, po czym wydrążył i ostrym nożem wyrzeźbił na powstałych w ten sposób ściankach asymetryczne esyfloresy. Na koniec wetknął do środka ogarek świeczki i po chwili dziwaczne cienie zatańczyły na ścianie.

Juluś zdążył już całkiem zapomnieć o łańcuchu i teraz klaskał z uznaniem w dłonie.

Szóstego grudnia w mikołajki dzieci zbudził w nocy odgłos dzwoneczków. Okno zostało lekko rozszczelnione, jakby ktoś obluzował w ciemności

haczyk. Podłoga była całkiem biała, a w dwóch miejscach na jasnym tle wyraźnie odznaczał się ślad ogromnego buta.

– Święty Mikołaj!!! – pisnął Julek i zaraz wskoczył pod kołdrę siostry, bo zdawało mu się, że w rogu pokoju widzi wielki, straszny cień, i nie był już pewien, czy lubi Świętego Mikołaja, czy raczej się go boi.

– Piórka? – zdziwiła się Krysia, gdy po mikołajkowym śniadaniu otworzyło się kolejne okienko kalendarza i dzieci znalazły w jego wnętrzu odrobinę ptasiego puchu.

– Jakie mięciutkie! – zachwycił się Juluś, dotykając delikatnie jasnego pierza. – Prawie jak śnieg, tylko mniej zimne i całkiem suche.

– Tylko po co nam piórka? – usiłowała dociec Krysia.

Przeznaczenie zawartości poprzednich okienek adwentowego kalendarza było łatwe do odgadnięcia. Teraz jednak dziewczynka zupełnie nie miała pomysłu, co też może się za tym kryć.

– Może macie źle wypchane poduszki i niewygodnie wam się śpi? – zasugerował Jakub, ale córka rzuciła mu pełne dezaprobaty spojrzenie.

– Tatusiu, śpi nam się doskonale, a poduszki mamy wypchane gęsim pierzem, a nie takim... – zawiesiła głos, niepewna, co powiedzieć. – No, nie takim jak to. Poza tym troszkę mało tego puchu jak do poduszki, nie uważa tatuś?

– Chyba że do takiej do domku dla lalek? – zasugerował Jakub.

– W takim razie to piórka dla tatusia – powiedział Juluś. – Przydadzą się w warsztacie.

Jakub popatrzył na synka z czułością i zmierzwił mu czuprynę.

– A mnie się zdaje, że w okienku jest coś jeszcze... – podpowiedziała dzieciom Emilia, która cicho weszła do jadalni.

Modrzycki obrzucił żonę szybkim spojrzeniem. Wyglądała na zmęczoną, jak po źle przespanej nocy. Wiedział, że poprzedniego wieczoru po odesłaniu dzieci do łóżek przeglądała korespondencję i wypisywała karty z życzeniami świątecznymi.

„Może dostała jakieś niepomyślne wieści?”, pomyślał, ale nie wiedział, jak miałby ją o to zapytać.

Swobodnie rozmawiał z żoną tylko wtedy, gdy były z nimi dzieci lub Helenka. Kiedy tylko zostawali sami, natychmiast milkli speszeni i czym prędzej rozchodzili się każde w swoją stronę.

Z drugiej strony od Emilii wciąż bił blask szczęścia i bez troski, który pewnie cieszyłby go niezmiernie, gdyby nie znał jego przyczyny.

„Nie, to nie złe wieści. Ona po prostu tęskni za tamtym”, usłyszał w głowie Jakub i odwrócił wzrok. Czuł, jak szczęki zaciskają mu się boleśnie.

– Jest! – wykrzyknęła Krysia. – Spójrz, Julusiu, spójrz, tu jest małe zia- renko.

– Dla ptaszków! – odgadł zaraz braciszek.

– Pójdziemy karmić ptaszki? – ucieszyła się Krysia.

– Lepiej – odparł szybko Jakub i uśmiechnął się z wysiłkiem.

Musiał stłumić w sobie przykre emocje. Skoro Emilia tu była, walka wciąż trwała. Jeszcze mógł ją odzyskać. Jeszcze mogli być szczęśliwi, pomimo tego, co się wydarzyło. Skoro zdecydował, że jest gotów jej przebaczyć, nie powinien pozwolić, by natrętne myśli czy nadmiar uczuć zniweczyły jego racjonalny plan. Spróbował zatem jak dotąd skupić się na czekającej ich wspólnej przygodzie.

– Powiedz, tatusiu, powiedz. – Córka objęła rączkami dłoń ojca i przytuliła ją do swojego policzka.

– Powiedz, tatusiu, powiedz – powtórzył za nią braciszek przymilnym tonem.

– Jak zrobimy ładny karmnik, to ptaki same wpadną do nas na ucztę – oznajmił Modrzycki.

Kątem oka dostrzegł, że Emilia spoważniała, a potem bezwiednie wyprostowała palce i zerknęła na pierścionek zaręczynowy.

„Pamięta”, pomyślał i zaraz poczuł, że wstępuje w niego nowa nadzieja. Jeśli Rychłowski miał rację, wspomnienia dobrych chwil, które dzielili razem, były najpotężniejszym orężem Jakuba w walce o ukochaną.

– A gdzie go powiesimy? – dopytywały dzieci jedno przez drugie. – Gdzie?

– Na drzewie, na podwórzu – zdradził zaraz Jakub, który już wcześniej umocował tam specjalny korek. – Uradzimy procesję z płonącymi pochodniami, żeby ptaki nie musiały czekać do rana i mogły od razu skosztować przysmaków.

– A co na to dozorca? – spytała Emilia, a Modrzycki odnotował uśmiech drgający w kącikach jej ust. – I sąsiedzi?

– Jeśli tylko zechcą, będą mogli się do nas przyłączyć! – zawołała Krysia. – Ziarenek zimą nigdy dość!



## Rozdział 3

Jakub siedział przy stole oświetlonym ciepłym światłem lampy, popijając drugą filiżankę ziołowej herbaty na dobry sen, i wertował katalog Domu Towarowego Braci Jabłkowskich z kategorii podarki i zabawki. Starał się być na bieżąco ze świąteczną ofertą zabawek wszystkich sklepów. Tak przynajmniej przekonywał samego siebie. W rzeczywistości bowiem szukał pretekstu, by jeszcze na chwilę odłożyć moment pójścia do swojej sypialni.

– Z pięknymi złotymi loczkami, o główce nietłukącej, z zamykanymi oczami, z długimi rzęsami, ubrana w sukienki takie, jakie nosi „prawdziwa” Shirley, ma trzydzieści pięć centymetrów wzrostu i kosztuje dziesięć złotych i pięćdziesiąt groszy – mamrotał. – Dziesięć złotych! To więcej niż maszynka do mielenia mięsa!

– Czyżby przysłano katalog od Braci Jabłkowskich? – zagadnęła go Emilia, stając przy nim i zaglądając mężowi przez ramię. – Jakieś nowości?

– Dzieci śpią? – zapytał ściszym głosem.

– Chyba tak – odparła równie cicho i cofnęła się nieznacznie, jakby chciała wyraźnie zaznaczyć dzielący ich dystans.

– Bardzo narozrabiałem?

– Zamykając dzieci w ciemnym pokoju i każąc im pod żadnym pozorem nie otwierać oczu? Skąd! – skwitowała z sarkazmem.

Wcześniej tego dnia w kalendarzu ukryte zostało maleńkie szklane przezrocze z namalowaną na nim scenką z sielankowego życia wiejskiego.

Dzieci wyglądały na zachwycone i zarzuciły ojca gradem pytań, ale ten uczynił gest, którym dyrygent ucisza orkiestrę, a potem położył sobie palec na ustach.

– Nic wam nie zdradzę – odparł, a gdy maluchy otworzyły usta, by zaprotestować, dodał szybko: – Aż do wieczora.

Gdy Jakub wrócił z pracy, zastał Krysę i Julusia rozłożonych na pufach i poduszkach przy samych drzwiach. Z trudem zdołał przecisnąć się w wąskiej szparze, by wejść do mieszkania. Starał się przy tym nie pobrudzić przyniesionych przez dzieci rzeczy błotem i topniejącym na butach śniegiem.

– Mama pozwala wam tak siedzieć na podłodze w przeciągu? – zapytał, jednocześnie sadzając sobie Julka na barkach.

– Mama wyszła po obiedzie, a my tu czekamy na tatusia i czekamy – odparła Krysia.

– No, ile można czekać? – sapnął Juluś prosto w Jakubowe ucho, a Modrzycki gotów był się założyć, że powtarza słowa siostry.

Ojciec poprosił dzieci o jeszcze kilka minut cierpliwości i poszedł przygotować niespodziankę. Musiał czym prędzej znaleźć sobie zajęcie, żeby nie myśleć o nieobecności Emilii. Oczywiście, mogło to być wyjście całkiem niezobowiązujące. Mogła wybrać się po prezenty, w odwiedziny albo do jednego z warszawskich sierocińców oddać rzeczy, z których ich dzieci dawno już wyrosły. Jakuba dręczyło jednak przeczucie, że poszła na spotkanie z tamtym młodzieńcem, i to doprowadzało go do szaleństwa.

„Czy już zawsze tak będzie?“, pytał samego siebie. „Czy już zawsze będę zastanawiał się, dokąd poszła, nawet gdyby sprawy pomyślnie ułożyły się między nami?“

Potrząsnął głową, by odepchnąć natrętne wizje, przemył twarz wodą i szybko zmienił ubranie.

– Tylko nie podglądajcie – upomniął dzieci, gdy po chwili, tak jak zapowiedział, był już gotowy. – To surowo zabronione, zrozumiano?

Krysia i Juluś przytaknęli skwapliwie. Jakub podszedł do synka, przewiązał mu chustką oczy i to samo powtórzył z córką.

– Nic nie widzicie?

– Nic a nic, tatusiu – zapewniła Krysia.

– Wcale nic – dodał poważnie Juluś, który wyglądał tak, jakby bał się poruszyć, żeby chustka się nie obsunęła i przypadkiem czegoś nie zobaczył.

– Nie mówi się „wcale nic” – zwróciła mu uwagę siostra. – Jak jest wcale, to już wiadomo, że tam nie ma nic, prawda, tatusiu?

– Prawda, prawda. – Jakub się uśmiechnął, ale zaraz spoważniał, bo usta Julusia wygięły się w podkówkę i widać było, że malec ma ochotę się rozplakać. Należało czym prędzej podjąć działania, by zapobiec katastrofie. Jego syn należał bowiem do dzieci, które wyjątkowo łatwo wpadały w zły nastrój, a ten mógł popsuć całą zaplanowaną na ten dzień zabawę. – Gotowi na niespodziankę? – dodał szybko.

Dzieci chwyciły się za ręce i ponownie przytaknęły.

– Podążajcie za mną i uważajcie, żeby nie zboczyć ze szlaku, bo wszędzie wokół czai się niebezpieczeństwo – przemówił Jakub głębokim, nieco ponurym głosem, którego używał często, czytając dzieciom baśnie na dobranoc. – Strzeżcie się, bo chwila nieuwagi, jeden fałszywy krok mogą was kosztować życie! – zawył przerażająco.

Maluchy zgodnie pisnęły, lecz zaraz zachichotały radośnie. Ojciec ujął dłoń Julusia i pociągnął dzieci za sobą. Kluczył korytarzem, a Krysia i Julek zataczali się, wpadali na siebie, śmiejąc się i popiskując z uciechy.

Po kilku minutach Jakub uznał, że z pewnością straciły już orientację, i poprowadził je do swojego gabinetu.

Gdy znaleźli się w środku, puścił rękę synka i starając się stąpać jak najciszej, ukrył się za parawanem.

– Tatusiu? – jęknął po chwili Juluś, któremu nie spodobała się ta nagła, dziwna cisza wokół. – Tatuś mnie już nie trzyma, Krysiu. Zgubił mi się. Albo my zgubiliśmy się jemu.

– Tatusiu? – spytała dziewczynka z pozoru obojętnie, lecz i w jej głosie Jakub wyraźnie wyczuwał zaniepokojenie. – Czy tatuś tutaj jest? – A gdy nie odpowiedział, spytała jeszcze: – A może moglibyśmy już zdjąć chustki i trochę się rozejrzeć?

Modrzycki wstrzymał oddech, wiedząc, że dzieci nasłuchują najłżejszego szmeru. Cisza, która wypełniła pomieszczenie, dzwoniła mu w uszach.

– Krysiu, ja się boję – wymamrotał drżącym głosem Juluś.

– Jesteśmy przecież w domu, głuptasie. Rodzice nie pozwoliliby nam nawet na chwilę wyjść zimą bez płaszczy i czapek. Nie ma się czego bać – zapewniła hardo Krysia, a Jakub znów się uśmiechnął, bo wiedział, że dziewczynka boi się tak samo, jak jej młodszy brat, tylko stara się być dzielna, żeby nie przestraszyć bardziej Julusia.

– A jednak się boję... – jęknęło znowu dziecko.

Nim jednak Jakub zdążył zareagować, Emilia weszła do pomieszczenia, przyklękła i objęła synka, przytulając twarz do jego drobnych pleców.

– Nic się nie bój, mama jest przy tobie – szepnęła.

Krysia, wciąż nie otwierając oczu, przysunęła się do matki. Jakub dłuższą chwilę przyglądał się rodzinie zbitej w ciasne stadko, a jego serce przepełniała dziwna tkliwość. Uświadomił sobie jednocześnie, że w tym małym i ciemnym pokoju mieści się wszystko, co kiedykolwiek miało dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Emilia była tego częścią, nierozłączną jak płatek czterolistnej koniczyny.

Modrzycki zapiął czarną pelerynę, włożył wysoki cylinder i pociągnął za metalowy łańcuszek małej lampki.

– Panie i panowie! – ryknął gromko.

Krysia zachichotała nerwowo, a Juluś mocniej wtulił się w matkę.

– Panie i panowie! – spróbował raz jeszcze zabawkarz, nieco ciszej.

– Tatusiu, a czy my możemy otworzyć już oczy, żeby widzieć tatusia? – spytała rezolutnie dziewczynka.

Jakub odchrząknął. Zapomniał, jak posłuszne ma dzieci.

– Tak, tak, oczywiście – rzekł już całkiem zwyczajnie.

Rodzeństwo otworzyło oczy.

– Mówiłam, że jesteśmy w domu – szepnęła do Julusia siostra. – Nie trzeba było się bać, głuptasku.

– Ekhem... – Jakub starał się ściągnąć na siebie uwagę dzieci. – Panie i panowie, przed państwem...

– Tatus! – wykrzyknął chłopczyk, który nie wytrzymał napięcia.

Emilia zachichotała głośno, a widząc zagubioną minę męża, ukryła twarz we włoskach chłopca.

– Panie i panowie... – zaczął po raz czwarty Jakub i nie budując dłużej atmosfery oczekiwania, wypalił: – Przed państwem latarnia magika.

To rzekłszy, zamaszystym ruchem odchylił pelerynę, pod którą ukazała się dziwaczna konstrukcja wyglądająca jak prototyp lokomotywy.

– To zupełnie nie przypomina latarni – odezwała się Krysia.

– A jednak to zaczarowane urządzenie do podróży w czasie. – Tym razem Jakub nie dał się zbić z tropu. – Zasiądźcie i pozwólcie zabrać się w podróż, której nigdy nie zapomnicie.

Modrzycki zgasił lampkę i uruchomił latarnię magiczną. Był to prosty aparat projekcyjny rzucający obrazy ze szklanych przezroczy.

– Trochę jak w kinie, tylko nic się nie rusza – stwierdziła po chwili Krysia.

– I nic nie gra – poparł siostrę Juluś, wierząc się w niewygodnej pozycji.

Tylko Emilia spoglądała na kolejne obrazki jak zaczarowana.

– Mój dziadek miał coś takiego – westchnęła cicho, gdy Jakub, dostrzegłszy zniecierpliwienie dzieci, zakończył pokaz. – Tylko określał to mniej wdzięczną nazwą, a mianowicie: teatrzyk optyczny. Byłam całkiem mała, gdy pokazał mi to po raz pierwszy, i już na zawsze zostało we mnie wspomnienie tamtej...

– ...magii – dokończył za nią Jakub.

Emilia przytaknęła.

– Magii musującej gdzieś wewnątrz mnie niczym bąbelki w sodowej wodzie.

Modrzycki doskonale wiedział, jakie uczucie miała na myśli żona, bo teraz właśnie ono przepełniało każdy fragment jego duszy i ciała. Dzieci spały, Helenka już od dawna była w swojej służbówce, a Emilia po raz pierwszy od długiego czasu nie umknęła do swojej sypialni, lecz wyraźnie starała się nawiązać z nim rozmowę, zapytując o katalog konkurencyjnej firmy. Pozwoliła sobie nawet na drobną uszczypliwość, jak za dawnych lat.

Jakub zerknął na żonę ukradkiem. Wyglądała szczególnie ładnie. Miodowe włosy, z których wyjęła już szpilki, opadały jej na ramiona lśniąca kaskadą, a prosta, całkowicie pozbawiona ozdób wiśniowa sukienka uszyta według najnowszej mody ładnie podkreślała wszystkie atuty sylwetki Emilii.

– Zatańczymy? – zapytał wiedziony nagłym impulsem.

Emilia otworzyła szeroko oczy, ale nic nie odpowiedziała. Jakub wstał. Słyszał wyraźnie bicie własnego serca i modląc się w duchu, by żona nie uciekła spłoszona, podszedł do ustawionego na okrągłym stoliku patefonu. Położył igłę na płycie i pokręcił korbką. Zatrzeszczało.

– *W starych nutach babuni...* – Z mosiężnej tuby popłynął tęskny głos Mieczysława Fogga.

Oboje dobrze znali tę melodię. To była ich piosenka. Walc angielski skomponowany w 1905 roku przez Adama Karasińskiego. Słowa dopisano później specjalnie dla Toli Mankiewiczówny wykonującej tę piosenkę w Wielkiej Rewii Teatru Morskie Oko. To był ten sam walc, po którym młodzieniec, czule obwołany przez nich potem Kartoflem, odprowadził pannę Szubert z powrotem do towarzystwa, w którym zdążył się już znaleźć także Jakub. Walc wciąż brzmiał w uszach obojga, gdy spojrzeli na siebie po raz pierwszy.

– Mogę prosić panią do tańca? – zapytał teraz Modrzycki głębokim głosem, kłaniając się z galanterią przed Emilią.

Podawała mu dłoń i popłynęli przez salon. Jakubowi zdawało się, że bicie jego serca zagłusza muzykę, gdy prowadził w tańcu wspartą na jego ramionach Emilię. Nie tańczył tak długo, że z początku obawiał się, czy aby nie wyszedł z wprawy, jego nogi jednak szybko odnalazły właściwy krok.

Bliskość żony oszałamiała go. Czuł delikatny zapach jej perfum, a widok wgłębienia przy obojczyku rozczulał i pobudzał zmysły. Chciał, by ta piosenka nigdy się nie skończyła.

– *Gdyby jeszcze raz wrócił piękny czas...* – śpiewał Fogg.

Emilia zadrżała w ramionach męża. Przytrzymał ją mocniej, jakby chciał ją zapewnić, że jest blisko, że czeka, że wszystko jeszcze może wrócić, może być jak dawniej.

Wykonał obrót i w tym momencie dojrzał wystającą zza framugi kępkę jasnych włosów synka.

Nie przerywając tańca, dał znak Emilii i ruszyli w tamtą stronę. Gdy byli tuż obok, Jakub zwolnił kroku, a Emilia wykonała wygięcie do tyłu, przybrawszy uprzednio zabawny, przesadnie poważny wyraz twarzy. Juluś i Krysia pisnęli i zanieśli się śmiechem. Oni tymczasem wyprostowali się i tańczyli dalej.

Gdy muzyka umilkła, stali jeszcze chwilę, patrząc sobie głęboko w oczy.

– Jeszcze raz! – zawołał Juluś, rozpraszając magię tej chwili.

Emilia drgnęła i delikatnie wysunęła się z objęć Jakuba, więcej na niego nie patrząc.

– Już dość, łobuziaki – powiedziała, starając się brzmieć stanowczo, choć w jej głosie wyraźnie pobrzmiwały nutki wzruszenia. – Teraz już naprawdę pora do łóżek!

Dzieci zaczęły protestować i błagać, by mogły zostać w pokoju jeszcze trochę. Jakub zaś czekał z nadzieją, że żona wróci do niego, gdy tylko odprawi pociechy.

## Rozdział 4

Następnego ranka po raz pierwszy od wielu dni Jakub wstał rześki i niemal wesół. Sprawy szły po jego myśli, dokładnie tak, jak sobie zaplanował. Wspomnienie tańca z Emilią, bliskość jej ciała, widok iskier we wpatrzonych w niego oczach, gdy sunęli zgodnie w takt muzyki, wszystko to pozwalało mu wierzyć, że nadejdzie dzień, gdy to, co złe, będzie już za nimi.

Aż dotąd kalendarz adwentowy doskonale spełniał swoje zadanie. W minionym tygodniu najpierw przygotowali koncert na wieczór wigilijny. Jakub grał na pianinie, Emilia śpiewała, a dzieciom ojciec podarował obrotowe grzechotki, którymi mogły hałasować do woli.

Od wtorku zaś w każdym z okienek znajdowały się wyrzeźbione z czekolady lub marcepanu pionki do gry, w którą mieli zagrać tego wieczoru. Były wśród nich pionki od chińczyka i szachów, krążki do warcabów, polukrowane na kolorowo pchełki, bierki do halmy oraz pomadki ukształtowane w pionowe guziki do turnieju w samotnika, który rozegrali przedwczoraj.

Ustalono, że Juluś, który z racji wieku nie bardzo radził sobie z większością gier, będzie występował drużynowo w duecie z ojcem. Jakub musiał przyznać, że był to doskonały pomysł, nie tylko przez wzgląd na jego relację z synem, którą bycie w jednej drużynie wyraźnie zacieśniło, lecz także i na to, że miał przeczucie, iż zyskał w oczach Emilii.

Zawsze myślał o sobie jak o dobrym ojcu, jednak teraz pomiarkował, w czym tkwił błąd w jego rozumowaniu. Aż dotąd bowiem sądził, że okazuje swym dzieciom przywiązanie, czule się z nimi witając i żegnając oraz od czasu do czasu przynosząc im coraz to nowsze zabawki, którymi jednak z rzadka bawił się z obdarowanymi. Teraz dotarło do niego, że to czasu i jego obecności Juluś z Krysią byli najbardziej złaknieni. Poświęcona im uwaga wydawała się jedynym językiem miłości, który dobrze rozumieli.



Wieczory małżonkowie spędzali obecnie jak dawniej, gdy jeszcze nie było dzieci, a Modrzycki wciąż był tylko obiecującym warszawskim zabawkarzem, razem w domu przy ogniu trzaskającym w kominku. Poprzedniego wieczoru, gdy Jakub trzymał Emilię w ramionach, dostrzegł w jej oczach tamten niemal zapomniany już blask. Dopiero gdy znów go zobaczył, pojął naraz, że nie widział go od bardzo, bardzo dawna oraz że, choć nie zdawał sobie z tego sprawy, tęsknił do tego spojrzenia.

Gotów był przebaczyć żonie, zapomnieć o wszystkim, byle tylko ona jeszcze go chciała. Czasem, gdy spoglądał na uchylone okienka kalendarza, strach chwycił go za gardło. Był to ów najgorszy rodzaj lęku wymykającego się jakiegokolwiek logice, wobec którego Modrzycki czuł się całkiem bezbronny. Każde kolejne otwarte okienko oznaczało krok naprzód, lecz także kolejny dzień, który przybliżał go do świąt Bożego Narodzenia, a tym samym do końca realizacji planu. Nie miał pojęcia, co będzie dalej, w jakich nastrojach wkroczą w rok 1935 i czy w ogóle wkroczą weń razem. A co, jeśli się mylił? Jeśli Emilia cieszyła się ze wspólnej zabawy przez wzgląd na dzieci i tylko dla nich zrezygnowała tymczasem z potajemnych schadzek? Jakub poczuł, jak szczęki zaciskają mu się boleśnie, a dłonie zwijają się w pięści. Zwykle ze wszystkich sił starał się nie myśleć o tamtym mężczyźnie, jednak czasem umysł płatał mu figła, wyzwalał się spod władzy woli i rozumu i dręczył biednego Jakuba niepokojącymi wizjami żony w objęciach innego. Widział jej rozpaloną namiętnością twarz, jak wtedy, gdy w chwilach miłosnych uniesień pochylała się nad nim, choć czuł wyraźnie, że miał uczestnikiem, jest tylko obserwatorem tej pełnej namiętności sceny. To cudze dłonie pieściły łabędzią szyję i krągłe piersi jego ukochanej, cudze usta tłumili jej jęki i westchnienia rozkoszy.

Nakazał sobie spokój.

– Dzień dobry, Jakubie – usłyszał za plecami głos Emilii.

Wzdrygnął się, jakby przyłapała go na czymś zdrożnym. Odchrząknął i odruchowo obciągnął marynarkę.

– Dzień dobry, Emilio – odrzekł nieco zbyt sztywno, bo gardło wciąż miał zaciśnięte z emocji.

Żona popatrzyła na niego przeciągle, a Jakub gotów był iść o zakład, że dostrzegł w jej spojrzeniu cień przykrości. Widocznie nie takiego powitania się spodziewała, szczególnie po wzruszeniach poprzedniego wieczoru. Nie powiedziała jednak nic więcej, tylko zajęła swoje miejsce przy stole. Po chwili Helenka wkroczyła do jadalni z tacą pełną jeszcze ciepłych bułeczek i poranek potoczył się tak jak zwykle. Była pachnąca kawa, chrupiące pieczywo posmarowane świeżym masłem, czytanie gazet i kurtuazyjna wymiana ciekawostek z kraju i ze świata. Od czasu do czasu tylko Jakub rzucał spojrzenie w kierunku żony, chciał coś powiedzieć, jakoś przełamać ten chłód, który znów wdarł się między nich, ale nie potrafił wyjść z gorsetu przyzwyczajęń, choć było mu w nim przecież tak ciasno i duszno.

Zanim zdążył się odezwać, do jadalni wbiegły ubrane i starannie uczesane dzieci.

– Otworzyło się już?! – wykrzyknęła Krysia i biegnąc w stronę serwantki, na której ustawiony był kalendarz, porwała ze stołu bułeczkę i wpakowała ją sobie całą do ust.

– Krystynko! – zawołała za nią Emilia nieco surowiej, niż zamierzała. – Co to za zachowanie? Proszę natychmiast tu wrócić, usiąść do stołu i zjeść należycie.

– Oj, mamó! – jęknęła dziewczynka, a jej płaczliwy ton został przytłumiony przez trzymaną w ustach bułeczkę.

– Masz natychmiast usiąść do stołu i zachowywać się przyzwoicie – powtórzyła stanowczo Emilia.

– A co z kalendarzem? – spytał cicho milczący dotąd Juluś, zajmując miejsce obok siostry.

– Wszystko w życiu ma swoją kolej – odpowiedziała mu matka. – Zaczniemy od spraw najważniejszych. Zdejmijcie łokcie ze stołu, plecy proste, serwetki na kolana, a teraz: dzień dobry, moje dzieci.

– Dzień dobry, mamó – odpowiedzieli chórem Juluś z Krysią, choć ta ostatnia była wyraźnie obrażona i z pewnym ociąganiem wykonała polecenia matki.

Śniadanie upłynęło w ponurej atmosferze, jakby poprzedni wieczór wcale się nie wydarzył. Jakub nie mógł dłużej znieść tego wszystkiego. Dopił kawę, złożył sztućce, otarł usta serwetką i wstał od stołu.

– Pora na mnie – rzekł, nie bardzo jednak wiedząc, do kogo mówi.

Odpowiedziały mu jakieś niewyraźne pomruki. Modrzycki zasunął krzesło i szybkim krokiem wyszedł z jadalni, z trudem powstrzymując się od biegu. Chciał jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz. Miał wrażenie, że brak mu powietrza. Naraz poczuł, jak chłodne, lepkie paluszki wsuwają się w jego dłoni.

– Papo, jeszcze kalendarz – szepnął Juluś i zadzierając głowę, popatrzył ojcu prosto w oczy.

Serce Jakuba stopniało w jednej chwili, a całe rozdrażnienie gdzieś zniknęło. Zerknął na zegarek.

– Prędko, już czas! – ponaglił dzieci.

– Jakie śliczne! – wykrzyknęła po chwili Krysia, obracając w palcach maleńkie czerwone saneczki.

– Krysiu, daj popatrzeć – prosił Juluś, ciągnąc siostrę za rękaw sukienki. – Proszę cię, pozwól mi chociaż spojrzeć.

Krysia podała bratu zabawkę, a jemu aż oczy zaświeciły się z zachwyty.

Jakub pochwalił się w myślach. Wyrzeźbienie saneczek zajęło mu szczególnie dużo czasu.

– Wybierzemy się na sanki? – spytał Juluś z nadzieją w głosie. – Na górkę? Wszyscy razem?

– Widziałeś kiedyś jakiegoś dorosłego na sankach na górce? – spytała zaraz Krysia, spoglądając na brata z politowaniem. – Mamusie i tatusiowie nie zjeżdżają z górki.

– A właśnie, że zjeżdżają! – upierał się malec. – Pan Władzio na przykład...

– Pan Władzio nie jest niczym tatusiem – zaznaczyła Krysia z wyższością. – Nie ma ani dzieci, ani zębów, to może sobie zjeżdżać do woli.

Juluś zasepił się. Argumenty siostry były trudne do odparcia. Perspektywa rodzinnego saneczkowania wydała mu się nagle tak odległa, jak podróż wielkim parowcem przez ocean czy lot samolotem, niemal nierealna.

– To po co te saneczki w kalendarzu? – bąknął, odsuwając najdalej jak mógł drewnianą zabaweczkę. Podparł brodę na zwiniętych nadgarstkach i wyglądał, jakby chciał się rozpłakać.

Krysia wzruszyła ramionami. Akurat na to pytanie nie знаła odpowiedzi. Jakub, który dotąd z zainteresowaniem badacza przysłuchiwał się rozmowie dzieci, uznał, że nadeszła pora na wyjaśnienia. Choć wiedział z doświadczenia, że odrobina niepewności i napięcia zwykle potęgowała późniejszą radość, nie chciał drażnić Krysi i Julusia.

– Przed świętami nie wszystko wygląda u nas tak, jak powinno... – zaczął ostrożnie, starając się przy tym powstrzymać uśmiech.

– Oj, wiemy, wiemy – odparł Juluś. – Nie mamy nawet choinki...

– Mamy gałązki – odpowiedział mu ojciec, wskazując na wazon wypełniony pachnącym lasem wiechciem.

– Jeszcze za wcześnie na choinkę – przypomniała mu Emilia.

– Na wszystkich wystawach, w kawiarniach i sklepach już są – wyliczył chłopiec. – Tylko u nas nie ma.

– Świąteczny wystrój ma przyciągnąć klientelę i przypomnieć kupującym, że zbliża się pora prezentów – rzeczowo, jak na córkę właściciela sklepu przystało, wyjaśniła bratu Krysia.

– Ale ja chcę choinkę – odparł chłopiec z lekka łamiącym się głosem, z którego brzmienia znać było, że ma wielką chęć wybuchnąć płaczem. – I na saneczki...

– Dobrze, już dobrze, pójdziemy na saneczki – oznajmił wesoło Morrzycki, czując, że dalsze odwlekanie niespodzianki mogłoby przynieść skutek odwrotny od zamierzonego. Podobnie jak wstęp do pokazu przezroczy w latarni czarnoksiężnika.

„Jak to się działo, że tak dobrze potrafił odczytywać nastroje obcych dzieci, a tak mało znał własne?”, przemknęła mu przez głowę nieprzyjemna

myśl.

Rodzeństwo podniosło na ojca oczy i zastygło w oczekiwaniu na to, co będzie dalej.

– Pójdziemy na saneczki – powtórzył Jakub. – A ściśle rzecz ujmując, na wspaniały nocny kulig z pochodniami.

– Czy aby nie za zimno w nocy na takie atrakcje? – Głos Emilii był ledwie słyszalny we wrzawie, która wybuchła po Jakubowych słowach. – Dzieci się nie zaziębią?

– Owiniemy je w koce i futra – zapewnił Jakub, po czym spojrzał żonie głęboko w oczy. – Na miejscu rozpalimy ogromne ognisko, by mogły się przy nim zagrzać przed drogą powrotną. Bądź spokojna, moja miła, wszystkiego dopilnuję.

Przez chwilę patrzyli na siebie, a wszystko wokół zdawało się jedynie snem. I salon, i parujący dzbanek z kawą, a nawet dzieci płaszące wokół stołu w dzikim tańcu radości. Byli tylko oni. Dwoje ludzi niegdyś kochających się do szaleństwa, którzy gdzieś pomiędzy wtedy a dziś zgubili coś ważnego i nawet tego nie zauważyli. W tym spojrzeniu była jakaś bezradność, niepewność, lecz tliły się w nim także powidoki dawnej namiętności. Emilia pierwsza spuściła wzrok, mimo to Modrzycki czuł, jak w jego sercu wzbiera nadzieja.

Dzień upłynął im na pełnych podekscytowania przygotowaniach do wielkiej wyprawy. Punktualnie o siedemnastej, gdy na dworze było już zupełnie ciemno, przed kamienicę zajechały ogromne sanie.

Ruszyli. Noc była spokojna i bezwietrzna. Księżyc oświetlał wszystko wokół sinym blaskiem, a drzewa rzucały czarne cienie na roziskrzoną biel polany. Woźnica zapalił zapałkę i wrzucił ją pomiędzy gazety wystające spośród gałęzi wcześniej przygotowanego kopczyka chrustu i drewna. Stos zajął się niemal natychmiast.

Dłuższą chwilę stali przy ognisku, wpatrując się w płomienie. Od czasu do czasu w niebo strzelał snop iskier, które mieszały się na nieboskłonie z miriadami gwiazd.

– Najprawdziwsza watra – westchnęła Emilia.

Dzieci bawiły się obok, a Jakub zastanawiał się, czy nie objąć żony. Na tle wielkiego ognia wydawała mu się taka krucha i drobna. Chciał osłonić ją przed całym złem tego świata. Zamknąć w ramionach i nie zważając na przeszłość, w najpiękniejszych słowach zapewnić o swoim oddaniu. Może to właśnie była odpowiednia chwila?

– Gdzie Juluś? – Głos Emilii wdarł się nagle w myśli mężczyzny.

Modrzycki rozejrzył się wokoło, lecz jak okiem sięgnąć, w kręgu światła nigdzie nie widać było chłopca.

– Juluś! – zawołał. – Chodź tu do mnie natychmiast!

Odpowiedziała mu jedynie cisza.

– Może schował się w saniach? – zasugerował, nie dając po sobie poznać, że niepokój zacisnął mu na gardle swoje lodowate palce.

Woźnica bez słowa ruszył od ogniska. Podszedł do stojących spokojnie koni i obszedł zwierzęta, klepiąc przy okazji gniadego po karku, a potem wskoczył na kozioł. Kilkoma sprawnymi ruchami przerzucił skłębione na ławkach futra.

– Nikogo tu nie ma! – zawołał.

– Jest pan pewien? – zapytał Modrzycki, także kierując się w tamtą stronę. – Może dobrze się schował?

– I nie wychodzi, jak go szukają? – burknął do siebie woźnica, po czym odkrzyknął w stronę Jakuba: – Sprawdzić mogę i dziesięć razy, ale mówię panu dobrodziejowi, że tu nie ma nikogo!

– Juluś! Juluś! – zaczęła krzyczeć zdjeta nagłym strachem Krysia, która bawiła się dotąd, wyszukując małe patyczki z igłami, które następnie wrzucała w płomień, by strzelały iskry. – Juluś! Już dość! Wychodź, mówię ci!

Przez chwilę wszyscy nasłuchiwali, lecz nie usłyszeli nic poza szmerem pobliskiego strumienia, który teraz, miast kojący, wydawał się raczej złowrogi.

– Czy Juluś zamarznie, jak dziewczynka z zapalkami? – zapytała drżącym głosem Krysia, raz po raz pociągając noskiem. Twarz miała mokrą

od łez.

– Nie pleć głupstw! – skarciła ją Emilia. Zabrzmiało to o wiele ostrzej, niż zamierzała.

Woźnica zdjął latarenki przyczepione do sań i podał jedną z nich Jakubowi, a drugą wziął sobie.

– My pójdziemy w las – zarządził Jakub. – Ty, Emilio, zostaniesz z Krysią przy saniach.

– Chcę iść go szukać. – Modrzycka usiłowała zaprotestować. Nie mogła wyobrazić sobie bezczynnego siedzenia w saniach, gdy wśród ciemności tak wiele niebezpieczeństw czyhało na jej małego synka. Jakaś jej część przyznawała jednak mężowi rację. Ktoś musiał zaopiekować się Krysią. Poza tym ognisko rozpalone nieopodal sań było dobrze widoczne z różnych stron. Powinny tu poczekać na wypadek, gdyby chłopiec sam się odnalazł.

– Tu są ślady – powiedziała nagle Krysia. – Jakby ktoś coś ciągnął... Może Julusia porwał zły smok albo jakiś inny potwór, który wyłonił się z mroku? – rozważała, ale nikt z dorosłych nie zwrócił uwagi na jej bajania.

Wszyscy troje wpatrywali się w ślad po płożach małych sanek, które Jakub wziął, by spełnić poranną obietnicę. Przez całą drogę Juluś wypytywał ojca, czy na miejscu na pewno będzie odpowiednia górka i czy po ciemku też dadzą radę zjeżdżać.

– Nie będzie ciemno – odpowiadał Jakub wymijająco. – Przygotowałem wielkie ognisko.

– Sanki... – wymamrotał teraz Modrzycki tknięty nagłą myślą. Pędem puścił się po śladzie wyraźnie odcinającym się szarą wstęgą na rozmigotanej bieli nienaruszonego śniegu. Miejsce, gdzie znalazł Julusia, nie było odległe, ale chłopczyk zdążył już wejść w głęboki las, który tłumiał odgłosy nawoływania. Ognisko było jednak wciąż widoczne. Dopiero po chwili Jakub pojął, że jest dostrzegalne dla dorosłego człowieka, a nie dla kilkuletniego malca.

– Synku! – krzyknął, przypadając do Julusia i chwytając go w ramiona.

– Zgubiłem się... – płakało dziecko. – Nigdzie cię nie było, tatusiu. Nie było cię.

Ten szloch rozdzierał serce Jakuba, a wypowiedane przez malca słowa napępniały duszę ojca dziwną goryczą. Jakby usłyszał prawdę, którą od dawna przeczuwał, ale nie chciał jej przyjąć.

– Juluś... Juluś... – powtarzał tylko, raz po raz całując główkę chłopca.

Woźnica naprędce zasypał ognisko, zagarniając śnieg wielką łopatą. Ogień zasyczał i zgasł. Smuga stalowego dymu uniosła się w niebo. Mo-drzycki ułożył synka w ramionach siedzącej już w saniach żony. Emilia miała zaciśnięte usta. Ani razu nie spojrzała w stronę Jakuba.



## Rozdział 5

– Już dość, Jakubie – rzekła stanowczo Emilia, patrząc gdzieś ponad jego ramieniem. – Dość tych wszystkich niedorzeczności.

Modrzycki chciał zaprotestować, powiedzieć cokolwiek, lecz słowa uwięzły mu w gardle. Ostatecznie przecież wszystko dobrze się skończyło. Odnaleźli Julusia całego i zdrowego. Chłopiec spał teraz wtulony pomiędzy matką i ojcem, szczelnie okryty futrami. Jakub czuł bijące od niego ciepło, ale lodowate szpony strachu wciąż mocno go trzymały. Było zbyt blisko tragedii, by jej ostateczne uniknięcie pozwoliło odetchnąć z ulgą. Z powodu czczej rozrywki mógł stracić ukochanego syna. Emilia miała rację. Cały plan ratowania małżeństwa przy pomocy zwykłej zabawki, zadań, wspólnego spędzania czasu wydał mu się nagle sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem. W świecie dorosłych cuda się nie zdarzały, a popsutych relacji nie dało się naprawić tak łatwo, jak pozytywki czy nakręcanego żołnierzyka. Nadszarpięte zaufanie pozostawało nadwątlone, wygasłej namiętności nie dało się rozpalić w pojedynkę.

Jakub łudził się, że wspomnienia dobrych chwil powoli zbliżą ich do siebie, a Emilia znów go pokocha i z własnej woli zrezygnuje dla niego ze schadzek z tamtym. Najwyraźniej jednak to, co go czekało, dalekie było od „i żyli długo i szczęśliwie”, którym to zdaniem kończyły się wszystkie bajki dla dzieci. A może po prostu każdy, kogo granice wyobraźni sięgały ciut dalej, wiedział, że pewnego dnia i za siedmioma górami, i za siedmioma lasami na każdą królową i jej oblubieńca przychodzi nieuchronny kres. Wszystko kiedyś musi się przecież skończyć. Nic nie trwa wiecznie. Być może jedynym, co pozostaje, jest akceptacja. Po co więc tracić siły na walkę o coś, czego już nie ma?

Jakub Modrzycki skinął głową w ciemnościach.

– Masz rację, Emilio, już dość – powiedział w zamyśleniu.

Przez całą podróż nie mówili ze sobą więcej. Gdy zajechali pod dom, Emilia zbudziła delikatnie Krysię i zaprowadziła ją do środka. Po chwili Jakub, wzięwszy na ręce śpiącego syna, podążył ich śladem. Płatki śniegu opadały na jego policzki i staczały się z nich jak niewypłakane łzy żalu za miłością, która zniknęła bezpowrotnie.

Następnego ranka znów było jak zawsze. Modrzyccy ponownie stali się trybikami doskonale naoliwionego zegara. Skończyły się wszelkie odstępstwa od rutyny, które od początku adwentu dawały im tyle radości.

By podkreślić nieuchronność swojej decyzji, wieczorem następnego dnia po kuligu Emilia oznajmiła, że przyjaciółka zaprosiła ją na specjalny pokaz baletu „Dziadka do orzechów”.

Nikt z domowników nie zaoponował. Juluś był wciąż przestraszony po przeżyciach poprzedniego wieczoru. Krysię trawiły wyrzuty sumienia, że pozwoliła bratu odejść gdzieś samemu. Jakub zaś zadreślał się, że zignorował obietnicę daną malcowi. Wciąż słyszał w głowie echo słów szeptanych przez dziecko w ciemności.

„Nie było cię, tatusiu”. Czyżby Juluś miał rację? Czy o to właśnie chodziło Emilii? Czy jego nieobecność, niemal całkowite oddanie się pasji zabawkarskiej było początkiem ich końca?

Wraz z zadaniami z kalendarza zniknęła też swoboda, z jaką odnosili się do siebie w ostatnim czasie małżonkowie. W dwa dni po wyprawie dzieciom nadal podawano śniadanie do łóżek, w których na wszelki wypadek miały jeszcze pozostać. Tymczasem Modrzyccy w milczeniu pili kawę, pogryzając bułeczki, Jakub z masłem i konfiturą, Emilia z masłem i słodkim twarożkiem. Kęs po kęsie, raz po raz stukając filiżankami, by czymś zagłuszyć nieznośną ciszę.

Po skończonym posiłku Jakub otarł usta serwetką, bez słowa uklonił się żonie, choć równie dobrze gest ten mógł być skierowany do kryształowego wazonu z pachnącymi świerkowymi gałązkami, tak bardzo był bezosobowy. W tej samej chwili z gałązek bezszelestnie spadły pierwsze ususzone

igiełki. Okienko kalendarza pozostało tego dnia zamknięte. Nikt nie nakręcił nocą mechanizmu, by podtrzymać czarowną iluzję.

Trzy kwadranse później Jakub zatrzymał się przed drzwiami swojego sklepu. Rzęsiście oświetlona wystawa w szarudze przedświtów nie wyglądała już tak magicznie jak nocą.

Modrzycki poczuł irytację. Co roku w adwencie, nie bacząc na koszty, nakazywał zostawić wystawę rozświetloną od południa, gdy zapadał zmrok, aż do poranka.

– Będzie świątecznym w mroku – odpowiadał niezmiennie, gdy subiekci wyrażali wątpliwość co do słuszności tego pomysłu. Uliczka, przy której ulokowany był sklep Modrzyckiego, leżała nieco na uboczu, a ceny elektryczności były niemałe. – Symbolem nadziei na przekór rozsądkowi – dawał, uśmiechając się.

Teraz patrzył na wystawę i nie potrafił dostrzec ani jej urody, ani owej nadziei. Widział tylko kilka gustownie ułożonych przedmiotów oświetlonych zbytkownie neonami. Żadnej magii. Żadnego czaru.

Zniesmaczony odwrócił wzrok od okna wystawowego, wsunął klucz w zamek i przekręcił go z dziwnym trudem. Oddychało mu się dziś jakoś ciężko, każdy krok stawiał z móżdżkiem, jakby życie nagle zaczęło kosztować go strasznie dużo wysiłku, stało się tak okropnie wyczerpujące.

Wszedł do wzorowo wysprzątanego wnętrza sklepu, lecz zamiast wytrzeć starannie pantofle, przemierzył główną salę, zostawiając na czystej podłodze błotniste kleksy. Na zapleczu opadł na taboret i zamyślił się głęboko, choć gdyby ktoś spytał go, nad czym tak duma, nie potrafiłby odpowiedzieć.

Po jakimś czasie dzwonek przy drzwiach brzdęknął dwukrotnie, gdy punktualnie kwadranse przed dziesiątą pojawili się subiekci.

– Ale bałagan! – Modrzycki usłyszał w oddali głos Pawłowskiego, któremu rodzice zapewne z braku polotu, a może dla ułatwienia synowi życia, dali na imię Paweł. – Jak pan Modrzycki to zobaczy...

– Sam musiał tak nabałaganić – stwierdził Szczekot. Jego nazwisko idealnie oddawało zadziorną naturę młodzieńca.

– Jakże to tak? – zachnął się Pawłowski. Chłopak nie należał może do najbystrzejszych, miał za to ujmujący uśmiech i co ważniejsze, jak nikt potrafił rozmawiać z dziećmi. – Nie chciało ci się wieczorem posprzątać porządnie i teraz szukasz winnego. Przecież pan Modrzycki nade wszystko ceni sobie porządek!

„Pan Modrzycki ceni sobie porządek”, słowa subiekta odbiły się echem w głowie zabawkarza. Wszyscy mieli o nim swoje zdanie. Jego dzieci, ciotki i kuzyni, koledzy od wista, a nawet subiekci. Wciąż słyszał głosy tych ostatnich, ale przestał rozróżniać słowa. Zaczął bowiem zastanawiać się nad tym, kim tak naprawdę jest ów Jakub Modrzycki, którego wszyscy tak dobrze znają, choć on sam niewiele o sobie wie. Nigdy wcześniej nie odczuwał potrzeby pochylania się nad tą kwestią. Trwał w zadowoleniu głęboko przekonany o tym, że jego bliscy, dzieląc z nim radości, również czują się szczęśliwi.

W tej samej chwili pojął, że choć zbrodnię popełniła Emilia, winny był nie kto inny, tylko on. Podobnie było z Julusiem. Choć dziecko samo odeszło od rodziców, miało ku temu realny powód.

Zniechęcenie, które towarzyszyło mu od dnia kuligu, zniknęło jak płatek śniegu, który opadł na wyjętą z rękawiczki dłoń.

Nie, nie mógł się poddać. Nie teraz, gdy był o krok od zwycięstwa. Widział to przecież w oczach Emilii owego ranka, gdy planowali ten nieszczęsny kulig. Wciąż coś do niego czuła. Gdzieś w głębi jej serca, może na samym dnie duszy, nadal tliły się iskierki uczuć. Być może miłość i przywiązanie jego żony dogasały, ale wciąż jeszcze miał szansę, a co za tym idzie – nadzieję.

Jakub postanowił walczyć do końca. Dotąd jednak robił to przede wszystkim dla siebie, by zwyciężyć. Nie chciał, żeby żona odeszła z tym. Nie chciał żyć bez niej. Teraz pragnął pokazać Emilii, iż się myliła, sądząc, że o niej zapomniał, że jest nieważna, mniej znacząca niż jego praca

i pasja. Zamierzał wynagrodzić jej to wszystko, przez co z powodu jego nieuważności musiała przejść przez ostatnie lata.

Zerwał się z krzesła i wybiegł z warsztatu. Nie zauważył nawet dziewczynki z warkoczykami, którą lekko popchnął w drzwiach. Zignorował oburzone okrzyki jej matki, tak samo jak wcześniejsze, pełne satysfakcji stwierdzenie Szczekota.

– Patrz na jego buty! Mówiłem, że to Modrzycki. Może wcale nie znamy go tak dobrze, jak nam się wydaje.

## Rozdział 6

Jakub wybiegł ze sklepu, szybko zorganizował transport i gdy tylko subiekt ci zamknęli zabawkarnię tego dnia, a w teatrze rozpoczęło się przedstawienie „Dziadka do orzechów”, zajął się przewiezieniem do mieszkania niespodzianki dla Emilii.

Sowicie opłacił kilku mężczyzn, by pomogli mu w realizacji jego planu. Nic sobie nie robił z wymienianych ukradkiem pogardliwych spojrzeń, jakimi zwykle obrzuca się zniedołężniałych starców i dziwaków. Miał dość pieniędzy, by nakazać innym pracę, a teraz liczyło się tylko to, by zdążył przed żoną.

Ręce zgrabiwały mu od mrozu, gdy jechał z konieczności odsłoniętym powozem, przytrzymując podarek dla Emilii. Żołądek przyklejał mu się do kręgosłupa, bo od rana nie miał nic w ustach.

Kiedy dotarł do domu, odmówił jednak kolacji, nie było na to dość czasu. Powstało okropne zamieszanie. Po ich mieszkaniu w tę i z powrotem kursowali różni ludzie odprowadzani spojrzeciami coraz bardziej zaintrygowanych dzieci, które raz po raz wymieniały cicho między sobą jakieś uwagi, śmiały się i podskakiwały, jakby nie mogły pomieścić w sobie nadmiaru emocji wywołanych ekscytującymi wydarzeniami.

Ojciec surowo przykazał Julusiowi i Krysi, że muszą dotrzymać tajemnicy.

– Niczym się nie zdradzicie, prawda? – zapytywał ich raz po raz.

– Nie piśniemy ani słóweczka – obiecywali na zmianę, kiwając główkami.

Na wszelki wypadek, by nie ulec pokusie, Krysia namówiła brata, żeby tego dnia wcześniej poszli do łóżek. Jakub był jej za to bardzo wdzięczny.

Widział, że dzieci mimo zagubienia spowodowanego trwającym wokół nich chaosem były zachwycone, a w ich oczach znów dostrzegł owo ożywienie, które zniknęło na kilka dni. Naraz dotarło do niego, że choć próbuje odzyskać Emilię dla siebie, robi to także dla nich. Ta myśl dodała mu sił.

Wreszcie trzasnęły drzwi. Usłyszał lekkie kroki w korytarzu, a potem zamknęły się drzwi do buduaru Emilii. Chciał dać jej czas. Jeśli skłamała i wcale nie była w teatrze z przyjaciółkami, potrzebowała chwili, by zmyć z siebie zapach tamtego mężczyzny.

Jakubem szarpnęły mdłości, ale zaraz począł wmawiać sobie, że to na pewno z głodu. Wsłuchany w odgłosy krzątania za ścianą musiał przysnąć. Gdy się obudził, w domu panowała cisza, jaką można usłyszeć tylko pośród ciemnej nocy, gdy wszyscy domownicy głęboko śpią. Na palcach, ostrożnie, by ich nie zbudzić, przeszedł do sypialni małżonki.

– Emilio... – szepnął i wiedziony czułością delikatnie odsunął jej z twarzy kosmyk włosów. Wiedział, że nie powinien tego robić, ale nie zdołał oprzeć się pokusie.

Kobieta wzdrygnęła się, otworzyła oczy, a ujrawszy nad sobą męża, zerwała się jak oparzona. Usiadła na łóżku i spojrzała na Jakuba wciąż lekko nieprzytomnym wzrokiem.

– Juluś... – wykrztusiła przerażona. – Co z nim? Co z moim dzieckiem?

Jakubowi przemknęło przez myśl, że jeszcze kilka lat temu przyjęłaby te nieoczekiwane nocne odwiedziny w swojej sypialni uwodzicielskim uśmiechem, który byłby zapowiedzią pełnych rozkoszy chwil mających niedługo nadejść. Dziś zaś odczytała jego przyjście jedynie jako zwiastun złej nowiny. Modrzycki poczuł ukłucie przykrości, a potem złość, gdy przed oczyma stanął mu jegomość z karety. Ciekawe, czy na niego także Emilia reagowała w ten sposób. A może teraz ów uśmiech, który wciąż pamiętał z dawnych dni, zarezerwowany był wyłącznie dla tamtego mężczyzny?

Lekko potrząsnął głową, by odpędzić natrętne myśli. Nie czas było na nie. Musiał trzymać się planu.

– Juluś śpi spokojnie – zapewnił czym prędzej.

– Aleś mnie przestraszył! – westchnęła Emilia, opadając na poduszki.

– Przepraszam, nie chciałem... – Jakubowi zrobiło się dziwnie niezręcznie i w jednej chwili zdania, które układał sobie w głowie przez cały wieczór, gdzieś się ulotniły.

– Czemu tu przyszedłeś? – zapytała Emilia.

Dopiero teraz Modrzycki zauważył, że żona baczenie mu się przygląda.

– Jest coś, co być może chciałybyś...

– Byłeś dziś na wiście? – spytała znowu Emilia, podciągając wyżej kołdrę, jakby chciała się przed nim osłonić.

Nagle dla Modrzyckiego stało się jasne, dlaczego żona tak uważnie mu się przypatruje. Nie próbowała odgadnąć jego myśli. Szukała raczej oznak upojenia alkoholowego, które pchnęłoby go do naruszenia jej nocnego odpoczynku. A może bała się, że będzie żądał od niej czegoś więcej?

Pokręcił pospiesznie głową. Nie przyznał się jednak, że znów zapomniał o spotkaniu z przyjaciółmi, bo tak przejęty był przygotowywaniem niespodzianki dla niej.

– Co zatem? – ponagliła. – Jest pewnie okropnie późno...

– Dochodzi druga – odparł odruchowo, choć przecież Emilia nawet nie spytała o godzinę.

Skrepowanie narastało. Myśl, jakiej uchwycił się kurczowo kilka godzin wcześniej, ta sama, która wyrwała go z otępienia, teraz wydawała mu się niedorzeczna. Czy naprawdę zrobił coś złego? Dlaczego wina miała leżeć po jego stronie, przecież to nie on ją zdradził. Od ślubu z Emilią niemal nie dostrzegał istnienia innych kobiet, podczas gdy jego żona utrzymywała potajemne stosunki z tamtym ekscentrycznym młodzieńcem.

Naraz wszystkie spojrzenia, które przez cały dzień posyłały w jego stronę kolejne osoby, zapiekły go mocno. A może właśnie to była prawda o nim? Może był tylko dzieciinniałym, starzejącym się mężczyzną zanurzonym w stworzonej przez siebie iluzji?

– Jakubie, co z tobą? – Głos Emilii przywrócił go do rzeczywistości.



– Chciałem ci coś pokazać – wyrzucił z siebie, lecz zamiast ulgi poczuł jeszcze większe zdenerwowanie.

– A cóż może być do zobaczenia o tej porze? – Emilia nie kryła zdziwienia.

– Niespodzianka... – rzekł cicho, wpatrując się w swoje dłonie, bo nie śmiał podnieść na nią oczu.

Dostrzegłby każdy najmniejszy cień pogardy na jej twarzy i nie zniósłby tego widoku.

Tymczasem ona spojrzała na niego wzrokiem człowieka zasmuconego tym, że znalazł się w położeniu bez wyjścia.

– Co się z nami stało, Emilio? – zapytał cicho, zupełnie nie panując nad słowami i nie patrząc na nią.

Odwróciła wzrok w stronę okna. Za taflą szkła niesione wiatrem duże, białe płatki śniegu wirowały w niespokojnym tańcu. Jedno zdawkowe słowo wystarczyłoby, żeby zniknęło to nieznośne napięcie. Jedno słowo mogło zakończyć to wszystko bądź też sprawić, że oboje odetchnęliby głębiej. I choć ulga ta byłaby tylko chwilowa, Emilia pragnęła właśnie tego odroczenia. Chciała jeszcze na trochę odsunąć od siebie moment ostatecznego wyznania prawdy Jakubowi, koniec ich wspólnej historii. Nie potrafiła odgadnąć, skąd brało się to wahanie, ale wyraźnie je odczuwała. W jej duszę wkradła się niepewność.

Jej usta się zacisnęły, nie zdołała wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Opuściła nogi na podłogę, wstała i nie spojrzawszy nawet w stronę męża, sięgnęła po podomkę.

– Chodźmy zatem – rzuciła, ignorując jego ostatnie pytanie.

Jakub powiódł ją do pokoju, w którym niegdyś planowali urządzić gabinet dla Emilii. Na początku małżeństwa byli jednak zbyt zaabsorbowani sobą, by tracić czas na wcielanie w życie tego planu, a potem pojawiły się dzieci i pomysł odszedł w zapomnienie.

– Doskonale wystarcza mi mój stolik w sypialni – zapewniała żarliwie Emilia, ale Jakub nigdy nie był do końca pewny, czy powinien jej wierzyć.

Zastanawiał się też, dlaczego jego gabinet urządzili niemal od razu, a ona musiała czekać na swój osiemnaście lat, przecież nie brakowało im pieniędzy.

– Zamknij oczy – poprosił, ale żona spojrzała na niego poważnie.

– Prosiłam, byś z tym skończył – rzekła. – Nie chcę już żadnych niespodzianek, Jakubie. Choć raz uszanuj...

Modrzycki, nie zwlekając dłużej, otworzył drzwi.

W pustym, świeżo odmalowanym pokoju, w którym wzdłuż ścian ustawił wazony z różami, na samym środku stał rzęsiście oświetlony, wspaniały domek dla lalek.

Był to okazały model zmyślnie ukryty w dwuskrzydłowej walizce, nieco przypominającej szafę. Jakub inspirował się w tym względzie dawnymi, sięgającymi czasów królów Polski, biblioteczkami podróżnymi, które w razie potrzeby można było rozłożyć, a do transportu zamknąć skrzydła i zahaczyć zameczek, by zawartość pozostała bezpieczna.

Domek miał parter i dwa piętra oraz urokliwe poddasze. Na dole mieściły się pomieszczenia magazynowe, w tym okazała spiżarnia, w której ustawione były małe beczki, wykonane z drewna miniaturowe warzywa, a z sufitu zwisały pęta kiełbasy. Dalej znajdowała się wielka kuchnia, pokoje dla służby oraz izba praczek. Każdy pokój opowiadał osobną historię i tu, i na piętrach, gdzie znajdowały się bardziej paradne izby. Gabinety, salon, jadalnia, pokoje dla dzieci i przylegające do nich izby piastunek. Była nawet umywalnia, w której pociągnąwszy za sznurek, można było spuścić wodę w toalecie lub napełnić nią cynową miskę. Na półkach stały ułożone równo grzebienie, szczotki, a także miniaturowe gąbeczki w różnych kolorach. W sypialni ustawiono łóżko z zasłonami, w salonie mikroskopijny fortepian, a w każdym pomieszczeniu znajdował się elegancki piec kaflowy.

Przestrzeń wypełniały małe mebelki, mnogość naczyń, wazonów, a dbałość o detale zadziwiała.

Było tu mnóstwo rozmaitych codziennych przedmiotów wykonanych z niezwykłą starannością. Całość sprawiała przyjemne wrażenie przytulności i ciepła. Ten domek miał zostać wkrótce wysłany do dóbr Kronenber-

gów w Wieńcu, jako podarek dla kogoś z rodziny, lecz Jakub zdecydował, że nie nada przesyłki. Od miesiący pracował nad tym domkiem, wkładając weń całą duszę, i nazbyt się doń przywiązał, by mógł go sprzedać.

Tego ranka zrozumiał, że jest tylko jedna osoba warta tego, aby go mieć.

– Przepraszam, że tak długo kazałem ci czekać – wykrztusił przez zaciśnięte z emocji gardło.

Emilia nie odpowiedziała.

– Przepraszam... – szepnął raz jeszcze.

– Boże jedyny, co ja zrobiłam? – jęknęła Emilia, padając na kolana przed domkiem i szlochając żałośnie.

Jakub patrzył na jej drżące ramiona, a jego serce rwało się ku niej. Chciał przytulić żonę, ukoić jej ból, ale wiedział, że nie może tego uczynić.

Wykonał ostatni ruch. Teraz decyzja należała już tylko do niej i nieważne, jak bardzo miałby cierpieć, musiał pozwolić jej ją podjąć.

Wycofał się z pokoju i cicho zamknął za sobą drzwi. Do sypialni odprowadzał go dźwięk rozpaczliwego szlochu Emilii.

## Rozdział 7

Wreszcie Emilia przestała płakać. W dziwnym oszołomieniu wróciła do swojej sypialni, rozebrała się i położyła do łóżka. Chciała zasnąć. Zapomnieć o wszystkim. O wymarzonym domku dla lalek, najpiękniejszym, jaki kiedykolwiek widziała. To właśnie on okazał się kluczem do drzwi, o których sądziła, że są już dawno zamknięte. Nie chciała również pamiętać o tym, co działo się przez ostatnie tygodnie, o niedorzecznym pomysle z zadaniami z kalendarza adwentowego, o zabawie, która zmąciła jej spokój.

Decyzje zostały już podjęte, a teraz musiała przyznać sama przed sobą, że tych kilkanaście dni wystarczyło, by zaczęła wątpić w ich słusność. Wcześniej była pewna nieuchronnego końca swojego związku. Zdawało jej się, że dłużej nie mogą żyć ze sobą z Jakubem. Podtrzymywanie złudzenia małżeństwa, ciągle kłamstwa, półprawdy, konieczność ukrywania się, prowadzenia podwójnego życia, wszystko to nazbyt ją męczyło, pozbawiało sił, mąciło też prawdziwe szczęście, które znalazła z dala od męża. Chciała wreszcie poczuć się wolna, rzucić z barków ów nieznośny ciężar, zacząć raz jeszcze.

Gdy przyjmowała oświadczyzny Jakuba, miała zaledwie osiemnaście lat. Może od początku nie było między nimi mowy o miłości? Może po prostu zachłysnęła się zachwytem, który dostrzegła w jego oczach, gdy na nią patrzył, a może chodziło o coś całkiem innego. O coś, czego nie potrafiła sobie już przypomnieć. Obraz tamtej wchodzącej w życie dziewczyny niemal całkowicie się w niej zatarł. Była teraz dorosłą, dojrzałą kobietą i wreszcie wiedziała, czego chce od życia, a przynajmniej do niedawna tak jej się zdawało.

Zaraz po świętach zamierzała odbyć poważną rozmowę z Jakubem, wyznać mu całą prawdę, zawiadomić, że chce wszcząć sprawę o rozwód, i przedstawić, jak odtąd stać będą sprawy pomiędzy nimi. Planowała rzec

się jakichkolwiek praw do majątku, żądając jedynie zwrotu połowy wartości wiana. Uważała, że było to sprawiedliwe rozwiązanie, dzięki któremu ona sama będzie zabezpieczona finansowo, a mąż nie dozna znaczącego uszczerbku na swoich finansach.

Była też gotowa zgodzić się, by dzieci zostały przy ojcu. Długo nad tym myślała. Wiedziała, ile Jakub przeszedł w przeszłości, pamiętała o śmierci jego pierworodnego syna i miała świadomość, że choć nieczęsto to okazywał, jest bardzo związany z Krysią i Julusiem. Po prawdzie czuła też wątpliwości, czy w jej nowym życiu będzie miejsce dla dzieci. Ta myśl była jedynym cieniem na jasnej wizji przyszłego szczęścia, które miało wkrótce stać się jej udziałem, i sprawiała jej realny ból. Dlatego też starała się zepchnąć ją na obrzeża świadomości, licząc na to, że z czasem te kwestie same jakoś pomyślnie się ułożą.

Dzieci nie mogły być dla niej kotwicą. Nie mogła z ich powodu zrezygnować z własnego życia. Była z nimi od pierwszych chwil, patrzyła, jak rosną, wciąż zbyt szybko, zaskakująco. Wiedziała lepiej niż ktokolwiek inny, że dzień, w którym dorosną, nastąpi o wiele szybciej, niżby sobie tego życzyła. Pójdą wówczas własną drogą, taka jest odwieczna kolej rzeczy, a ona zostanie sama w pustce własnego życia. Nie, nie mogła zmarnować szansy na szczęście, którą podarował jej los. Miała już swoje lata, więc według wszelkiego prawdopodobieństwa mogła to być jednocześnie ostatnia taka okazja.

– Muszę to zakończyć – mamrotała, wciąż na nowo przekonując samą siebie, że ma słuszość i prawo, by tak postąpić.

Wielokrotnie wyobrażała sobie przebieg rozmowy z mężem, układała w głowie zdania, które wypowie, próbowała przewidzieć reakcje Jakuba i zawczasu przygotować na nie odpowiedzi. Wystarczająco chłodne i wyważone, tak by nie pozostawić żadnych wątpliwości co do braku nadziei na zmianę ich wzajemnych stosunków. Wiedziała, że wtedy będzie musiała wyznać mu swoje winy, i chyba tylko to, ów wstyd, że sprzeniewierzyła się danemu słowu i dopuściła zdrady, powstrzymywał ją przed wcześniejszym

załatwieniem sprawy. Przyrzekła jednak sobie zamknąć tę kwestię przed końcem roku.

Ostatnie dni przypomniały jej jednak całkiem nieoczekiwanie, jak cudowne były kiedyś chwile spędzane razem. Czyżby zatęskniła za tamtym czasem?

– To nostalgia. Nic więcej – upomniała się surowo, wypowiadając słowa w ciemność. – Wszystko dobrze przemyślałam. Już postanowione.

Ile razy od początku grudnia szeptała te słowa, chodząc tam i z powrotem po pustej sypialni wśród bezsennych nocy? Dręczona bezsennością, a może wyrzutami sumienia.

Teraz musiała przyznać sama przed sobą, że już wtedy zaczęła wątpić w słuszność tego wszystkiego, na co jeszcze niedawno była zdecydowana.

I tej nocy niosący zapomnienie sen za nic nie chciał nadejść. Pod powiekami wciąż widziała domek dla lalek oświetlony ciepłym światłem maleńkich lamp. Obrazy wieczornych przeżyć nakładały się na jej wspomnienia wspólnie przeżywanych w ostatnim czasie przygód. W jej głowie kołatało się nieznośnie ostatnie pytanie Jakuba.

Przecież dobrze znała na nie odpowiedź.

Mimowolnie zaczęła wspominać wydarzenia ostatnich jesiennych tygodni. Szła po własnych śladach drogą, która doprowadziła ją do rozdroża, gdzie nie było już prostej ścieżki naprzód. Musiała dokonać wyboru.

## Rozdział 8

Tamtego dnia, gdy zmieniło się wszystko, Emilia Modrzycka narzuciła na ramiona podomkę, wsunęła wąskie stopy w wygodne pantofle i podeszła do okna. Odsunęła zasłony i wyjrzała na zewnątrz. Niebo zasnuwane było gęstymi, nabrzmiętymi od deszczu chmurami. Późnojesienne poranki zawsze napawały ją dziwnym smutkiem. Cały świat zdawał się wówczas szary i jakby niepewny, czy już zbudził się ze snu lub czy w ogóle jest po co wygrzebywać się z mroku. Ona czuła się podobnie. Od wielu miesięcy, a może i lat. Nie potrafiła dokładnie wskazać momentu, kiedy zaczęła doskwierać jej samotność. Miała dzieci, dużo czasu spędzała ze swoją rodziną i koleżankami, udzielała się w wielu towarzystwach dobroczynnych, a jednak coraz silniej odczuwała jakiś brak, coś na kształt tęsknoty.

Może miało to związek z pierwszymi oznakami starzenia się. Stojąc przed lustrem, coraz wyraźniej dostrzegała bruzdy zmarszczek, wiotkość skóry, bladość cery, biust opadający po wykarmieniu dwójki dzieci. Czuła, że przemija, i choć jeszcze tak niedawno serdecznie śmiała się z rozmów koleżanek polecających sobie nawzajem sposoby na jak najdłuższe zachowanie młodości, teraz, nieoczekiwanie dla niej samej, kwestia ta zaczęła spędzać jej sen z powiek.

Rozważała nawet skorzystanie z aparatu pneumatycznego ssącego systemu Heros, ale w ostatniej chwili zabrakło jej odwagi. Opis zamieszczony w „Dobrej Gospodyni”, w którym autorka szczegółowo pouczała czytelniczki, jak prawidłowo przyssać końcówkę urządzenia pod pachą, a potem cały czas przyczepioną do nagiej skóry przesuwając ostrożnie wzdłuż natłuszczonej mieszanką masła kakaowego, miodu i tranu piersi, przeraził ją. Dość cierpień zadało jej już karmienie dzieci, a samo wspomnienie bólu z tym związanego wciąż przyprawiało ją o mdłości. Zamiast tego, zmierzwszy uprzednio dokładnie szerokość pleców, zamówiła od B. Prusiewi-

cza z Poznania ściągał ramion „Sasza” w cenie dziewięciu złotych. Codziennie wykonywała też ćwiczenia gimnastyczne i wcierała w biust rozmaite mazidła, ale po prawdzie nie widziała większych efektów.

Czas nieubłaganie zmieniał jej ciało, nie pytając o zgodę. Starła się jednak za wszelką cenę ukrywać to przed światem, nade wszystko zaś przed Jakubem.

Na myśl o mężu skrzywiła się nieznacznie.

– On i tak niczego by nie zauważył – mruknęła do siebie i ciałniej zawiązała troczki podomki.

Zdawało jej się, że pochłonięty bez reszty pracą mąż przestał ją zauważać. Od początku wiedziała o jego pasji i godziła się na nią, tak jak towarzyski życia artystów zawsze pozostające w cieniu geniuszów. W przeszłości wiele razy żartowali na ten temat z Jakubem, a przekomarzania te każdorazowo kończyły się zapewnieniami o płomiennym uczuciu. Jednak tak było dawniej, a teraz...

– Teraz już nie – syknęła.

To, co przed laty połączyło ją i Jakuba, wcześniej znała wyłącznie z wierszy i prawdę rzekłszy, nie podejrzewała, że coś podobnego może przydarzyć się komuś, kto nie jest poetą. Tylko oni zdawali się zdolni do tak płomiennego uczucia niepopartego żadną logiką.

Gdy Emilia wyrosła z okresu nadmiernej egzaltacji, jej spojrzenie na ten temat jeszcze się wyostriżyło i uznała, że nawet poeci tak naprawdę nie doświadczają tego wszystkiego, o czym piszą, a jedynie to sobie imaginują, by nie stracić profesji.

– Wmawiają sobie ciągle czucie czegoś, a gdy wypiją dość tego, co poeci zwykli popijać, zaczynają wierzyć, że to prawda – tłumaczyła swoim koleżankom.

– A Petrarka? A Dante? A Mickiewicz? – zapytywały inne panny jedna przez drugą. – A Leśmian?

– Wszyscy to banda pijaków i miłośników opium – kwitowała bezlitośnie Emilia, z przyjemnością przyglądając się rumieńcom oburzenia na twarzach



swoich towarzyszek.

Oczywiście wierzyła w miłość i jak każda młoda osoba po cichu marzyła, że spotka tę jedną jedyną, prawdziwą, na całe życie, ale były to realistyczne tęsknoty. Widziała małżeństwo swoich rodziców. Niewątpliwie udane, lecz dalekie od wszelkich opisywanych w książkach wzruszeń.

Tamtej zimy wcale nie chciała iść na bal do resursy.

– Czasy się zmieniły, matuś... – powiedziała, uśmiechając się do matki szeroko. – Bywanie nie jest już niezbędne do szczęścia. Spójrz choćby na Skłodowską.

– Co z nią? – Wzmianka o naukowczyni wyraźnie skonfundowała panią Szubert.

– Założę się, że nigdy nie bywała – wyjaśniła Emilia, po czym dodała, uśmiechając się jeszcze weselej: – Chyba że w laboratorium.

Matka wyszła z pomieszczenia zaczerwieniona z oburzenia, więc dziewczyna ostatecznie poszła na bal, by ją ułagodzić.

Wystarczyło jedno spojrzenie na Jakuba, by pojęła nieprawidłowość swoich wcześniejszych założeń. Tu nie było żadnej logiki, żadnego rozumowania, argumentów.

Na początku jednak nie była w stanie przyznać się do tego nawet sama przed sobą. Twierdziła, że to nic takiego, zwykły afekt wywołany balem i świąteczną aurą, która wszak zawsze sprzyja wzruszeniom. Jednak gdy Klementynka Rychłowska przysłała bilecik z zaproszeniem na wspólną ślizgawkę, serce Emilii zatrzepotało jak skrzydła motyla zamkniętego w dłoniach.

Od samego początku kochała Jakuba, a on kochał ją. Od początku wiedziała też, że połowa jego serca jest i na zawsze pozostanie zajęta przez pasję tworzenia. Wyobrażała to sobie jako rodzaj *sacrum*, do którego nikt, nawet ona, nie miał dostępu, lecz tę część także w nim uwielbiała. Tę tajemniczą przestrzeń wypełnioną po brzegi fantastycznymi wizjami oraz niczym nieskrępowanym szaleństwem tworzenia, beztroską, ale i despotyczną, domaga-

jąca się uwagi i czci. Jakub jawił się jej jako wybranek bogów, wielki twórca, który choćby chciał, nie może żyć tak jak inni.

Z biegiem lat Emilia zauważyła jednak, że owa przestrzeń zaczęła się rozszerzać, dla niej samej pozostawiając coraz mniej miejsca. Jakub, ogarnięty wizją stworzenia zabawki zdolnej oszołomić wszystkich, coraz więcej czasu spędzał w swoim warsztacie, w wolnym czasie doglądając przy okazji interesów.

Kobieta czuła, że oddalają się od siebie, ale z początku to bagatelizowała. Pozwalała, by tak się działo. Nie chciała być jedną z tych żon, o których w towarzystwie krążą anegdoty. Żon zaborczych, niedających niešťczęsnym małżonkom odetchnąć, przeżywać przygód, realizować swoich pasji.

Ona była inna. Chciała być inna.

By czymś się zająć, do czasu pojawienia się dzieci rzuciła się w wir życia towarzyskiego i działalności charytatywnej. Lubiła tę pracę, a ona lubiła ją, lecz gdy tylko Jakub prosił, by porzuciła swoje zajęcie, bo on akurat miał wolną chwilę, robiła to bez żalu. Mąż był przecież najważniejszy.

Przecucie, że coś jest nie w porządku, po raz pierwszy tknęło ją, gdy straciła trzecią ciążę. To było niedługo przed Bożym Narodzeniem. Gdy zaczęła krwawić, Jakub przebywał w warsztacie, gdzie dopracowywał projekt nowej zabawki, nakręcanej na kluczyk biedronki, która co kilka ruchów na przemian to rozkładała, to składała skrzydła.

– Każę posłać po pana – oznajmiła wtedy Helenka.

– Nic tu po nim – powstrzymała ją Emilia. – Zaraz minie.

Gospodyni skinęła głową i wyszła, zostawiając Modrzycką samą. Emilia leżała na plecach, wpatrując się w tańczące na suficie cienie, obie ręce trzymała na brzuchu, który właśnie pustoszał i czuła się samotna jak nigdy przedtem.

Pragnęła, by Jakub był przy niej. Powiedziała Helence prawdę, nie mógł się jej przydać. Nic nie zdołałby zdziałać, nie miał mocy odwracania boskich wyroków. Ale mógł być blisko. Po prostu być. Trzymać ją za rękę,

otrzeć zimny pot z czoła, opowiedzieć jedną z tych swoich niestworzonych historii, które rozproszyłyby smutek żony.

Nie chciała jednak absorbować go swoją osobą, odrywać od pracy będącej dlań tak ważną.

Gdy urodziła się Krysia, na jakiś czas zapomniała o swoich wątpliwościach. Całym jej światem stała się pomarszczona twarzyczka córki.

Kiedy kilka lat później przyszedł na świat Juluś, Emilia była już zmęczona matkowaniem niezwykle żywiołowej dziewczynce. Nie narzekała, nie skarżyła się nikomu i nadal była bezgranicznie zakochana w swojej córeczce, brakowało jej tylko sił. Poród był ciężki, wkrótce też okazało się, że chłopiec jest o wiele bardziej kapryśny od siostry. Nie chciał spać i żadna piastunka nie dawała sobie z nim rady. Zamykał oczka jedynie przy piersi matki, co czyniło ich niemal nierozłącznymi.

Emilia dziękowała Bogu za szczęście, jakim były dla niej dzieci, ale coraz rzadziej się uśmiechała.

Jakub tymczasem niczego nie dostrzegał. Całe dni spędzał w warsztacie, a gdy wracał, wesół i ożywiony rozprawiał przy kolacji o swoich przygodach.

Nie miała mu nic do zarzucenia. Był troskliwym ojcem, zarabiał niemało, żonę traktował z szacunkiem, wypowiadał się o niej zawsze jak najlepiej i gotów był spełniać wszystkie jej zachcianki. Pił rzadko, nie uprawiał hazardu, nie oglądał się za innymi kobietami. Dbał o rodzinę i dzieci. Świadomość tego wszystkiego pogłębiała czeluści jej rozpacz, która teraz zdawała się nie mieć końca.

Być może, gdyby nie zaznała miłości Jakuba, nie doświadczyła jego uwagi, oddania i zainteresowania, teraz nie tęskniłaby za nimi tak bardzo. Nie pragnęła pozycji, majątku czy dobrego małżeństwa na wzór swoich rodziców. Chciała jedynie miłości, tej opisywanej przez poetów, którzy, jak się okazało, byli nieomylni.

– Nie można nikogo zmusić do kochania – usłyszała kiedyś i to zdanie kołatało się w jej wnętrzu, powodując szaleńczy niepokój. Była bezradna

wobec myśli, że Jakub mógł przestać ją kochać, i zbyt dumna, by kiedykolwiek powiedzieć mu o tym czy błagać o jego uwagę.

– Prawdziwego artystę od rzemieślnika odróżnią tylko oni sami – zwykł mawiać Jakub.

Emilia wiedziała, że tak też jest z miłością. Pozory nie świadczą o niczym. Tylko kochający i kochany znają prawdę o uczuciu pomiędzy nimi.

Miała dom, rodzinę, zdrowe dzieci, nie musiała troszczyć się o finanse, a mąż był jej wierny. Tylko czemu poczucie samotności nie pozwalało jej cieszyć się tym wszystkim? I dlaczego tak tęskniła za Jakubem?

Nie rozumiała tego, co się z nią działo. Zupełnie straciła chęć do życia.

Dzieci były zbyt małe, by zauważyć cokolwiek. Opiekę nad nimi przejęła matka Emilii, na każdym kroku wspierana przez Helenkę i piastunki.

Jakub do głębi przejęty chorobą żony próbował ograniczyć godziny pracy, by jak najczęściej być przy ukochanej, ale Emilia czuła się przez to jeszcze gorzej. Nie potrzebowała jego litości i okazywania uczuć, gdy zdjęty był lękiem o jej życie. Chciała, by po prostu pragnął spędzać z nią czas, żeby jak dawniej dzielił się z nią swoimi myślami, by znów śmiali się razem, szczególnie wtedy, gdy wszystko było w porządku, a ich życie toczyło się swoim codziennym rytmem. By wówczas ją dostrzegał, nie teraz, gdy leżała złożona chorobą.

Przez kilka kolejnych tygodni prawie nie wstawała z łóżka. Pod jej oczami pojawiły się cienie, włosy miała posklejane w nieładzie, a cerę niezdrowo bladą. Na zmianę popadała w otępienie, to znów zalewała się łzami albo spała w ciągu dnia, by potem całe noce kręcić się niespokojnie w pościeli. Emilia całkowicie zatrzasnęła się w sobie. Nie chciała rozmawiać ani z koleżankami, ani z matką. Nie wiedziała zresztą, co miałyby im powiedzieć, by samej sobie nie wydać się śmieszna, gdy będzie wypowiadała te słowa. Przecież nic złego się nie działo. Powinna doceniać to, czym obdarował ją los. Nie można mieć w życiu wszystkiego. Zadręczała się tymi rozmyślaniami, tracąc nie tylko siły, lecz także jakikolwiek sens istnienia.

– Z fizjologicznego punktu widzenia nic jej nie dolega – zapewniali kolejni lekarze, których wzywał Jakub. – Młodym matkom często zdarza się

podobny stan. Proszę zadbać o prawidłowe odżywianie i dużo odpoczynku dla żony, a nerwy same wrócą do normy.

To była najgorsza zima w życiu Modrzyckiego. Jakub niemal przestał zaglądać do Emilii, bo odnosił wrażenie, że raczej rozdrażniał żonę, niż działał na nią kojąco. A gdy jej zły stan się przedłużał, uciekał z domu, bo nie mógł znieść własnej bezsilności. Całymi dniami siedział więc w warsztacie, bo praca była jedyną rzeczą trzymającą go w pionie.

Miał rację. Nie mogła znieść jego widoku, ale równie mocno pragnęła, by był przy niej, próbował rozwiać samotność i tę bezkresną czerń, która zasnuła wszystko wokół. Nie była w stanie patrzeć nawet na upragnione dzieci. Ich piski, śmiech i płacz wdzierały się w jej głowę, męczyły i drażniły, a świadomość tego tylko pogłębiała jej zły stan.

Wreszcie apatia opuściła Emilię. Siły zaczęły jej powoli wracać. Nadeszła wiosna. Dni zrobiły się dłuższe, słońce częściej zaglądało przez rozchylone zasłony, a Krysia kategorycznie żądała, żeby mama wreszcie się obudziła i poszła z nią do parku.

Wstrzymany bieg życia znów popłynął, ale tak naprawdę nic się nie zmieniło. Może tylko to, że teraz Emilia prawie nic nie czuła. Wołała jednak to od cierpienia, które stało się jej udziałem ubiegłej zimy. Pamiętając o niedawnych doświadczeniach, próbowała po prostu żyć. Działać, starać się zaangażować na przekór pustce, która kryła się w jej wnętrzu.

Dzieci rosły, coraz skuteczniej odwracając jej uwagę od niej samej. Nie miała też czasu zbyt często rozmyślać o Jakubie.

Tylko chwilami tęsknota kłuła ją gdzieś w głębi serca, przypominając, kim kiedyś była. Ostatnimi czasy już prawie nie umiała sobie tego przypomnieć. Zdawało jej się, że staje się coraz mniej widoczna, jakby przezroczysta. Mężczyźni nie wodzili za nią wzrokiem jak dawniej. Ich spojrzenia raczej prześlizgiwały się po niej, jakby nie była już pięknym kwiatem, a drzewem w parku. Jednym z wielu, niewzbudzających swoją obecnością żadnych większych emocji. Choć z pozoru nic się nie zmieniło, zauważyła, że inne kobiety także traktują ją inaczej. Młodsze nie widziały już w niej

konkurentki, starsze nie patrzyły na nią ze wzruszeniem, starając się odnaleźć w jej młodości własną, bezpowrotnie utraconą.

A przecież ona wciąż była sobą. Tą samą Emilią Modrzycką z domu Szubert i nie przestała pragnąć być zauważaną. Przyłapywała się nawet na tym, że odczuwa niechęć w stosunku do kobiet uznawanych powszechnie za niezwykle urodziwe. Ilekroć widziała w gazetach czy na plakatach zdjęcie Marii Żabkiewiczówny, tegorocznej Miss Polonia, zalewała ją chęć podarcia go na strzępy, unicestwiając tym samym promienny uśmiech przekonanej o własnej wyjątkowości młódki, która wszystko miała jeszcze przed sobą.

Gdyby mogła, chwyciłaby ją za ramiona i mocno nią potrząsnęła, by zbudzić dziewczynę ze snu, póki ta jeszcze miała czas. „A może wręcz przeciwnie”, myślała, gdy pierwsze emocje opadały. „Może powinna cieszyć się atencją, kiedy jeszcze może, bo ona tak prędko przeminie”.

Odwróciła twarz od okna. Podeszła do toaletki i nerwowymi, stanowczo zbyt gwałtownymi ruchami zaczęła rozczesywać lekko splątane po nocnym odpoczynku włosy. Starła się przy tym omijać wzrokiem lustro, które z wiekiem, podobnie jak mąż, zdawało się lubić ją coraz mniej. Z niechęcią spojrzała na ustawione w równym rzędzie słoiczki ze specyfikami mającymi pomóc jej zachować młodość.

Ostatnio najwięcej było wśród nich tych marki Abarid zawierających wyciąg z cebulek białej lili i miód. W prasie reklamowano je jako naturalne, bo jako jedne z nielicznych na rynku kosmetycznym nie zawierały żadnych szkodliwych substancji, takich jak arsenik, bizmut czy toksyczna biel ołowia.

Wszystkie jej znajome w kółko mówiły o cudownych właściwościach tych kremów. Miały one nie tylko zapewnić gładką i nawilżoną skórę, lecz także leczyć wszelkie niedoskonałości i „zjędrniać muskuły twarzy”.

– Pozwalają cofnąć czas – przekonywały się nawzajem koleżanki, kiwając przy tym żywołowo głowami, choć ich twarze nie potwierdzały prawdziwości tych słów.

Któregoś razu Emilii zaprezentowano ulotkę obiecującą, że kobieta stosująca dany preparat w ciągu ośmiu dni stanie się piękna. Zmarszczki miały

zniknąć, skóra stać się miękka i aksamitna. Pod hasłem reklamowym umieszczono wielce sugestywną grafikę. Pokazano na niej twarz niejakiej pani Drouet, która w przyobiecany czas przeszła spektakularną przemianę. Na odwrocie załączono list, w którym owa dama wyjaśniała, jak w nieco ponad tydzień udało jej się wypięknąć, i zapewniała, że każda kobieta może to osiągnąć. Potrzebuje tylko właściwych preparatów.

Po jednym z takich spotkań Emilia miała nawet ochotę opowiedzieć o tym Jakubowi, bo reklama wydała się jej nagle rzeczą niezwykle ważną, skoro ludzie byli w stanie wierzyć jej bardziej niż własnemu odbiciu w lustrze, ale mąż nie wrócił jeszcze z zabawkarni, a potem całkiem o tym zapomniała. Coraz częściej tak się działo, choć przecież dawniej mówili sobie niemal wszystko.

Emilia sięgnęła po słoiczek, odkręciła nakrętkę i z przyjemnością odechnęła kremowym zapachem. Mimo swego sceptycyzmu pilnie nakładała odpowiednią ilość preparatu na noc, a rano myła twarz przy pomocy kolejnego niezbędnego produktu, czyli abaridowych otrąbków, którymi należało dokładnie wyszorować skórę. Postępowała zgodnie z instrukcjami nie dlatego, że wierzyła w swoje powodzenie w walce z upływem czasu, lecz dla namiastki poczucia sprawczości. Desperacko potrzebowała zyskać pewność, że ma nad czymkolwiek kontrolę.

Nie przeżywała już tamtego bezsilnego smutku, który towarzyszył jej zimą, a jedynie narastającą z każdym dniem wściekłość.

Czasem miała ochotę wtargnąć do sklepu z zabawkami, stanąć przed Jakubem i wykrzyknąć mu wszystko prosto w twarz, nie bacząc przy tym na innych ludzi ani na ciepło ciekących po policzku łez. Wiedziała jednak, że nigdy nie zdobędzie się na coś takiego, i ta myśl jeszcze bardziej ją rozsierdzała.

– Starzeję się i nerwy zaczynają mi szwankować – wymamrotała do samej siebie. – Ale to minie. Wszystko minie.

## Rozdział 9

Tamtego dnia, który zmienił wszystko, Emilia postanowiła udać się z wizytą do przyjaciółki. Mieszkały blisko siebie, a jednak widywały się nie częściej niż raz do roku, tak były zaprzątnięte własnymi sprawami. Modrzycką jednak od dłuższego czasu dręczył niepokój i czuła, że postrada zmysły, jeśli nie porozmawia z kimś otwarcie.

Honorata Bliska była jej jedyną przyjaciółką. A od śmierci matki również jedyną osobą, z którą Emilia mogła szczerze mówić. Wprawdzie od czasu, gdy dzieliły ze sobą dziewczęce sekrety, upłynęło wiele lat, a ich więź znacznie się rozluźniła, nadal łączyło je owo tajemnicze porozumienie właściwe przyjaźniom z dzieciństwa.

Honorata czekała na nią ubrana w długą, aksamitną, czarną sukienkę uszytą według kroju, który już dawno wyszedł z mody. Mimo to całość prezentowała się schludnie i elegancko oraz w dziwny sposób pasowała do nieco staroświeckiego wnętrza nauczycielskiego mieszkania. Patrząc na nie, nikt nie powiedziałby, że były koleżankami ze szkolnej ławki.

Emilia zdjęła płaszcz i odpięła ostrożnie mały, granatowy kapelusik. Mogła wprawdzie zostać w nakryciu głowy, ale jakąś przyjemność sprawiała jej myśl, że Honorata będzie musiała spojrzeć i docenić jej nowy zakup dokonany u modystki na Nowym Świecie, model sprowadzony prosto z Paryża.

– Bardzo twarzowy kapelusz! – zgodnie z jej przewidywaniami stwierdziła Bliska, od zawsze lubiąca ładne przedmioty. Musnęła palcami malutkie rondo kapelusza przyjaciółki, po czym cofnęła dłoń.

Emilia przyjęła komplement skromnym skinieniem głowy, nie dając po sobie poznać, jak wiele sprawił jej przyjemności. Zaraz też poczuła się nie-



zręcznie. Nigdy wcześniej nie odczuwała potrzeby chwalenia się przed innymi i poprawiania sobie w ten sposób samopoczucia.

Zresztą, w swojej majątności nie miała przecież żadnej zasługi. Owszem, rodzice podarowali jej spore wiano, ale dobytek, którym obecnie dysponowali Modrzyccy, był w znakomitej większości zasługą talentu, wyobraźni i pracowitości Jakuba. Emilia zawstydziała się, a chcąc to ukryć, sięgnęła po filiżankę z herbatą.

I nagle, nie wiedzieć czemu, rozplakała się.

– Wychodząc za mąż, byłam taka młoda, Honoratko... – szlochała.

Gardziła samą sobą za tę nadmierną uczuciowość, ale dziś nie potrafiła nad nią zapanować. Zupełnie jakby powstrzymywane latami emocje postanowiły nie pozwolić dłużej się więzić.

– Taka młoda – powtarzała raz po raz, przykładając wilgotną chusteczkę do twarzy.

– Jak my wszystkie, kochana, jak my wszystkie. – Honorata położyła dłoń na drżącej ręce przyjaciółki i poklepała ją uspokajającym gestem.

– Ty dokonałaś innego wyboru. Byłaś mądrzejsza! – wykrzyknęła Emilia, zanim zdążyła przemyśleć te słowa. – Skończyłaś studia, masz pracę, którą kochasz. Jesteś wolną kobietą, nieograniczaną przez małżeńskie pęta.

Honorata pobladła, a jej twarz, dotąd obleczona w dobrotliwy uśmiech nauczycielki, skurczyła się boleśnie. Długie palce zadbanych dłoni zacisnęły się na kolanach w pięści mnąco gładko wyprasowaną spódnicę.

– Wierz mi, wolałabym nie być wolną... – szepnęła ledwie dosłyszalnie.

– Wybacz mi – jęknęła Emilia, przypadając do niej. – Wybacz, proszę. Widzisz, jaka jestem rozstrojona. Zupełnie nad sobą nie panuję. Inaczej nigdy bym... Nigdy... Przepraszam, Honoratko złota, przepraszam.

Było jednak za późno. Żadne przeprosiny na nic nie mogły się już zdać. Honorata stężała i nieobecny wzrokiem wpatrywała się w przeciwległą ścianę.

– Honoratko... – rzekła błagalnie Modrzycka. – Powiedz coś do mnie, proszę. Powiedz, że nie masz mi tego za złe.

– Nie mam – ucięła szybko Honorata, choć dłonie wciąż miała zaciśnięte tak mocno, że aż palce jej zbieleły, a siateczka niebieskich żył pod skórą stała się bardziej widoczna.

Emilia nie wiedziała, co mówić dalej, bo po prawdzie nie dowierzała w zapewnienie swej dawnej przyjaciółki.

– Zrobiło się późno, powinnaś już iść – odezwała się panna Bliska, gdy milczenie się przedłużało.

– Tak, tak, koniecznie. – Emilia zerwała się z kolan i wygładziła dół sukienki. – Zaraz pora podwieczorku, a ja nie wydałam Helence żadnych dyspozycji.

Nie dodała, że i bez tego gospodyni z pewnością świetnie by sobie poradziła. Zrozumiała jednak, że w ten sposób Honorata umożliwiła jej proste wyjście z kłopotliwej sytuacji.

Pożegnały się jak zwykle, choć obie wyraźnie czuły, że nic nie będzie już takie jak wcześniej.

Zasłona iluzji, którą starały się podtrzymać podczas ich nieszczęsnych spotkań, opadła.

## Rozdział 10

Wyszędłszy z pensjonarskiego mieszkanca przyjaciółki, Emilia czuła się jeszcze gorzej niż wcześniej. Nie dość, że własne życie wydawało się jej żalosne, puste i pozbawione jakiegokolwiek sensu, nieopatrzonym słowem zraniła dziś osobę, która zawsze była dla niej tak dobra.

Mimo to czuła w ustach gorzki smak żalu, który podpowiadał jej, że chodziło o coś jeszcze. Znowu czyjeś sprawy były ważniejsze od jej własnych. Nie była niedelikatna. Z całego serca współczuła Honoratce, ale tego dnia ona także potrzebowała współczucia i zrozumienia. To, że miała coś, co dla kogoś było wyznacznikiem szczęścia, wydawało się jednoznaczne z tym, że powinna być szczęśliwa. Nie była. Po wizycie u przyjaciółki czuła się więc jeszcze gorzej, bo dopadły ją straszne wyrzuty sumienia. Miała przecież tak wiele, czyżby rzeczywiście nie potrafiła tego docenić?

Szła przy wtórze szurania mioteł dozorców zagarniających jesienne liście z ulicy przed kamienicami, wspominając wypadki sprzed osiemnastu lat, o których aż dotąd nigdy nawet nie napomykała.

– Osiemnaście lat – wyszeptała z niedowierzaniem, nie pojmując, kiedy minął ten czas i dlaczego nie zauważyła jego upływu. – Osiemnaście lat milczenia.

Osiemnaście lat temu na świątecznym balu dwie świeżo upieczone maturzystki nieoczekiwanie poznały mężczyzn, którzy na zawsze zmienili ich życie.

Emilia westchnęła, bo wspomnienie, jakie nagle do niej powróciło, zakłuło ją boleśnie. Chciała rozmyślać o nieszczęściu Honoratki, tymczasem gdy tylko wspomniała bal, pod powiekami ujrzała postać Jakuba, takiego, jakim zobaczyła go wówczas po raz pierwszy.

Z pozoru nie wyróżniał się niczym na tle innych mężczyzn tego dnia bawiących się mimo wojny na balu w Resursie Obywatelskiej nieopodal Zamku Królewskiego. Był przeciętnego wzrostu, dobrej figury. Aparycję miał przyjemną, ale nie wyjątkową. W dodatku był niewiele młodszy od ojca Emilii. Wystarczyło jednak, że na nią spojrział i uśmiechnął się do niej, by zakochała się w nim, w jednej chwili zapominając o wszystkich przystojnych młodzieńcach proszących ją do tańca.

Tamtego dnia w oczach Modrzyckiego dostrzegła głęboki smutek i tęsknotę tak wielką, że na moment aż zaparło jej dech w piersiach. Wiedziała, że jest to człowiek, który nie tylko pragnie być kochany, ale gotów jest kochać z całego serca i całej duszy.

Prychnęła gniewnie i podniosła dłoń do skroni, jakby chciała zetrzeć z czoła niewidzialny pyłek.

„Kochać z całego serca i całej duszy. O nie, tego Jakub stanowczo nie potrafił”, rozmyślała z ironią. Jakiś cichy głos gdzieś na dnie jej duszy podawał to w wątpliwość, usiłował przywołać wspomnienia dobrych dni, ale Emilia nie miała zamiaru słuchać tych podszeptów.

„Ach, gdybym tylko mogła cofnąć czas”, pomyślała gniewnie, choć czuła wyraźnie nutkę fałszu zawartą w tych słowach. „Żyłabym całkiem inaczej. Wszystko byłoby inaczej. Ale pretensje mogę mieć tylko do siebie. Głupia gęś! Nie to, co Honoratka”.

Poczuła smak goryczy, gdy jej myśli znów podążyły ku przyjaciółce.

Podczas tamtego balu Honoratka poznała Bogdana Adamskiego. Jedyną rzeczą, którą Bogdan zataił przed nowo poznaną dziewczyną, była przynależność do frakcji bojowej PPS. Dwa tygodnie przed ślubem mężczyzna zniknął. Honorata szalała z niepokoju, szukała go po całym mieście, ale nikt, nawet matka, z którą mieszkał, nie wiedział, co się z nim stało.

– Będzie na czas – zapewniała Bliską przyszła teściowa. – Nieraz już tak zniknął i zawsze wracał.

Honoratka starała się więc za wszelką cenę zachować nadzieję, choć im bliżej było wyznaczonej daty ślubu, tym mniej wierzyła, że wszystko będzie dobrze. O poranku w dniu uroczystości włożyła prostą sukienkę

i powłóczyły koronkowy welon. Emilia pomagała jej właśnie zapiąć pantofelki, gdy posłaniec przyniósł bilecik.

– Otwórz – poleciła Honoratka Emilii, bo sama zajęta była nakładaniem odrobiny różu na stanowczo zbyt blade policzki. – Pewnie kolejne życzenia.

Panna Szubert wyjęła kartonik z koperty, przebiegła wzrokiem jego treść i głęboko wstrząśnięta tym, co przeczytała, zachłysnęła się powietrzem. Honoratka natychmiast odwróciła wzrok od lustra. Bez słowa wyciągnęła dłoń po przesyłkę. Był to telegram z czarną wstążeczką zawiadamiający o śmierci Bogdana Adamskiego. Panna Bliska przeczytała wiadomość, po czym zemdląła.

Obudziła się we własnym łóżku zamiast w nocną koszulę ubrana w piękną suknię ślubną. Emilia czuwała przy niej, zalewając się łzami. Honoratka nie płakała. Przez kolejne tygodnie panna Szubert spędzała z przyjaciółką każdą wolną chwilę, ale tamta nie zapłakała ani razu. Nie wypowiedziała też żadnego słowa. Jakby wraz z ukochanym straciła także głos. Przepływała przez dni nieobecna. Wreszcie wstała z łóżka, zapisała się na studia, została nauczycielką i wróciła na swoją dawną pensję, tym razem jako wychowawczyni. Od tamtego dnia przyjaciółki nigdy więcej nie rozmawiały ze sobą o tym, co się stało.

Honorata przysłała na ślub i przyjęcie weselne Modrzyckich, które odbyło się następnej wiosny. Zachowywała się zwyczajnie, uśmiechała się nawet, rozmawiała z ożywieniem, ale Emilii zdawało się, że w oczach przyjaciółki wciąż dostrzega ów niewypowiedziany nigdy wyrzut. Przecież to wszystko miało być częścią także jej opowieści, ale niesprawiedliwy los zdecydował inaczej. Modrzycka pamiętała dobrze grymas bólu, który wykrzywił twarz Honoratki, gdy ona sama pokazywała przyjaciółce prezent od męża.

Jakub przygotował dla niej wspaniałą pozytywkę, która wygrywała „Walc François”, ich piosenkę. Niestety, po kilku latach przestała działać. Emilia wciąż trzymała ją w szufladce w toaletce, ale jakoś nigdy nie zdobyła się na to, żeby poprosić męża, by ją naprawił. Był taki zajęty, taki zapra-

cowany... Nie chciała mu zawracać głowy, kłopotać go dla własnych kapryśków.

„I znowu rozmyślałam o nim”, zauważyła niezadowolona. „Wciąż o nim, tylko o nim. Czy nie mam już żadnej własnej myśli?”

Dokładnie tak się czuła, jakby Jakub i jego sprawy były całym jej życiem. Nie miałyby nic przeciwko temu, odkąd zarzuciła swoje marzenia o karierze artystycznej, by być żoną i matką, ale od pewnego czasu czuła się głęboko nieszczęśliwa, bo mąż przestał zwracać na nią uwagę.

Nie był nieczuły ani nieprzyjemny, tylko miała wrażenie, że przestał ją widzieć. Patrzył na nią tak, jak na kredens czy fotel, słuchał jej słów, lecz gdy tylko kończyła mówić, zmieniał temat.

Zaczęło padać. Emilia, która ze wzburzenia zapomniała zabrać z mieszkania Honoraty parasolkę, prędko weszła do pobliskiej kawiarni. Pierwszym, co ją uderzyło, był zapach. Wewnątrz pachniało cynamonem i wanilią, wonnymi przyprawami zwiastującymi nadejście chłodniejszych dni i tego, że wkrótce rozpocznie się czas oczekiwania na święta Bożego Narodzenia.

Szmer przyciszonych rozmów, brzdęk filiżanek, dzwonek kasy, wszystko to sprawiało, że Emilia powoli się uspokajała. Popadła w miły stan zawieszenia, coś jakby sen na jawie.

– Przepraszam, czy można? – usłyszała czyjś głos.

Wzdrygnęła się wyrwana nagle z zamyślenia.

– Proszę mi wybaczyć, nie chciałem pani przestraszyć – rzekł prędko ten sam głos.

– Nie przestraszył mnie pan – odparła odruchowo, po czym odwróciła się, by spojrzeć na rozmówcę. Przekonana, że zobaczy kelnera, na widok nieznanego mężczyzny w garniturze otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– Ośmieliłem się zagadnąć panią, gdyż w całej kawiarni nie ma już żadnego wolnego miejsca...

Emilia obrzuciła szybkim spojrzeniem kawiarniane wnętrze. Pochłonięta własnymi myślami nie zauważyła nawet, że lokal zapełnił się po brzegi. Szmer rozmów znacznie się wzmógł, a do wtóru przygrywało mu teraz bębnienie dużych kropel deszczu rytmicznie uderzających o szybę.

Mężczyzna był młody. Miał bujne, jasne, staroświecko upomadowane włosy, gładką skórę i przydługą grzywkę, którą wciąż poprawiał, bo lekko opadała mu na oczy. Ubrany był w dziwaczny fioletowy płaszcz, w którym ktoś inny z pewnością wyglądałby niedorzecznie. Pod spodem miał garnitur w grubą kratkę. Z kieszeni kamizelki wystawał mu podwójny złoty łańcuszek staroświeckiego zegarka z dewizką.

„A to dopiero cudak”, pomyślała Emilia, choć jednocześnie było w tym mężczyźnie coś, co sprawiało, że wciąż miała ochotę na niego patrzeć. Dyskretnie przesunęła wzrokiem po jego postaci.

Złapała się nawet na tym, że kilka razy zerknęła w stronę jego ust. Nagle zrozumiała, że go pożąda. Pragnęła chwycić jego twarz w dłonie i pocałować te usta.

Natychmiast odwróciła głowę.

– Czy mógłbym dosiąść się do pani stolika? – zapytał ponownie nieznajomy, nie doczekawszy się zaproszenia, na które liczył, po czym dodał jeszcze: – Przysięgam nie odzywać się wcale, jeśli sobie pani tego życzy. Desperacja popchnęła mnie do zakłócenia pani spokoju.

„Cóż za ekscentryczny jegomość”, pomyślała Emilia, wmawiając sobie rozbawienie i usiłując odepchnąć myśl, która wdarła się przed chwilą do jej głowy, wywołując niepokojące pulsowanie w podbrzuszu. Odetchnęła głębiej, w duchu modląc się, by jej policzki nie oblały się zdradzieckim szkarłatem.

– Desperacja? – powtórzyła na głos, a potem odchrząknęła dyskretnie, bo słowa zdawały się przeciskać przez jej gardło z dziwnym trudem.

– Otóż to, szanowna pani, desperacja – przytaknął nieznajomy, a Emilia gotowa była przysiąc, że dostrzega w jego wzroku figlarne ogniki. – Desperacko potrzebuję kawy i tutejszej kremówki z malinami – zakończył z uroczą powagą.

Kobieta nie zdołała powstrzymać śmiechu.

– Pani się śmieje, a ja tu z głodu ginę – dorzucił jeszcze, uśmiechając się do niej łobuzersko.

– Nie możemy na to pozwolić! – odparła, wciąż rozbawiona, i skinęła na kelnera. – Poprosimy kremówkę i kawę.

– Dwa razy – rzucił mężczyzna.

Spojrzeni na siebie. On wyczekująco, ona ze zdziwieniem, niepewna, skąd brała się ta swoboda, z którą zachowywała się przy tym człowieku. Pod wpływem jego spojrzenia Emilia poczuła, że mimowolnie się czerwieni. Odwróciła więc wzrok w kierunku kelnera.

– Zatem dwie kremówki i dwie kawy – powtórzyła zamówienie.

– Skoro memu życiu nic już nie grozi, chyba powinienem uczynić zadość zasadom dobrego wychowania i należycie się przedstawić – rzekł mężczyzna, gdy tylko kelner oddalił się od stolika. – Ludwik Barański, do usług szanownej pani.

– Emilia Szubert. – Nie wiedzieć czemu, Emilia po raz pierwszy od kilkunastu lat przedstawiła się panieńskim nazwiskiem. Natychmiast poczuła z tego powodu wyrzuty sumienia i zaczerwieniła się jeszcze mocniej.

– Bardzo mi przyjemnie – powiedział Barański, pochylając się nad podaną mu dłonią. – Zaskakujące, zaskakujące.

– Co takiego? – spytała, cofając dłoń.

– Sądziłem, że niczego nie można już dodać, tymczasem rumieńce jeszcze przydają pani urody. A trzeba pani wiedzieć, że jestem estetą i na prawdziwym pięknie znam się jak mało kto.

Nie odpowiedziała. Nie spuściła też wzroku. Tonęła w spojrzeniu zachłannie patrzących na nią oczu i po raz pierwszy od dawna czuła, że krew w jej żyłach płynie wartko.

Ludwik Barański był malarzem. Niewątpliwie oprócz talentu plastycznego natura nie poskąpiła mu też daru wymowy. Potrafił opowiadać zajmująco i doskonale wyczuwał nastrój słuchacza. Gdy trzeba było, w jego głosie pobrzmiwały żalodne nuty, innym razem tony żartobliwe, a kiedy wy-



magają tego sytuacja, robił dramatyczną pauzę. Emilia chciwie spijała każde słowo z jego ust, całkowicie zatracając się w snuty przez niego historiach, tracąc przy tym poczucie czasu i rzeczywistości. Byli tylko oni i słowa pomiędzy nimi. Cała reszta świata nie istniała.

W końcu deszcz przestał padać. Kawiarnia znów opustoszała, a kelnerzy odetchnęli z ulgą. Pogrążeni w rozmowie Emilia i Ludwik nie zwrócili jednak uwagi na to wszystko. Podobnie jak na wystygłą już kawę czy nietknięte ciastka.

Pierwsza ocknęła się Emilia, której po plecach przeszedł zimny dreszcz. Być może był to jedynie przeciąg, a może wyrzuty sumienia, które nagle uderzyły ją z podwójną mocą, jak człowieka, który zbyt długo oddawał się próżnej przyjemności, zapominając o obowiązkach. Grunt, że naraz zdała sobie sprawę, iż od kilku godzin siedzi beczynn timer w kawiarni, rozmawiając z obcym mężczyzną, podczas gdy nie wydała nawet gospodyni dyspozycji w sprawie obiadu.

„Dzieci od rana jadły pewnie tylko herbatniki i piły mleko. Pod moją nieobecność Helenka zwykle okropnie im pobłaża”, zmartwiła się i zupełnie przestała słuchać opowieści Barańskiego o gołębiach wzbijających się w powietrze na placu Świętego Marka w Wenecji. Zamiast tego usiłowała przypomnieć sobie, czy w spiżarni zostało jeszcze trochę buraków, z których można by przygotować jarzynę do wczorajszej pieczeni.

„Boże, co ja tu właściwie robię?”, przemknęło jej przez głowę.

– Przestało padać – rzekła, wchodząc Ludwikowi w słowo. – Pora na mnie.

Barański zamrugał szybko wyraźnie skonfundowany nagłym obrotem sprawy, ale czym prędzej się podniósł i odsunął Emilii krzesło. Przez chwilę stali naprzeciwko siebie tak blisko, że gdyby chciała, mogłaby położyć głowę na jego piersi i pozwolić mu zamknąć się w ramionach.

– Miło było mi pana poznać – powiedziała, żeby zagłuszyć łomotanie serca poruszonego tą wizją.

– Cała przyjemność po mojej stronie, droga pani.

Długo patrzył za nią. Dopiero po chwili pomiarkował, że szyba, przez którą spoglądał, była już całkiem sucha.

„A zatem już wcześniej przestało padać”, pomyślał z zadowoleniem.

## Rozdział 11

Kilka kolejnych dni Emilia spędziła w łóżku, wymawiając się katarem złapanym podczas ulewy. Prawda była jednak taka, że nie śmiała spojrzeć w oczy domownikom. Musiała wpieryć się sama uporać się z nadmiarem wrażeń i myśli. Spotkanie z Ludwikiem Barańskim wytrąciło ją z równowagi i nie miała pewności, czego było w niej więcej, zakłopotania czy może radości z tego, że wreszcie czuła się znów tak bardzo żywa.

Jej myśli ciągle biegły ku niemu. Słyszała w uszach melodię jego głosu. Uśmiechała się do siebie, przywołując w pamięci opowiedane przez niego dykteryjki. A gdy choć na chwilę przymykała powieki, zaraz widziała zmysłowe usta przykryte jasnym, nieco ekstrawagancko ufryzowanym wąsem. U kogoś innego podobne uczesanie zarostu mogłoby się wydawać śmieszne, ale Ludwikowi tylko przydawało urody. I te oczy wpatrzone w nią tak, jakby nie dostrzegały nic innego... Wspomnienie przeszywającego ją wzroku szczególnie niepokoiło Emilię. Wzbudzało w niej tęsknotę za czymś, co, jak jej się zdawało, utraciła bezpowrotnie. Za intensywnością młodzieńczych doznań.

Ten zachwyt w oczach Ludwika, uwaga skupiona tylko na niej, nawet wtedy, kiedy mówiła o czymś całkiem zwyczajnym, ot, choćby o ciętych kwiatach, które lubiła układać w wazonie... Patrzył na nią wówczas tak, jakby snuła najwspanialszą opowieść.

Znów czuła się młoda, intrygująca i budząca zainteresowanie. Znów żyła.

Czy naprawdę tak wiele oczekiwała i czy naprawdę nie miała już prawa pragnąć tak właśnie się czuć? Tyle lat tęskniła za tym, by choć czasem, przez chwilę, poczuć się znów zauważoną.

– To przez deszczową pogodę – mówiła sobie. – Wtedy zawsze jestem bardziej niespokojna, a i ta przykra sytuacja z Honoratką jeszcze mocniej wytrąciła mnie z równowagi. Poznanie tego mężczyzny było absurdalnym zbiegiem okoliczności, incydentem bez jakiegokolwiek znaczenia. Nie jestem już przecież podlotkiem pędzącym na złamanie karku w przepaść z powodu przypadkowego drgnienia serca. Takowe zdarzają się przecież wszystkim, jednak dojrzałość polega na tym, by umieć je podporządkować rozsądkowi.

Wszystkie te słowa zagłuszały poczucie winy, które towarzyszyło jej przez kolejne dni i ustawiały rzeczywistość na nowo we właściwym porządku. Emilia uspokajała się powoli. Wreszcie doszła do wniosku, że wypicie kawy w towarzystwie młodego artysty, którego wybawiła z kłopotu podczas ulewy, pozwalając mu usiąść przy swoim stoliku, by mógł wypić coś ciepłego i nieco się ogrzać, nie było niczym niestosownym.

Uznała jednak, że nie powinna wspominać o tym zdarzeniu Jakubowi, bo mógłby się niepotrzebnie zaniepokoić czy zasmucić.

– Skoro nic się nie wydarzyło, nie ma o czym mówić – przekonywała samą siebie. – Powinniśmy rozmawiać ze sobą na zajmujące nas tematy, a nie zanudzać się wzajemnie szczegółami z życia codziennego. To zupełnie tak, jakbym chciała opowiadać Jakubowi o liście zakupów, dziecięcych ubrankach czy planach porządkowych, a on informowałby mnie o dostawach drewna albo kolorach lakierów w warsztacie.

Gdy zasypiała tego dnia, była już niemal pewna, że zdołała uciszyć burzę i okiełznać zamęt, który zapanował w jej duszy.

– Sen to najlepsze lekarstwo na zszargane nerwy – mruknęła, poprawiając poduszkę i moszcząc się wygodnie w pościeli.

Wreszcie zgasiła lampkę i gdy tylko zamknęła oczy, zapadła w mocny, zdrowy sen.

Rano zbudziła się świeża i bez zarzutu. Zerknęła w lustro i uśmiechnęła się do samej siebie, lecz ów uśmiech zaraz zbladł, gdy zdała sobie sprawę z powodu własnej radości. Znów czuła się kobietą. Piękną, pożądaną, interesującą. Kimś, komu warto składać hołd i kim należy się zachwycać. Przy-

czyną takiego stanu ducha był niezaprzeczalnie poznany kilka dni wcześniej młody malarz.

Emilia opadła na poduszki. Naciągnęła kołdrę na głowę i zachichotała jak podłotek. Chwilowo nie zamierzała walczyć z tym uczuciem. Przeciwnie, chciała jak najdłużej pozostać w owym stanie. Było jej dobrze. Leżała więc w mroku, spoglądając w wyobrażone oczy Ludwika, i pragnęła, by znów popatrzył na nią tak, jak w kawiarni.

Nie zaplanowała ich kolejnego spotkania, ale też nie zrobiła nic, by do niego nie doszło. Zamiast całkowicie zmienić trasę, którą zwykła chadzać, załatwiając sprawy w Śródmieściu, wybrała tylko inną stronę ulicy.

„To przecież żadne przestępstwo”, tłumaczyła sobie. „Ta czy tamta strona chodnika, cóż to za różnica?”

A jednak, ile razy by nie zaprzeczała, wiedziała, że szuka go wzrokiem, przechodząc obok dawnej Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, zaledwie dwa lata wcześniej, w marcu 1932 roku, po latach starań podniesionej do rangi akademii, gdzie na wydziale malarstwa na kursie wyższym studium aktu i głowy nauczał nie kto inny, jak Ludwik Barański.

Niesiona emocjami Emilia pozwoliła sobie nawet na pierwsze od lat śmielsze marzenie. Zaczęła zastanawiać się, czy nie spróbować odwrócić kolei własnego losu i nie podjąć studiów, tak jak zamierzała, zanim poznała Jakuba.

W przeciwieństwie do Honoraty, która od zawsze chciała być żoną i matką, Emilia przed laty marzyła o studiach artystycznych. Jej rodzina była temu z oczywistych względów przeciwna. Gdy matka usłyszała o pomyśle córki po raz pierwszy, musiała zażyć brom na uspokojenie. Ojciec podszedł do sprawy nieco inaczej i próbował namówić Emilię na zmianę kierunku zainteresowań.

– Studiuj, córeńko, studiuj, jeśli musisz – perorował, nie zważając na gromy ciskane w jego stronę przez żonę. – Czasy się zmieniły, postęp to rzecz ważna, ale na co komu studiowanie sztuki? Obrazy w muzeach można oglądać i bez tego, chadzania na wykłady i prelekcje z historii sztuki nikt nikomu nie broni, a lekcje rysunku możesz pobierać i do późnej staro-

ści. Jeśli marzysz o dyplomie, spróbuj swoich sił w medycynie czy przedmiotach ścisłych albo przynajmniej w filozofii.

Emilia przewracała wówczas oczami i wzdychała ciężko.

– Papo, jak wy niczego nie pojmujecie.

Potem jednak spotkała Jakuba i wszystko inne, w tym także jakakolwiek dalsza nauka, stało się nieistotne.

Teraz, kilkanaście lat później, dawne, uśpione marzenia obudziły się znowu i choć wiedziała, że w jej wieku już sama myśl o studiowaniu jest niedorzecznością, pozwalała sobie na te hipotetyczne rozważania.

Dzieci były już duże, nie wymagały od niej aż tak wiele uwagi. A kolejnych nie zamierzała przecież mieć.

„Jaką lawinę pragnień może wywołać jedno spotkanie”, przemknęło jej przez myśl. „Jedno wyjątkowe spotkanie”.

Nagle poczuła tak wielkie wyrzuty sumienia, że aż musiała przystanąć, aby nabrać powietrza. Zaraz potem zrodził się w niej narastający bunt. Ten sprzeciw był tam od lat. Kumulował się i czekał na siłę zdolną go wyzwolić. Wyglądało na to, że oto nadeszła właściwa chwila.

Usiadła na ławce i czekała. Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło, wiedziała tylko, że wcale jej się on nie dłużył. Nie była pewna, co zrobi, gdy Barański wreszcie się pojawi. Kilka razy zrywała się nawet z miejsca, żeby odejść, lecz zaraz siadała znowu i wbijała wzrok w główne wejście do akademii. Wreszcie w drzwiach stanął Ludwik. Mimo późnej jesieni ubrany w rozchełstaną koszulę z podwiniętymi rękawami rozmawiał z kimś, kogo najwyraźniej odprowadzał jedynie do wyjścia. Musiał chyba wyczuć wbity weń wzrok, bo nagle odwrócił się w jej stronę. Wystarczyło jedno jego spojrzenie, by znów wzburzyć jej krew. Jednocześnie jednak zalała ją fala panicznego leku.

„Co ja tu robię, u licha?”, zapytywała samą siebie i czuła, że powinna jak najprędzej się oddalić.

– Dzień dobry, miło mi znów panią widzieć – rzekł Ludwik, który pośpiesznie pożegnawszy się z rozmówcą, stanął tuż przy niej, nim zdążyła

zdecydować się na jakiegokolwiek działanie.

– Obiecał pan pokazać mi swoją pracownię – wyrzuciła z siebie w odpowiedzi i dopiero po chwili pomiarkowała, że nie zareagowała na jego powitanie.

Ludwik Barański jednak tylko się uśmiechnął.

– Przechodziłam obok i pomyślałam... – zaczęła niezgrabnie, czując, że powinna się jakoś wytłumaczyć. – To znaczy przypomniałam sobie...

Wykonał ruch dłonią, jakby chciał ją uciszyć. Zamilkła więc.

– Cokolwiek tu panią przywiodło, cieszę się, że jest tu pani teraz.

Serce zabiło mocniej w piersi Emilii. Nie zdołała dłużej powstrzymać uśmiechu.

– Pozwoli pani – rzekł Ludwik, z kurtuazją podając jej ramię.

Musnęła dłonią skrawek jego nagiej skóry i przeszył ją dreszcz.

Barański poprowadził ją szerokimi korytarzami uczelni do niewielkiego pokoju. Pod ścianami ustawione były tu sztalugi, w wielkich słojach moczyły się pędzle. Pachniało farbą i terpentyną. Było to bardzo jasne pomieszczenie, do którego słońce zdawało się wpadać z każdej strony, o tej porze dnia zalewając wszystko złocistym blaskiem.

– Powinna pani odwiedzić mnie kiedyś o świcie – zasugerował.

Emilia spuściła wzrok nieco zawstydzona, ale Barański mówił dalej, jakby nie dostrzegał w tych słowach nic niewłaściwego.

– Albo jeszcze lepiej o zachodzie słońca. Dopiero wówczas można docenić wszystkie walory tego miejsca.

Mruknęła coś niezrozumiale, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

– Proszę obiecać, że jeszcze mnie pani odwiedzi – powiedział nagle, zniżając głos i patrząc jej głęboko w oczy.

Zamrugnęła prędko.

– Że wciąż będzie mnie pani odwiedzać – dodał, po czym ujął delikatnie jej dłoń i przycisnął do niej usta.

Emilia wiedziała, że powinna skarcić go za tę impertynencję i natychmiast opuścić to miejsce, lecz zamiast tego patrzyła jak zahipnotyzowana w jego oczy i modliła się, by nigdy nie musiała odwrócić wzroku.

Od tamtej pory spotykali się coraz częściej, choć nigdy się na to nie umawiali. Po prostu czekali na siebie w jakimś punkcie codziennej trasy. Przez chwilę szli ręką w rękę, wymieniając kilka zdań, a potem jedno oddalało się, a drugie zdążało dalej. Bez przystanku, bez wyjaśnień, bez zobowiązań. Był to rodzaj gry, przez którą niemal nieustannie wypatrywali się nawzajem. Emilia przyłapała się nawet na tym, że podczas spacerów z dziećmi po parku rozgląda się wokoło, szukając znajomej postaci, choć przecież Ludwik nigdy nie zaczepiał jej, gdy była z Julusiem i Krysią. Ilekroć zdawała sobie sprawę z tego, co robi, w pierwszej chwili znów dopadały ją wyrzuty sumienia, lecz zaraz uśmiechała się do siebie. Ten sekret ją uszczęśliwiał i dlatego nie zamierzała się go wyrzec.

Pewnego dnia Ludwik zaproponował, by wybrała się z nim do teatru, a dostrzegłszy zakłopotanie na jej twarzy, dodał:

– Połowa wydziału idzie na ten spektakl. Od tygodni wielu z nas pracowało przy tworzeniu wielce skomplikowanej modernistycznej dekoracji i mamy zamiar oddać hołd naszej twórczości.

Widać było, że ma wszystko dobrze przemyślane. Członkowie bohemy nie byli najwyraźniej całkiem wyzwoleni z okowów mieszczańskich konwenansów. Emilia odetchnęła z ulgą i obiecała sprawdzić, czy nie ma na ten wieczór innych zobowiązań.

Nie miała.

Gdy podniesiono kurtynę, a jedynym źródłem światła na sali pozostała wąska smuga sącząca się z reflektora skierowanego wprost na stojącą na scenie kobietę z przejęciem opowiadającą o swojej samotności, Ludwik położył dłoń na dłoni Emilii. Ich palce splotły się ze sobą. Było w tym coś tak naturalnego, jakby od zawsze tylko na to czekały, a jednocześnie ten dotyk zelektryzował ją i zdawał się docierać w najgłębsze zakamarki jej duszy. Emilia wstrzymała oddech. Zastygła w bezruchu ze wzrokiem wbitym w scenę. Aż do przerwy nie słyszała nic poza szumem swojego przyspie-



szzonego oddechu i łomotem serca w piersi. Gdy gruchnęły brawa, Ludwik pierwszy poderwał się z fotela, klaszcząc entuzjastycznie. Emilia zaś nadal siedziała jak zaczarowana, usiłując jak najdłużej zachować na dłoni ciepło jego palców.

Wreszcie musiała przyznać sama przed sobą, że się zakochała. Nikt nie zapytał jej o zdanie ani o pozwolenie. Nie było w tym nic racjonalnego, żadnego wyboru ani decyzji. Wiedziała tylko, że oszaleje, jeśli ten jeden jedyny raz nie podąży za głosem serca, choćby miał ją on zaprowadzić na skraj przepaści.

Następnego dnia po przedstawieniu jak gdyby nigdy nic weszła do pracowni Barańskiego. Jedno spojrzenie wystarczyło, by Ludwik odłożył pędzel.

Zrozumiał to, co chciała mu przekazać bez słów.

Emilia zaś zrobiła dokładnie to, na co miała ochotę od ich spotkania w kawiarni. Ujęła głowę Barańskiego w obie ręce i pocałowała go.

– I tak obwieszczą mnie winną wielkiej zbrodni – mówiła do siebie tego samego wieczoru, patrząc na własne odbicie w lustrze, na zacięty wyraz twarzy i oczy ciskające gromy. – Nikt nie zechce wysłuchać drugiej strony, skoro czyny mówią same za siebie, niepodważalnie świadcząc o przestępstwie. To ja pozwoliłam pieścić się obcemu mężczyźnie. – Na samo wspomnienie o tym przyjemny dreszcz przeszył jej ciało, ale jednocześnie odwróciła wzrok od lustra. Przypomniawszy sobie o miłosnych igraszkach, nie mogła zdobyć się na to, by spojrzeć sobie w oczy. – To nieważne, że Jakub od miesiący niemal mnie nie dotykał – mamrotała. – Nieważne, że mogłam liczyć tylko na zdawkowy pocałunek, identyczny, jakim obdarzał dzieci przed wyjściem do warsztatu. Nieważne, że tygodniami zdawał się mnie nie dostrzegać, tylko przesuwiał po mnie wzrokiem, jakbym była fotelem czy kominkiem. To wszystko nie będzie znaczyło nic. Liczy się czyn.

Emilia czuła, że coś w jej wnętrzu twardniało. Miała tylko nadzieję, że uczyni ją to mniej podatną na ból, tymczasem on wciąż pulsował mocno.

Modrzycka rzuciła się na łóżko i zalała łzami, kompletnie nie wiedząc, co ze sobą począć.

Od tej pory zaczął się najtrudniejszy, a zarazem najbardziej ekscytujący moment jej życia. Ilekroć miała po temu sposobność, zachodziła do akademii i czekała na Ludwika, by potem kochać się z nim krótką, gwałtowną miłością, a później długo leżeć na rozesłanych na podłodze prześcieradłach i pozwalać mu się szkicować.

Gdy była w ramionach kochanka, wszystko wydawało się tak proste. Barański snuł przed nią fantastyczne wizje ich wspólnego życia, które miało być jedną niekończącą się celebracją miłości, piękna i sztuki.

Myśli i uczucia Emilii układały się w spójną całość. Była pewna swoich pragnień i wiedziała, jakie decyzje winna podjąć, by jej życie już zawsze przepełnione było owym szczęściem, którego zaznawała w trakcie zawsze zbyt krótkich spotkań z Ludwikiem. Nie miała cienia wątpliwości, że od słonecznej przyszłości dzieli ją tylko jedna rozmowa z Jakubem. Dopóki nie zaczął się adwent, dobrze wiedziała, czego chce. Tymczasem teraz ten nieszczęsny domek przypominał jej o wszystkim, czego niegdyś pragnęła. Poczula się zagubiona jak nigdy przedtem. Wiedziała tylko jedno.

Tak bardzo nie chciała być teraz sama.

Odsunęła kołdrę, wstała i wiedzioną niezrozumiałym dla niej samej impulsem na palcach przeszła do sypialni męża. Jakub już spał. Słyszała jego równy, nieco świszczący oddech. Nie chciała go budzić. Potrzebowała tylko odrobiny ciepła drugiego człowieka. Wsunęła się pod kołdrę i ostrożnie, by nie zbudzić męża, przyłgnęła do jego szerokich pleców. Przymknęła oczy, wciągając w nozdrza znajomy zapach snu w sypialni Jakuba. Spędziła tu tak wiele nocy pełnych śmiechu, rozmów oraz pieszczot nieomylnie wiodących ku miłosnym uniesieniom. Po raz pierwszy pomyślała, że gdyby Jakub dowiedział się o tym, co łączyło ją z Ludwikiem, mogłaby stracić to wszystko. Przez ostatnie tygodnie, aż dotąd, to ona czuła się panią sytuacji, do niej należał wybór. To w jej gestii leżało podjęcie decyzji o odejściu od męża, wniesieniu sprawy o rozwód i wkroczeniu na nową drogę życia u boku Ludwika.

Próbowała zrozumieć, dlaczego w ogóle zdecydowała się na romans z Barańskim. Czemu właśnie z nim? Nagle tknęła ją myśl tak przerażająca,

że na chwilę zatrzymała oddech w jej piersi.

W pewnym sensie ci dwaj mężczyźni byli do siebie podobni. Tak, Ludwik przypominał jej Jakuba. Jeśli nie liczyć ekstrawagancji w ubiorze, był jego młodszą i nieco bardziej ekspresyjną kopią.

Pojęła nagle, że w kochanku szukała Jakuba sprzed lat. Tego Jakuba, który patrzył na nią z zachwytem, był skupiony na każdym jej słowie i bez trudu rozumiał optykę jej rzeczywistości. Jakuba, z którym mogła głośno się śmiać i w którego ramionach mogła się skryć, szlochając. Jakuba, który zapewniał ją, że wszystko będzie dobrze, że razem na pewno sobie poradzą, a ona wiedziała, że mówi prawdę. Jakuba, któremu ufała bezgranicznie. Jakuba, z którym mogła rozmawiać w nieskończoność i nigdy się z nim nie nudziła. Jakuba, z którym porozumiewała się w ich własnym języku, pod zasłoną kpiny i ironii skrywając ocean czułości tak głębokiej, że niemal bolesnej. Jakuba, który nigdy jej nie zawiódł. Jakuba pełnego pasji i szalonych wizji, nieustraszonego i gotowego pracować najciężej, by sięgnąć po swoje marzenia.

To za nim tęskniła tak bardzo, że zdolna była posunąć się do zdrady. Zamiast porozmawiać z mężem i spróbować wyjaśnić mu to wszystko, co działo się w jej wnętrzu, wolała czekać beczynn timer, licząc na to, że coś samo się zmieni, samo się ułoży. Znosząc kolejne trudne sytuacje, łkając łzy, zatrząskując w sobie słowa żalu i złości, budowała coraz mocniejszy mur odgradzający ją od męża. Była winna, a jej wina zaczęła się na długo przedtem, zanim pierwszy raz pocałowała Ludwika.

„Jak bardzo się zagubiłam”, pomyślała, a ciepłe łzy jedna po drugiej spłynęły jej po policzkach.

Mocniej przycisnęła twarz do pleców męża. Chciała go przeniknąć, stać się jego nieodłączną częścią, wczepić się weń tak mocno, by nic już nigdy nie mogło ich rozdzielić.

– Emilio... – mruknął sennie Jakub.

– Przepraszam, nie chciałam cię zbudzić – szepnęła i cofnęła rękę.

Modrzycki przytrzymał jej dłoń i przycisnął mocniej do swojej piersi.

– Jak dobrze, że tu jesteś – szepnął. – Jak dobrze...

Emilia miała wrażenie, że dłużej nie wytrzyma. Jej serce niechybnie mogło w każdej chwili pęknąć z miłości do tego człowieka. Czowała się szczęśliwa. Naprawdę szczęśliwa. Cały zamęt ostatnich tygodni ucichł, a ona niczym marynarz po dniach spędzonych na statku wśród szalejących sztormowych fal przybiła do spokojnego portu.

Porównanie do marynarza szczególnie jej się spodobało. Niektórzy powiadali, że wilki morskie nie mogą zbyt długo wytrzymać na lądzie, bo tęsknią do przygód, nowych wyzwań, walki z żywiołem, stawiania czoła niebezpieczeństwu. Ona jednak była marynarzem, który uległ złudzeniu tej romantycznej wizji. Wypłynęła w daleki rejs, licząc na to, że w ten sposób rozwiążą się wszystkie jej kłopoty, znikną zmartwienia, tymczasem ciemności tylko się pogłębiły. Wreszcie po długich dniach walki zawitała do portu, pojąwszy, że ta pozornie bezsensowna podróż była jej potrzebna, by zdołała docenić szczęście, które miała tak blisko.

„Jak mogłam być taka głupia?“, wyrzucała sobie. „Jak mogłam?“

## Rozdział 12

Nad ranem Emilia obudziła się nagle z niespokojnego snu. Śniło jej się, że została zatrzaśnięta wewnątrz pięknego domku dla lalek, który podarował jej Jakub. Przez maleńkie szybki widziała męża i dzieci, uderzała dłońmi w szkło, chcąc przyciągnąć ich uwagę, ale oni nie mogli jej usłyszeć. Jej głos był pozbawiony dźwięku, jakby dochodził spod wody, jakby tonęła.

Kobieta usiadła na łóżku, oddychając ciężko. Prześcieradło było wilgotne, a włosy kleiły jej się do czoła. Dopiero teraz spostrzegła, że nie jest w swoim pokoju, ale leży obok Jakuba. Słyszała miarowy szum jego oddechu i mocne bicie serca. Nie mogła uwierzyć w to, co się wydarzyło. Wiedziała, że ta sytuacja tylko spotęguje zamęt, który odbierał jej spokój.

– Co ja najlepszego zrobiłam? – wyszeptała do siebie, owijając się szlafrokiem. – Jak tak dalej pójdzie, niechybnie postradam zmysły.

Ostrożnie, by nie zbudzić śpiącego męża, wyślizgnęła się z jego pokoju i na palcach przeszła do swojej sypialni. Sięgnęła po dzbanek z wodą, nalała trochę do szklanki i wypila kilka łyków, próbując uspokoić głośnie bicie serca. Nie na wiele się to zdało. Dręczące ją wizje Jakuba splecionego z nią w miłosnym uścisku nakładały się na wspomnienie gorących pocałunków Ludwika. Emilia poczuła wstręt do samej siebie.

– To zbyt wiele – mamrotała, chodząc po sypialni.

Wiedziała, że tej nocy już nie zaśnie. Bacząc, by nie zbudzić nikogo z domowników, wyszła ze swojego pokoju i skierowała się do tonącej w mroku jadalni. Za oknem szalała potężna zamieć. Wiatr wyginał na wszystkie strony rosnące tuż pod oknami klony. Raz po raz nagie gałęzie przybliżały się do okien jak szponiaste dłonie. Zza szyb dobiegały pomruki i gwizdy, jakby jęki dusz czyścicowych błagających o odkupienie. Emilia wzdrygnęła się, lecz nie włączyła światła. Usiadła i oparła się plecami

o stojący w rogu pokoju piec kaflowy, do którego Helenka zawsze tuż przed udaniem się na spoczynek solidnie dorzucała, by ciepła starczyło na jak najdłużej. Zapatrzyła się na cień wciąż jeszcze nieprzystrojonej choinki, za którym w diabelskim tańcu płały miotane wiatrem drzewa.

„Pojutrze Wigilia”, uświadomiła sobie nagle i owładnął nią głęboki smutek.

Szczelniej otuliła się szlafrokiem, ale zimno, jakie odczuwała, pochodziło gdzieś z jej wnętrza.

Podeszła do kalendarza adwentowego. W międzyczasie Jakub musiał otworzyć z dziećmi zaległe okienka, bo tylko trzy pozostały zamknięte, w tym jedno szczególne, największe, zajmujące całe poddasze. Musnęła opuszkami palców lśniąca od kolorowego lakieru drewniane drzwiczki. Poczula nagle ogromną ochotę, by je otworzyć. Zamknie je potem znów starannie i nikt niczego nie zauważy. Nic się nie stanie. Złamie wprowadzie kolejną umowę rodzinną, ale przecież w ostatnim czasie złamała ich całe mnóstwo. Teraz, wśród ciemności nocy, samotnie zajrzy tylko do środka, odkrywając ostatnią tajemnicę Jakubowej zabawki, która przez ostatnie tygodnie przysporzyła im wszystkim tyle radości.

„Ale i trosk”, pomyślała zaraz. „I nerwów, i lęku. Przecież Juluś znalazł się w niebezpieczeństwie z powodu tej głupiej farsy”.

Tego ostatniego zwłaszcza nie mogła zapomnieć. Całą odpowiedzialnością za to, co stało się w lesie, obarczyła męża, a jednak w skrytości serca wiedziała, że jest to także jej wina. Gdyby mocniej przytrzymała chłopca, nie wysunąłby dłoni z jej ręki i nie doszłoby do nieszczęścia. Gdyby częściej zajmowała się dziećmi, a nie własnymi kapryсами... Tej jesieni okropnie zaniedbała Krysę i Julka. Niemal przestała się nimi interesować, dbając jedynie o ich wikt i opierunek, choć i to robiła raczej z konieczności niż potrzeby serca, a przecież kiedyś tak bardzo pragnęła mieć potomstwo.

„Co się ze mną stało?”, zapytywała samą siebie, w zamyśleniu obrysowując palcem kontury dachu zabawki. „Czy mogłam przestać kochać własne dzieci? Nie, to niemożliwe. Więc co się wydarzyło?”

Najbardziej niepokojąca ze wszystkich była myśl, że to, co się stało, było ostrzeżeniem, przedsmakiem kary, którą niechybnie poniesie, jeśli czym prędzej nie wróci na drogę cnoty. Powinna natychmiast wyrzec się zachwytu w oczach Ludwika i tego szau, z jakim pieścił jej ciało, nade wszystko zaś marzeń o wspólnej przyszłości. Miała już rodzinę, męża i dzieci. Czy naprawdę to oni byli winni całego jej nieszczęścia? I czemu winny miałyby być ten śliczny kalendarz, który Jakub wykonał własnoręcznie z tak wielką dbałością o każdy szczegół?

Wciąż nie znajdowała też odpowiedzi na pytanie, dlaczego w ogóle zrobił tę zabawkę. Czyżby coś przeczuwał? Emilia potrząsnęła głową. „Nie, nie mógł nic wiedzieć”. Byli z Ludwikiem niezwykle dyskretni. W miejscach publicznych zawsze bywali w większym gronie.

Cofnęła dłoń.

Otworzyła okno i wzięła głęboki wdech. Lodowate powietrze grudniowej nocy zakłuło ją w piersi. Wyciągnęła dłoń w stronę parapetu, nabrała odrobinę białego puchu, a potem dmuchnęła weń z całej siły, tak jak zwykle robiły z Krysią, uzbierawszy wprzód bukieciki siwych kulek mniszka.

– Pomyślałaś życzenie, mamusiu? – upewniała się każdorazowo dziewczynka, nim nabrały powietrza.

Teraz też pomyślała życzenie, jednak płatki śniegu zamiast wzbić się w powietrze i jak pyłki dmuchawca pofrunąć ku niebu, unosząc jej marzenie, zdążyły stopnieć od ciepła jej dłoni. Emilia strząsnęła z palców kropelki wody, wytarła ręce w podomkę i zamknęła okno.

Coś jednak nadal nie dawało jej spokoju. To właśnie drgnienie owego niepokoju gdzieś na skraju duszy przedwcześnie zbudziło ją z koszmarne go snu, w którym została uwięziona w domku dla lalek. Usiadła przy biurku, przy którym zwykle prowadziła korespondencję. Dziś nie było żadnych listów. Karty świąteczne rozesłała już wcześniej. Odpowiedziała też na wszystkie przesłane Modrzyckim życzenia, zarówno prywatne, jak i służbowe. Co zatem było źródłem jej napięcia? Zwykle czuła się tak, gdy umknęło jej coś bardzo ważnego. Po ponownym dokładnym przejrzeniu poczty i rachunków za świąteczne sprawunki gotowa była przysiąc, że to

nadmiar emocji ostatniego wieczoru i minionej nocy wprawił ją w ten dziwny stan.

Na wszelki wypadek wyjęła jeszcze z szuflady niewielki kalendarz obleczony zielonym jedwabiem, który Jakub podarował jej rok temu w prezencie gwiazdkowym. Jak zawsze z przyjemnością pogłaskała chłodny, gładki materiał i jakby od niechcienia zaczęła przerzucać kartki, sama nie bardzo wiedząc, po co to robi i czego konkretnie szuka. Nagle jej ruchy stały się szybsze, a spojrzenie dziwnie pociemniało, gdy przez jej głowę przemknęło straszliwe podejrzenie.

– To niemożliwe... – szeptała, kręcąc głową i przewracając nerwowo kartki to w przód, to w tył. – Niemożliwe...

Po chwili z trzaskiem zamknęła kalendarz, wrzuciła go do szuflady i zasunęła ją, dociskając palcami. Oddychała prędko, wyraźnie czując pulsowanie w skroni i tętent krwi w żyłach.

Dłuższy czas po prostu patrzyła przed siebie, jak w transie śledząc każdy ruch sikorki, która przysiadła na pobliskiej gałęzi i wydziobywała ziarenka z kulki słoniny zawieszanej tam przez Jakuba i dzieci w pierwszych dniach adwentu.

Wspomnienie wspólnej zabawy wyrwało ją ze stuporu.

Teraz nie było już odwrotu. Musiała wyznać wszystko Jakubowi.



## Rozdział 13

– Dzień dobry, najdroższa. – Kilka godzin później, nie czekając na zaproszenie, Jakub wszedł do jej sypialni. – Dawno wstałaś?

Zbliżył się do biurka i pocałował żonę w kark, tuż pod spletanymi w niedbały kok włosami. Emilia wzdrygnęła się. Całe jej ciało było jak napięta do granic możliwości struna. Na szczęście będący w doskonałym humorze po tym, co zaszło minionej nocy, Jakub niczego nie zauważył.

– Obudziły mnie dzwony – wymamrotała, byle powiedzieć cokolwiek.

– Biedne maleństwo – rzekł Modrzycki z prawdziwym współczuciem i pocałował ją w czubek głowy.

Chcąc uniknąć dalszych pieścizot, których nie potrafiła w tej chwili znieść, Emilia wstała od biurka i udała, że poprawia węzełki podomki.

Tymczasem Jakub podszedł do okna i wyjrzał na rozmigotany w świetle poranka świat.

– Jak pięknie! – zachwycił się szczerze. – Doskonały dzień na ostatnie przygotowania do wielkiego świętowania...

Odwrócił się od okna, by spojrzeć na żonę, i cała jego radość się ulotniła. Z wyrazu twarzy Emilii, ze sposobu, w jaki nań patrzyła, domyślił się, że żaden wigilijny cud się nie wydarzy. Jej rysy były ściągnięte, jakby postrzymywała jakiś grymas, kto wie: bólu czy może niechęci, na policzkach wyraźnie rysowały się mięśnie przytrzymujące zaciśnięte szczęki, w jej oczach zaś odnajdował rozpacz.

– Emilio, co tobie? – zapytał, choć był niemal pewien, że zna odpowiedź.

Tak jak wcześniej kalendarz adwentowy, tak i domek dla lalek zawiódł. Rychłowski się mylił. Żadna zabawka nie mogła uratować rozpadającego się małżeństwa.

„Jestem głupcem, skoro uwierzyłem w tak naiwny plan”, pomyślał.

Był przekonany, że gdyby Emilia mogła to zrobić, cofnęłaby czas. Wczoraj dała się ponieść emocjom, a teraz z całego serca żałowała, że zdradziła tamtego. Nieznośny umysł raz po raz zadawał Modrzyckiemu kolejne ciosy. „Nienawidzi mnie teraz jeszcze bardziej niż przedtem. Brzydzi się sobą. I gniewa na mnie. Wszystko stracone. Stracone bezpowrotnie. Ona już mnie nie kocha”, tłukło mu się w głowie.

Żal ścisnął mu wnętrze. Musiał przestać się oszukiwać. Przestać szukać szczęścia, które było już poza jego zasięgiem. Cokolwiek by zrobił, Emilia należała do tamtego. Tak zdecydowała. To był jej wybór i żadne zabawki, kalendarze, sztuczki, wspólne zabawy oraz wspomnienia nie mogły tego cofnąć.

– Emilio... – powtórzył.

Drgnęła, jak ktoś wyrwany z krótkiej drzemki, w którą zapadł niespodzianie.

– Musimy porozmawiać, Jakubie – powiedziała głosem zupełnie innym niż ten, którym przemawiała do niego zaledwie kilka godzin wcześniej. – Usiądźmy, proszę.

Przez głowę Jakuba przemknęła nedorzeczna myśl, że powinien teraz wyjść się ubrać.

Skoro w dniu zaślubin ludzie tak się stroją, być może i na moment końca małżeństwa należałoby włożyć coś bardziej odpowiedniego niż piżama. Mimo to usiadł na wskazanym mu przez żonę krześle.

– Powinieneś o czymś wiedzieć... – zaczęła wciąż tym samym obcym głosem.

W pokoju pociemniało. Wiatr przywiał na niebo ciężkie od śniegu chmury, które wybarwiły wszystko wokół.

Emilia siedziała z pochyloną głową. Mówiła cicho i monotonie, jakby opowiadała historię jakiejś znajomej lub czytała dzieciom na dobranoc aż nazbyt dobrze znaną baśń. Coś w niej pękło. Nie czuła już żadnych emocji. Jedynie pustkę i rezygnację. Stało się to, co musiało się stać. Od dziecka uczono ją przecież, że wybory zawsze niosą za sobą konsekwencje, i choć

wczoraj dała się uwieść złudzeniu, że jej jednej na całym świecie może się udać ich uniknąć, sprawiedliwość i jej nie ominęła.

Zdziwiło ją tylko, z jak wielką obojętnością mówiła teraz o tym, co jeszcze parę tygodni temu, u progu adwentu, wydawało jej się tak ważne, najważniejsze na świecie. Obecnie postać Ludwika i to, co między nimi zaszło, jawiło jej się jako coś obcego, przynależącego do innego życia.

Wreszcie słowa przestały płynąć. Zamilkła. Była wyczerpana.

– To wszystko? – wychrypiał Jakub.

Zdawało mu się, że skoro od tak dawna znał prawdę, gdy ją usłyszy, słowa nie będą w stanie go zranić. A jednak raniły boleśnie. Zaciśnął zęby, modląc się, by nie padł już żaden cios.

Emilia jednak pokręciła głową.

– Co jeszcze? – zapytał.

– Spodziewam się dziecka.

Wypowiedziawszy ostatnie słowa, nie podniosła głowy. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. Nie była w stanie wyobrazić sobie, jak strasznie musiał się teraz czuć, jak okropne rzeczy myśleć na jej temat, szczególnie po tym, co zaszło między nimi poprzedniej nocy.

– Jakubie... Powiedz coś – poprosiła cicho, czując, że dłużej nie zniesie tego milczenia. – Błagam...

Usłyszała kroki. Jakub podszedł bliżej. Wzdrygnęła się niespokojnie. Nigdy nie podniósł na nią ręki, a jednak myśl, że mógłby to teraz zrobić, wprawiła ją w drżenie. Modrzycki podniósł rękę, a ona przymknęła oczy. Zamiast uderzenia na policzku poczuła jednak dotyk jego palców łagodnie unoszących jej podbródek. Chciał, by na niego spojrzała.

W jego wzroku nie było gniewu czy niechęci, wyłącznie głęboki smutek. Nie znalazła tam jednak nawet śladu zdziwienia, które była niemal pewna dostrzec.

– Ty wiedziałeś? – Słowa z trudem przeciskały się przez jej zaciśnięte z emocji gardło. – Wiedziałeś o wszystkim, prawda?

Skinął głową, wciąż patrząc jej prosto w oczy, a potem odchrząknął.

– O prawie wszystkim – szepnął.

Nie mógł przecież wiedzieć o dziecku, skoro ona sama dopiero zdała sobie sprawę z tego, że jest przy nadziei.

– To dlaczego... – chciała spytać, lecz nagle wszystko stało się jasne. – Kalendarz nie był prezentem dla Krystynki i Julusia, prawda? Nie o nich tu szło...

Nie odpowiedział. Słowa uwięzły mu w gardle. Czym innym bowiem było wybaczyć żonie zdradę, do której, co zrozumiał niestety zbyt późno, po części sam doprowadził, a czym innym żyć, codziennie sobie o tym wszystkim przypominając. Ogarnęło go zwątpienie. Wieść o ciąży go przytłoczyła. Nagle zląkł się, że nie podoła. Nie będzie w stanie patrzeć każdego dnia na dziecko będące żywym świadectwem tego, że ten koszmar wydarzył się naprawdę. W ten sposób nigdy nie będzie mu dane zapomnieć.

Spojrzał na skuloną w fotelu Emilię. Głowę miała opuszczoną, a jej wspaniałe włosy, mimo upływu lat wciąż w tym samym miodowym odcieniu, rozsypały się jej na ramionach. Zdała mu się nagle taka drobna i bezradna, że najbardziej na świecie pragnął objąć tę małą złocistą główkę, przyciągnąć żonę do siebie i schować przed całym światem i wszystkimi troskami.

Serce Jakuba rwało się ku ukochanej, sprawiając mu niemal fizyczny ból, jednak uparty rozum wciąż przypominał, że to on został dotkliwie skrzywdzony. A może to wcale nie przez wieść o dziecku, a wypadki poprzedniego wieczoru, gdy pozwolił sobie uwierzyć, że dzięki adwentowemu kalendarzowi jednak stał się cud? Być może to, co czuł teraz, brało się z okrutnego kontrastu pomiędzy tamtym szczęściem a brutalnością teraźniejszości.

Aż do tej pory realizował po prostu kolejny dobrze przemyślany projekt. Stworzył niezwykły kalendarz, ale on, podobnie jak inne zabawki, sam w sobie tak naprawdę nie miał życia. Był tylko przedmiotem, a martwy obiekt nie posiada przecież mocy, by cokolwiek zmienić.

„Byłem naiwny”, pomyślał mężczyzna z goryczą. To, co powiedziała mu Emilia, było jak cios w brzuch zadany komuś, kto i tak kona. Dodatkowo, niepotrzebne źródło cierpienia. Powinien wycić z bólu, krzyczeć, wyładować

na niej swoją złość, wyrzucać z siebie gorączkowe pytania, grozić jej, jak u Tolstoja Aleksy Karenin Annie, że „występek tego rodzaju pociąga za sobą ciężką karę”.

Tymczasem w Jakubie nie było nic z Karenina. Nie czuł ani oschłości, ani dumy czy wyniosłości, ani nawet bezradności.

Jego mięśnie stężały, szczęki zacisnęły się mocno. Pragnął już tylko tego, by ta rozmowa dobiegła końca. Jej wynik zdawał mu się w tej chwili obojętny. Byle tylko mógł w końcu zostać sam.

– Jakubie... – Głos żony zdawał się docierać do niego z bardzo daleka.

Pokręcił głową. Nie chciał słyszeć nic więcej.

– Przykro mi, Emilio – odparł i wyszedł, zostawiając ją samą.

## Rozdział 14

Tego roku nikt w domu Modrzyckich nie wypatrywał pierwszej gwiazdki. Choinkę też ubrano w pośpiechu i od niechcienia. Nawet dzieciom udzielił się ponury nastrój rodziców.

– Mamusia się na mnie gniewa? – spytał Juluś siostrę, gdy ta usiłowała przed kolacją zawiązać elegancką muchę w grochy na jego malutkiej szyi.

– Skądże znowu, głuptasku – odparła Krysia. – Po prostu nie spodobała jej się niespodzianka.

– Myślisz, że tatuś odda ten domek dla lalek?

– Chyba tak – odpowiedziała dziewczynka po chwili zastanowienia. – Nie może tu zostać, skoro tak drażni mamusię.

– Szkoda, bo mnie bardzo się podoba – westchnął chłopiec. – I kalendara adwentowego mi żal.

– Mnie też, Julusiu. Mnie też.

– Tak miło było ciągle być razem. Z mamusią i tatusiem.

– Niedługo wakacje – odparła Krysia pocieszającym tonem. – Wtedy znów będziemy razem.

Przechodząc korytarzem, Jakub zatrzymał się i zza uchylonych drzwi przysłuchiwał się rozmowie dzieci.

„Bądźmy razem” to było ich świąteczne życzenie, jedyne, czego potrzebowały do szczęścia te dwie niewinne istotki.

Przez chwilę miał ochotę zajrzeć do dziecinnego pokoju i jakoś rozweselić maluchy. Powiedzieć im coś zabawnego albo obiecać kolejną wspólną przygodę. Zaraz jednak odsunął od siebie te pokusy. Każde słowo pocieszenia brzmiałoby teraz nieprawdziwie, a dzieci zaraz wyczuwają wszelki fałsz, więc zamiast poprawić im nastrój, mógłby jeszcze bardziej je zaniepo-

koić. Nie potrafił przecież szczerze zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Sam nie widział już przyszłości dla ich małego świata.

Wieczera wigilijna upłynęła w pełnej napięcia atmosferze. Podzielono się opłatkiem, przy czym Jakub z Emilią nie powiedzieli do siebie ani słowa. Potem Modrzyccy wraz z Helenką, która traktowana była jak członek rodziny, zasiedli do stołu. Dzieci wyjadły makaron z zupy grzybowej i kręciły nosami, gdy rodzice próbowali namówić je do zjedzenia czegoś więcej.

– A to jest ryba? – spytał Juluś, gdy Jakub chciał nałożyć mu porcję pieczonego karpia.

– Tak – odparł Modrzycki, zanim zauważył znaki, które z drugiej strony stołu dawała mu Emilia.

– Ryby powinny pływać, a nie leżeć tak bez wody na półmisku – odparł Juluś i odsunął od siebie talerz.

Ostatecznie dzieci zjadły po solidnej porcji klusek z makiem, które Helenka w tym roku wyjątkowo sownie dosłodziła miodem, po czym siedziały jak na szpilkach, wpatrując się w kolejne kęsy znikające w ustach dorosłych.

– Ile można jeść? – jęknęła wreszcie Krysią, która nie zdołała wytrzymać napięcia.

Wreszcie nadszedł upragniony moment rozpakowywania prezentów. Zgaszono światło, tak że jedynym jasnym punktem w pokoju były teraz świeczki na choince. Helenka obdarowana wspaniałym swetrem i kilkoma innymi drobiazgami zniknęła w kuchni, a Modrzyccy siedzieli obok siebie na sofie, przypatrując się dzieciom wyłuskującym spod drzewka kolejne paczuszki. Nie rozmawiali ze sobą, ani razu nie spojrzeli też sobie w oczy.

Zbliżała się północ, więc zaczęto szykować się do wyjścia na pasterkę. Juluś, mimo głośnych sprzeciwów, został położony do łóżka i pozostawiony w domu pod opieką Helenki. Krysi w tym roku po raz pierwszy wolno było pojechać z rodzicami na uroczystą mszę.

Wybierali się jak co roku do katedry, gdzie pasterkę zawsze uświetniał występ wspaniałego chóru. Jechali w milczeniu. Krysia przytuliła twarz do szyby i chyba drzemała, bo przez dłuższy czas pozostawała w bezruchu. Przejeżdżali właśnie przez plac Trzech Krzyży, gdy Emilia wyjrzała przez okienko ponad głową córki na pogrążone we śnie ulice. Świat zdawał się pozbawiony barw. Gdzie okiem sięgnąć, widać było tylko morze czerni i bieli. Przy kościele Świętego Aleksandra leżał stos niesprzedanych choinek. Modrzycka wyteńczyła wzrok i dojrzała grupę młodych ludzi siedzących na zwalonych drzewkach. Kilku mężczyzn stało, paląc papierosy. Jakaś dziewczyna, siedząc w dość nieprzyzwoitej pozie na kolanach młodzieńca, pozwalała mu całować się po ramionach i szyi, chichocząc przy tym jak oszalała. Nagle całujący ją mężczyzna wyprostował się i odwrócił w stronę nadjeżdżającego powozu. Emilia spojrzała prosto w twarz Ludwika Barańskiego.

– Zatrzymaj się! – wykrzyknęła, uderzając w okienko znajdujące się tuż za plecami furmana.

Woźnica wstrzymał konie.

Jakub obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem, lecz nim zdążył spytać o cokolwiek, wyrwana krzykiem matki z drzemki Krysia rozplakała się ze strachu. Modrzycki przygarnął córkę do siebie i zaczął ją uspokajać. Podążył jednak wzrokiem za Emilią, usiłując dociec, co mogło wywołać w niej aż tak silne wzburzenie.

Po chwili on także go dostrzegł. Mocniej przytulił do siebie córkę, jednocześnie zaciskając szczęki z wściekłości. Sam nie wiedział, co dotknęło go bardziej. Bezwstydne zachowanie tamtego człowieka czy reakcja Emilii ostatecznie pozbawiająca go wszelkich złudzeń. Nie był pewien, co zrobiłby, gdyby nie trzymał w ramionach drżącej od płaczu Krysi. Niestety, teraz mógł tylko patrzeć.

Emilia nie pamiętała o mężu i dziecku. Nie myślała o niczym. Jej eleganckie skórkowe pantofelki zapadły się w głębokim śniegu i natychmiast przemokły, ale ona nie zwracała na to uwagi. Brnąc przez zasy, podeszła bliżej towarzystwa wiedziona głosami roześmianej bohemy. To nie mogła



być prawda. Nie po tych wszystkich słowach miłości, nie po tym, jak oddała Ludwikowi swoje serce, duszę i ciało. Nie, to nie mógł być on. Tylko jej się przywidziało. Grudniowe noce pełne są fantasmagorii.

Niestety, po chwili była już pewna. Wszędzie rozpoznałaby tę twarz, drogie rysy. Na kolanach Barańskiego siedziała jakaś dziewczyna, istota przynajmniej dekadę młodsza od niej samej.

Modrzycka podeszła bliżej. Oczy kochanków spotkały się, lecz Ludwik niemal natychmiast odwrócił wzrok. Emilia poczuła falę mdłości. Usiłowała zapanować nad sobą, ale w tej samej chwili malarz pochylił się i znów musnął wargami nieosłoniętą mimo mrozu szyję dziewczyny.

– Łaskoczesz! – pisnęła tamta.

Przecież musiał ją widzieć. Emilia stała, przez chwilę przyglądając się całej scenie, i zdawało jej się, że śni. A jednak nie spała. Czuła wyraźnie chłód bijący od doszczętnie przemokniętych pantofli, który mieszał się w jedno z zimnem zalewającym jej duszę. To wszystko działo się naprawdę.

Odwróciła się i wsiadła z powrotem do powozu.

– Możemy jechać – rzuciła do woźnicy lodowatym głosem. Brzmiała tak, jakby coś w niej umarło.

Była pewna, że Jakub domyślił się, kogo zobaczyła, i była mu wdzięczna za milczenie. Mógł przecież naigrawać się z niej, rzucić jakiś złośliwy komentarz albo wygłosić pełną satysfakcji tyradę na temat tego, co czeka wiarołomne żony. Tymczasem on milczał, tuląc do piersi rozespaną Krysię. Tylko raz, tuż przed kościołem, spojrzenia małżonków się spotkały i Emilia dostrzegła w oczach męża głębokie współczucie.

Podczas mszy była nieobecna duchem. Klękała, gdy inni klękali, wykonywała od dziecka wyuczone gesty, powtarzała mechanicznie słowa, ale w jej głowie panowała zupełna cisza, jak u człowieka, który doznał głębokiego wstrząsu.

Po powrocie do domu Jakub zaniósł Krysię do łóżka, a potem zniknął w swojej sypialni. Emilia zaś usiadła w fotelu przy kominku i błędnym

wzrokiem wpatrywała się w świąteczne drzewko. Helenka skrupulatnie zgasiła wszystkie świece. Pozbawione ciepłego, migotliwego blasku gałęzie choinki wyglądały dziwnie przygnębiająco.

W pierwszej chwili pomyślała, że tym, co powodowało otepiający ból, który czuła, była jej zraniona zachowaniem Ludwika duma, ale to nie była prawda.

Czuła się raczej jak ktoś wyrwany z narkotycznego snu lub zbudzony o poranku po wypiciu zbyt dużej ilości alkoholu. Ktoś, kto nagle wyraźnie widzi całą swoją nędzę i wszystko, co utracił dla chwilowej podniety, odrobiny rozkoszy.

To, co łączyło ją z Ludwikiem, wydawało jej się teraz jedynie snem, który nigdy nie mógł się ziścić. Od początku nie było na to najmniejszych szans. Dała się zwieść złudzeniom. Mrzonkom o lepszym życiu i miłości, które przecież z biegiem lat również utraciłyby swój blask. Jednak w przeciwieństwie do Jakuba Ludwika z pewnością nie było stać na to, by wypererować ich uczucie, usuwając zeń patynę lat, znużenia, monotonii. Gdy tylko skończyłby się moment bezbrzeżnego zachwyty, Barański porzuciłby ją bez zastanowienia, zamienił na nową, bardziej fascynującą i zachwycającą kobietę.

Często nazywał Emilię źródłem inspiracji, więc gdyby to wyszło, z pewnością poszukałby sobie nowego. Sztuka i wolność były dlań wszystkim. Przecież od początku wielokrotnie powtarzał jej to zdanie. Dlaczego więc głupio założyła, że mogłaby się zrzec dla niej tej wolności? Skąd w ogóle wziął się w jej głowie pomysł, że Ludwik był jej wierny, że chciał tylko jej? Czy kiedykolwiek to powiedział albo chociaż zasugerował?

Nie. Roztaczał przed nią czarowne wizje przyszłości, obsypywał ją tysiącami słów, które chłonęła jak spragniona wody ziemia, ale niczego jej nie obiecywał.

Wszystkie złudzenia prysły, nagle odsłaniając tragiczną sytuację, w której się znalazła. Była całkiem sama. Nosila w sobie dziecko mężczyzny, któremu pojęcie wierności było zupełnie obce i który z pewnością nie będzie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności. Okłamała, zdradziła i do

głębi zraniła zaś człowieka, który świadom jej nędznych czynów, gotów był jej przebaczyć. Nie było już żadnej nadziei.

– Co ja zrobiłam? – powtarzała, wczepiając palce we włosy. – Co ja zrobiłam?

## Rozdział 15

Jakub leżał w łóżku i wsłuchiwał się w dobiegające z oddali ciche łkanie Emilii. Domyślał się, jak wiele bólu musiało jej sprawić to, co zobaczyła. Szukał w sobie gniewu, złości, zjadliwej satysfakcji, czegokolwiek, co здаwało mu się uczuciem całkiem naturalnym i właściwym, zważywszy na okoliczności. Tymczasem miał dla niej tylko współczucie. Z trudem powstrzymał się przed pójściem do salonu. Chciał usiąść przy żonie i po prostu być obok, mając nadzieję, że może ulży jej to nieco w cierpieniu.

I wtedy zrozumiał. Przestał się dłużej powstrzymywać. Był gotów wyjść na głupca, narazić się na śmieszność, ale nie mógł pozwolić, by dalej płakała. Jego wzrok padł na leżący w kącie prototyp zorzy polarnej. Prezentacja zabawki u progu adwentu okazała się wielkim sukcesem. Całe miasto здаwało się mówić tylko o nowym dziele Modrzyckiego, a każdy rodzic koniecznie chciał podarować je pod choinkę swojemu dziecku. Jeszcze w Wigilię zbierali zamówienia na kolejne egzemplarze, choć te mogły zostać dostarczone dopiero po świętach. Klienci płacili z góry pełną kwotę, a w zamian otrzymywali jedynie kolorowe szkiełko, na którym Szczekot grawerował naprędce datę, kiedy zorza miała trafić do właściciela.

Zorza polarna to magiczne zjawisko. Jakub marzył, by kiedyś zobaczyć ją na własne oczy. Wiele czytał na jej temat i wiedział, że występuje niemal na granicy światów, na krańcach atmosfery, u przedproży kosmosu. Starożytni wierzyli, że zorza jest jednym z wcieleń bogini świtu. Arystoteles, szukając bardziej naukowego wyjaśnienia, twierdził, że powstaje ona wówczas, gdy powietrze staje się płynnym ogniem, ale ludzie jeszcze przez wiele lat woleli myśleć, że jest to coś ponadnaturalnego. Jedni sądzili, że stanowi zapowiedź wszelakich klęsk, inni, że to blask ognisk palonych w zaświatach. Człowiek w każdym czasie szuka takich interpretacji zdarzeń, które

pomagają mu oswoić rzeczywistość, uśmierzają ból i pozwalają się nie poddać. Zorza była nie tylko piękna. Była też od zawsze symbolem siły.

Przypomniało mu się coś jeszcze. Stara japońska legenda, którą opowiadał mu jeden z kolegów, uczestnik wojny rosyjsko-japońskiej. W Kraju Kwitnącej Wiśni zorza polarna była dla nienarodzonego jeszcze dziecka zwiastunem dobrego, szczęśliwego życia. Jakub czuł, że to wszystko układa się w doskonale spójną całość. Nie wierzył w przeznaczenie, ale jeśli istniało, wyraźnie dawało mu znak.

Chwycił zabawkę i przeszedł przez korytarz. Postawił zorzę na stole w pokoju, w którym siedziała jego żona, i uruchomił.

Po chwili całe wnętrze wypełniło się kolorową poświatą.

– Co to... – wychlipała Emilia.

Jakub podszedł do kanapy i usiadł obok niej.

– Kocham cię, rozumiesz? – wyszeptał, czując, że wraz z wypowiedzeniem tych słów wielki kamień stoczył mu się z serca. – Kocham cię.

Emilia uniosła głowę i wbiła w niego uważne spojrzenie. Jej oczy lśniły od łez.

– I co teraz będzie? – spytała cicho po długiej chwili milczenia.

– To, na co się zdecydujesz – odparł równie cicho Jakub.

– Naprawdę wierzysz, że osoba w moim położeniu ma jakikolwiek wybór? – zapytała z goryczą.

Modrzycki nie odpowiedział od razu. Wieść o dziecku sprawiła, że po raz pierwszy, odkąd dowiedział się o zdradzie Emilii, opuściła go wiara w przyszłość. Był gotów się poddać. Chciał odejść. Spróbować zapomnieć. Zacząć żyć od nowa. Jednak wspomnienie twarzy Julusia, gdy odnalazł go w lesie, i mokrej od łez buzi Krysi w drodze na pasterkę nie dawały mu spokoju. Czy ich szczęście nie było ważniejsze od jego urażonej dumy?

Najistotniejsze było zaś to, że nigdy, nawet na chwilę, nie przestał kochać ich matki.

– Trzeba walczyć do końca – powtarzali mu od wczesnej młodości kolejni mistrzowie, ale Jakub szybko zorientował się, że to nieprawda.

Pomiędzy wyścigiem a metą była bowiem przestrzeń, w której jedyną formą walki mogło być tylko całkowite poddanie się. Ostatnia prosta.

Na ostatniej prostej brakuje sił. Entuzjazm startowy dawno przeminął. Nie ma już niosącego cię zachwyty, butnego przekonania o oczywistości zwycięstwa ani krztyny świeżości. Nie słysząc kojącego szmeru wody, nie czuć wiatru na ramionach. Jest tylko lejący się z nieba żar, suchość w ustach, drżenie mięśni, dudnienie w skroniach i słony pot zalewający oczy.

A kiedy straci się resztki sił, zostaje tylko ona. Ostatnia prosta, którą trzeba przemierzyć zupełnie samemu i bez żadnego ekwipunku. Na ostatniej prostej znika wszystko poza celem. Jest tylko głęboka cisza i zgoda na to, co nieuchronne. Ktokolwiek kiedykolwiek się ścigał, zna dobrze to uczucie.

– Być może to, co tak pokochałeś, zawiedzie cię i zrani, a może czasem to ty zawiedziesz – mówił ojciec, patrząc na śmiertelnie bladą twarz leżącej na marach matki. – Być może nawet utracisz tę, którą kochasz, i nie zdążysz powiedzieć jej tego wszystkiego, co powinieneś, ale to niczego nie zmieni, Jakubie. Miłość pozostanie.

Wtedy słowa ojca wydawały się Modrzyckiemu kolejną patetyczną, żalonną przemową mężczyzny, który przegrał swoje życie i stracił jedyną osobę utrzymującą go w pięknej iluzji.

Teraz jednak nagle nabrały dlań sensu. Podjął decyzję. Ucisk w piersi rozluźnił się. Oddech znów był swobodny. Jakub się poddał. Nic już nie zależało od niego, a wraz z tą świadomością przyszedł spokój. Wiedział dokładnie, co powinien zrobić. Wtedy właśnie wziął zorzę do ręki i poszedł z nią do salonu.

– Wszystko zależy od ciebie, Emilio – powtórzył spokojnym głosem.

Ponownie na niego spojrzała. Od Jakuba bił jakiś tajemniczy spokój, którego źródła nie potrafiła pojąć, lecz wprawiał ją w jeszcze większe przerażenie.

„Może coś pomieszało mu się w głowie od nadmiaru emocji”, pomyślała, lecz zaraz skarciła się za to.

– Żadne z wypowiedzianych przeze mnie wczoraj słów nie straciło znaczenia – ciągnął tymczasem Jakub, czując, jak jego serce topi się niczym wosk pod wpływem spojrzenia lśniących oczu żony. – Musisz tylko w to uwierzyć.

– Nic z tego nie rozumiem, więc jak mam uwierzyć? – spytała podniesionym głosem. – Dlaczego mi to wszystko mówisz? Chcesz mnie ukarać w ten sposób? Zemścić się na mnie? Już mi wystarczy. Nigdy nie było chyba na świecie człowieka nędzniejszego ode mnie. Wiem to dobrze. Wiem... Powinieneś przecież być wściekły, ciskać gromy... Znienawidzić mnie za to wszystko. Ach, Jakubie... Nie możesz okazać mi zrozumienia... To najgorsze ze wszystkiego...

Emilia ukryła twarz w dłoniach i znów rozszlochała się głośno. Łzy przeciekały przez jej palce, spływały po dłoniach i szyi. Jakub przyklęknął przy niej. Chciał ją pogłaskać, przytulić, ale czuł się dziwnie bezradny wobec jej łez.

– Emilio, to nie ma nic wspólnego ze wspaniałomyślnością... – zaczął niezgrabnie. – Jak mógłbym mścić się na tobie, skoro jest w tym i moja wina? Gdybym był lepszym mężem...

Ramiona Modrzyckiej zadrżały mocniej, a płacz wzmógł się jeszcze. Nie mogła znieść tego wszystkiego, to było ponad jej siły.

– Bo widzisz... Emilio... Ja... W całym moim życiu naprawdę kochałem tylko ciebie i nic nie jest w stanie tego zmienić – wyszeptał ostrożnie, odejmując jej dłonie od twarzy, tak by móc spojrzeć żonie w oczy. – Nic, rozumiesz?

– A to dziecko? – spytała drżącym od płaczu głosem.

– Jeśli zechcesz, damy mu imię na J, tak jak Julusiowi – powiedział ciepło.

Emilia roześmiała się, a łzy jedna po drugiej spływały jej po policzku. Nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę, a jednak zapragnęła nagle, by tak było.

– Naprawdę mógłbyś... – zawahała się, niepewna, jak sformułować pytanie, które musiała zadać mężowi. – Zdołałbyś... Będiesz w stanie mi przebaczyć to, co zrobiłam?

– Już dawno ci wybaczyłem – odparł i pocałował ją tak mocno, że Emilii zabrakło tchu.

Trwali tak spleceni w miłosnym uścisku, gdy ze służbówki dobiegł ich metaliczny brzęk budzika, a zaraz potem dźwięk krzątaniny Helenki przygotowującej świąteczne śniadanie.

Przez zasłone nabrzmiałych śniegiem chmur przecisnęło się złociste pasmo słonecznych promieni. Zorza polarna wyblakła w świetle dnia.

– Co teraz będzie? – spytała Emilia, wtulając się w szeroką pierś męża.

– Najpierw zjemy świąteczne śniadanie – odparł Jakub, któremu z radości zrobiło się nagle tak błogo i lekko, że miał wrażenie, iż silniejszy podmuch wiatru bez trudu mógłby go unieść w powietrze.

– A potem? – dopytywała Emilia. – Zawsze musi być jakieś potem.

– Hmm... – Jakub zawiesił głos, jakby zadumał się nad czymś głęboko. – Może pójdziemy na bal noworoczny?

Emilia odsunęła się od niego.

– Na jaki bal?

– Do resursy na przykład... – odparł Modrzycki, z trudem hamując szeroki uśmiech.

Oczy Emilii rozblęły.

– Z pewnością jest już zbyt późno – powiedziała, patrząc na męża. – Bilety dawno rozprzedano.

– Zdaje mi się, że z tego wszystkiego nie otworzyliśmy jeszcze ostatniego okienka kalendarza – zmienił nagle temat Jakub.

– Powinniśmy chyba zaczekać na dzieci – odpowiedziała odruchowo Emilia, choć po prawdzie poczuła się dezorientowana, a nawet zrobiło się jej nieco przykro. Rozmowa o balu mogła być pretekstem do wspomniania tylu miłych chwil...



„Może to dla niego zbyt wiele? Może wzmianka o balu wytrąciła go z równowagi?”, pomyślała. „Nie chce wracać do dobrych wspomnień i brukać ich teraźniejszością”.

Zaraz zrobiło się jej żal tego, że odtąd tak wiele rzeczy będzie ich rozdzielać. To, co się wydarzyło, nie miało przecież szansy zniknąć. Zawsze już będzie gdzieś pomiędzy nimi, nie pozwoli im zbliżyć się do siebie jak dawniej, bez względu na to, jak bardzo by się starali.

– Dzieci śpią, a budzenie śpiących dzieci w dzień wolny jest największym grzechem rodzica – roześmiał się Jakub.

Choć myśli Emilii znów zasnuły ciemne chmury, śmiech Jakuba natychmiast przebił się przez nie, wpuszczając nieco blasku. I ona się uśmiechnęła.

– Zresztą dostały tyle prezentów, że chyba całkiem zapomniały już o kalendarzu adwentowym – dodał jeszcze Modrzycki.

– Ja otworzę! – zawołała Emilia, szybkim krokiem podchodząc do niego. – Ani razu nie otwierałam, a przecież mówiłeś, że to prezent dla nas wszystkich.

Jakub uśmiechnął się, nie uściślając, że to nakręcany przez niego mechanizm zegarowy otwierał kolejne okienka kalendarza. Jedynie ostatnie należało otworzyć ręcznie. Ukłonił się z galanterią i zrobił żonie miejsce. Emilia wsunęła dwa cienkie patyczki imitujące cukrowe laseczki w okrągłe otworki i pociągnęła za drzwiczki.

– Szklany pantofelek... – wyszeptała, kładąc sobie na dłoni maleńki przezroczysty bucik i oglądając go z każdej strony, by znaleźć zawieszkę, pewna, że to ozdoba choinkowa. – Jaki śliczny!

– Dla Kopciuszka – powiedział Jakub cicho i poważnie. – Na bal.

Emilia odwróciła się w jego stronę.

– Widzisz, tak się składa, że w porę zakupiłem dwa bilety na bal w resursie – rzekł miękko. – Tak na wszelki wypadek...

Chciała coś odpowiedzieć, ale głos uwiązał jej w gardle. Nagle dotarło do niej z całą mocą, jak bardzo musiał kochać ją ten człowiek i jak wielką wia-

rę pokładać w tym, że ich wspólna przyszłość jest możliwa, skoro wiedząc o Ludwiku, wystarał się o bilety na bal, na którym ostatni raz byli wówczas, gdy się poznali.

Chciała zarzucić mu ręce na szyję i najpiękniejszymi słowami wyznać mu swoją miłość, przeprosić za wszystkie cierpienia, których mu przysporzyła, nade wszystko zaś za to, że zwątpiła w niego i w łączące ich uczucie, ale słowa nie chciały płynąć. Stała więc tylko, wpatrując się w męża szeroko otwartymi oczami, a jej spojrzenie mówiło to wszystko, o czym milczały usta.

– ...na wszelki wypadek, gdyby nasze życie miało potoczyć się dalej – dopowiedział Jakub, choć i jego głos rwał się ze wzruszenia.

A potem chwycił żonę w ramiona i uniósł ją w górę. Emilia przymknęła oczy i wirowała w złocistym świetle poranka, ciesząc się pierwszymi chwilami reszty ich dobrego wspólnego życia. Wiedziała, że droga będzie wyboista, a zranienia pozostawią blizny, które już zawsze będą przypominały o tym, co zaszło, ale nie bała się przyszłości. Znów była w domu i tylko to się liczyło.

## POSŁOWIE

Od dawna marzyłam o tym, by pochylić się nad historią polskiego zabawkarstwa w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Muszę się Wam przyznać, że mam ogromną słabość do starych zabawek, a w Muzeum Domków dla Lalek, Gier i Zabawek w Warszawie powinnam mieć kartę stałego bywalca. Ekspozycję znam niemal na pamięć, ale wystarczy, że przysiądę koło jednego z domków i znów wraca do mnie to niezwykle uczucie zachwytu nad detalem i oczarowania dawnymi latami utrwalonymi na zawsze w przedmiocie.

Po odzyskaniu niepodległości polskie zabawkarstwo, zarówno rzemieślnicze, jak i fabrykanckie, rosło w potęgę. Jakiegokolwiek ograniczenia czy „niemożliwości” dla polskich twórców zdawały się jedynie wyzwaniem, kolejną przeszkodą do pokonania, próbą, w której mogli udowodnić swój kunszt i polot.

Sukcesy polskich zabawkarzy podczas paryskiej Wystawy Sztuki Dekoracyjnej w 1925 roku zdawały się potwierdzać tezę o wyjątkowości rodzimych zabawek.

Niestety, czasu dostali zbyt mało...

„Można powiedzieć, że przedwojenny polski przemysł zabawkarstwa nie miał czasu, by rozwinąć skrzydła”, zauważa Wojciech Szymański, założyciel gdańskiej Galerii Starych Zabawek, w opracowaniu Marii Wieczorek „O greckich świątyniach z klocków, lalkach-Murzynkach i kaliskich »szrajerkach«”.

Pozostały wspomnienia, które, mam nadzieję, odżyją dzięki tej powieści.

## PODZIĘKOWANIA

Z tego miejsca pragnę podziękować mojemu Mężowi, który jako pierwszy uwierzył w ten pomysł i konsekwentnie wspierał jego realizację. Dobrze, że jesteś!

Nieodmiennie dziękuję moim dzieciom za nieskończone pokłady cierpliwości i moim nieocenionym przyjaciółkom za ogrom wsparcia!

To wielkie szczęście i bogactwo mieć takich ludzi wokół siebie.

Dziękuję też całemu zespołowi Książnicy za kolejną wspólną podróż. Szczególne podziękowania kieruję do Oli Chytróń-Kochaniec, Ani Jackowskiej i Oli Zastępy, bez Was moja wymarzona opowieść nie mogłaby rozświetlić Czytelnikom mroków grudniowych nocy.

Dziękuję także pani Edycie Masełko-Łaciok, która podjęła się redagowania tego tekstu, co, wierzcie mi, było wyzwaniem.

Dziękuję naukowczyniom i naukowcom, muzealnikom, kolekcjonerom i wszystkim tym, którzy od lat przypominają tę piękną kartę naszej historii.

## ŹRÓDŁA

Podczas prac nad tą powieścią korzystałam z dziesiątek opracowań, broszur, materiałów dotyczących wystaw, spisów kolekcjonerskich, lecz najważniejszym z nich było opracowanie pt. „Zabawka – przedmiot ludyczny i obiekt kolekcjonerski” pod redakcją naukową Katarzyny Kabacińskiej-Łuczak i Doroty Żołędź-Strzelczyk (Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Poznań 2016).

Jest to wprawdzie praca naukowa, ale każdemu najszczerzej polecam tę fascynującą lekturę!

Fragment Pisma Świętego cytuję za „Pismem Świętym Starego i Nowego Testamentu. Biblia Tysiąclecia”, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2007.

Cytat dotyczący założeń działalności Warszawskiej Resursy Kupieckiej przytaczam z publikacji pt. „Rys ogólny działań towarzystwa resursy kupieckiej z pierwszych 25 lat od jej założenia w d. 30 października 1820”, Drukarnia Orgelbranda, Warszawa 1845 (polona.pl).

*Maria Paszyńska*



Pełna czułości opowieść o wyboistej drodze  
do szczęścia i o prawdziwych obliczach miłości

Podczas zimowego balu warszawski zabawkarz  
Jakub Modrzycki poznaje miłość swojego życia, Emilię.  
Potem wszystko toczy się jak w najpiękniejszej bajce –  
wspaniały ślub, dom, dzieci, doskonale prosperujący interes.  
Chciałoby się powiedzieć: żyli długo i szczęśliwie. A jednak...  
mijają lata i coś się zmienia. Bez kłótni i dramatów  
Modrzyccy dzień po dniu oddalają się od siebie.  
Nie ma w tym niczyjej winy, a może oboje są winni?  
Kilka dni przed adwentem na jaw wychodzą sekrety  
odzierające Jakuba ze złudzeń. Jego rodzinne szczęście jest  
zagrożone, a miłość żony staje się wielką niewiadomą.  
Czy dla państwa Modrzyckich jest jeszcze nadzieja?  
Czy grudniowych dni wystarczy, by odnaleźć  
zagubioną bliskość?

Patronat medialny



Książnica  
[www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)  
ISBN 978-83-271-6376-9  
EAN 9788327163769  
U.KS.OBY065.1.01.01

